



JOSEPH CONRAD

**Murzyn z załogi
Narcyza**


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

JOSEPH CONRAD

Murzyn z załogi Narcyza

OPOWIADANIE O KASZTELU

TŁUM. JAN LEMAŃSKI

DO MOICH CZYTELNIKÓW W AMERYCE

Poczynając od wieczoru, gdy Dżems Wait zjawił się na okręcie — spóźniwszy się na przegląd załogi — aż do chwili gdy, spowity w płótno żaglowe, opuścił nas na pełnym morzu przez otwór w burcie, miałem z nim wiele do czynienia. Wchodził w skład mojej warty. W brytyjskim kasztelu Murzyn czuje się osamotniony. Nie uważają go za kamrata. A Dżems Wait, drżący przed śmiercią, z której uczynił swoją współniczkę, był jednak pewnego rodzaju oszustem. Zawładnął naszym współczuciem, gardził naszą uczuciowością, zwyciężał nasze podejrzenia.

Ale w książce jest niczym: koncentruje tylko zbiorową psychologię okrętu i stanowi oś akcji. Jednakże drogim mi bardzo jest ten, którego zwiemy „Murzynem” w moim kółku rodzinnym i wśród przyjaciół. Albowiem książka snująca się wokół jego postaci jest dziełem, na które można się zdobyć raz tylko jeden w życiu.

Książka ta stanowi o mojej wartości — może nie jako powieściopisarza, ale jako artysty dążącego do bezwzględnej szczerości wyrazu. Jej kartki — to hold głębokiej, wiernej miłości, złożony okrętom, żeglarzom, wichrom i niezmiernym obszarom mórz — tym rzeźbiarzom mojej młodości, towarzyszom najlepszych lat mego życia.

Gdy napisałem ostatnie wyrazy tej książki, świadomość dokonanego zadania przepełniła mi duszę i zrozumiałem, że rozstanie moje z morzem jest nieodwołalne, że odtąd przeznaczono mi być pisarzem. I, prawie nie odkładając pióra, napisałem przedmowę, usiłując wyrazić, w jakim duchu przystępuję do zadań nowego życia. Stosownie do udzielonej mi wówczas rady, która (jak mi się teraz zdaje) była niewłaściwa, przedmowa nie została włączona do książki. Ale nieżyjący już W. E. Henley, który w tym czasie (1897) miał odwagę drukować w „New Review” mojego „Murzyna”, osądził, że warto ją zamieścić jako posłowie przy końcu ostatniej części powieści.

Cieszę się, że książka, która mnie tak bardzo obchodzi, będzie znów wydana przez moich przyjaciół i wydawców, pp. Doubleday, Page & Comp. i że ukaże się pod swoim właściwym tytułem jako *Murzyn z załogi Narcyza*.

Pół okresu obejmującego pokolenie minęło już od czasu, gdy W. E. Henley polecił mi powtórzyć po przeczytaniu dwu rozdziałów: „Powiedzcie Conradowi, że jeśli cała powieść stoi na wysokości tej próbki, pomieszczę ją napewno w «New Review»”. Najmilsze to ze wspomnień mojego literackiego żywota!

A oto pominięta przedmowa.

1914

PRZEDMOWA

Dzieło, chociażby najskromniejsze, które pragnie stanąć na wyżynie sztuki, winno nosić jej piętno w każdym zdaniu. Sztukę zaś można określić jako wysiłek ducha, dążący do wymierzenia najwyższej sprawiedliwości widzialnemu światu przez wydobywanie na jaw prawdy — wielorakiej i jedynej — ukrytej pod wszelakimi pozorami. Jest to usiłowanie,

aby wykryć w kształcie prawdy, w jej barwach, w jej świetle, w jej cieniach — w zmienności materii i w przejawach życia — to, co jest podstawowe, co jest trwałe i zasadnicze; jedyną cechą, która wyjaśnia i przekonuje — rdzeń wszelkich zjawisk. Artysta, podobnie jak myśliciel lub uczony, szuka prawdy i przywołuje ją. Przejęty widowiskiem świata myśliciel zagłębia się w dociekaniach, uczony w faktach; wynurzywszy się z nich, zwracają się do tych cech naszej istoty, które uzbrajają nas najlepiej na ryzykowną walkę z życiem. Przemawiają z wyżyn swego autorytetu do naszego rozsądku, naszej inteligencji, naszego pragnienia spokoju albo pragnienia przygód; nierzadko do naszych uprzedzeń, czasem do naszych obaw, często do naszego egoizmu — a zawsze do naszej łatwowierności. Słów ich słucha się z szacunkiem, gdyż ludzie ci mają do czynienia ze sprawami wielkiej wagi; z kulturą naszych dusz i z pieczęcią należną naszemu ciału; z urzeczywistnieniem naszych ambicji, z udoskonaleniem naszych środków i uświetnieniem drogich nam celów.

Z artystą jest inaczej.

Postawiony wobec tegoż samego zagadkowego widowiska, artysta zstępuje wgląd siebie samego i w tej samotnej krainie walki i napięcia znajduje treść swojego wezwania — jeśli na to zasłużył i jeśli mu sprzyja szczęście. Wezwanie jego zwraca się do naszych mniej jaskrawych właściwości; do tych cech naszej istoty, które — ze względu na bojowe warunki życia — usuwają się w głąb nas samych i kryją poza bardziej odpornymi i twardymi właściwościami — tak jak ciało ulegające zranieniu kryje się w stalowej kolczudze.

Wezwanie artysty mniej jest głośnie a bardziej głębokie, mniej wyraźne a bardziej wzruszające — i prędzej zapomniane. Lecz skutek jego trwa wieczyście. Zmienna wiedza mijających pokoleń odrzuca idee, wątpi o faktach, burzy teorie; artysta zaś przemawia do tej części naszego jestestwa, która nie jest zależna od wiedzy; do tego czegoś w nas, co jest darem, a nie nabytkiem i — jako taki — mniej jest przemijające. Artysta oddziałuje na naszą skłonność do zachwyty i podziwu, na świadomość tajemnicy przenikającej nasze istnienie, na odczucie litości, i piękna, i bólu; na tajną, bliźnią więź łączącą nas ze wszechstworzeniem i na subtelne, lecz niezłomne poczucie solidarności, która jednoczy samotne, nieprzeliczone serca; na wspólność w marzeniach, w radości, w smutku, w dążeniach, w złudzeniach, w nadziei, w trwodze — wspólność, która wiąże ludzi ze sobą, która spaja w jedno całą ludzkość — umarłych z żywymi, i żywych z tymi, co się mają narodzić.

Tylko podobne myśli, czy też raczej uczucia, mogą do pewnego stopnia wyjaśnić cel moich usiłowań w niniejszym opowiadaniu; usiłowań dążących do przedstawienia niespokojnego epizodu z życia kilku ludzi, wyjętych z pogardzanego środowiska zahukanych prostaków, którzy nigdy do głosu nie dochodzą. Albowiem jeśli jest choć cząstka prawdy w powyżej uczynionym wyznaniu, jasnym się staje, że nie ma na ziemi zakątka — czy mrocznego, czy też jaśniejącego wspaniałością — który by nie zasługiwał choć na przelotne spojrzenie podziwu i litości. Pobudkę tę można uznać za wyjaśniającą sam przedmiot dzieła — ale niniejsza przedmowa, która jest po prostu wyznaniem dokonanych wysiłków, nie może się na tym zakończyć, gdyż wyznanie to nie jest jeszcze zupełne.

Powieść — o ile w ogóle dąży do tego, aby się stać dziełem sztuki — przemawia do naszego temperamentu. I zaiste, winna być — zarówno jak malarstwo, jak muzyka, jak każda inna sztuka — wezwaniem indywidualnego temperamentu, skierowanym do wszelkich innych niezliczonych temperamentów, których subtelna i nieodparta siła nadaje mijającym zdarzeniom prawdziwą ich treść i stwarza duchową, uczuciową atmosferę odpowiednią danemu miejscu i czasowi. Podobne wezwanie musi być rzucone przez zmysły, o ile ma oddźwięk wywołać; i nie może się to stać w inny sposób, gdyż temperament — indywidualny czy zbiorowy — niedostępny jest jakimkolwiek rozumowaniom. Tedy wszelka sztuka przemawia pierwotnie do zmysłów, i artystyczny cel, wyrażony słowem pisanim, musi również do zmysłów przemawiać, jeśli jego podniosłym hasłem jest dotarcie do tajnej sprężyny drgającej wzruszeniem. Musi dążyć gorliwie do plastyki — jak rzeźba, do pełni kolorytu — jak malarstwo, i do czarodziejskiej wnikliwości muzyki, która jest sztuką nad sztuki. Jedyne przez nieugiętą wolę, aby formę z treścią zespolić, jedynie przez niezachwiane, bezustanne dążenie do wypukłości i harmonii zdań można zbliżyć się do plastyki, do barwy; nawet czarodziejskie błyski natchnienia mogą załsnąć przelotnie nad pospolitą powierzchnią słów — tych starych, starych słów, wyszarzałych i zniekształconych przez wieki niedbałego posługiwania się nimi.

Szczere usiłowanie, aby osiągnąć ten twórczy cel, aby dotrzeć do niego tak blisko, jak tylko siły pozwolą, aby posuwać się naprzód, nie dając się odstraszyć zwątpiałości, wyczerpaniu czy zarzutom — oto jedyne usprawiedliwienie dla twórcy piszącego prozą. Jeśli sumienie jego jest czyste, odpowie w następujący sposób wszystkim, co przesiąknięci wiedzą dążą do korzyści bezpośredniej, żądając aby ich zbudował, pocieszył, zabawił; którzy domagają się, aby ich w mgnieniu oka zmienił na lepsze, aby dodał im odwagi, aby przeraził ich, czy zgorszył, czy zachwyił — Oto jak im wszystkim odpowie — Cel, który staram się osiągnąć, jest następujący: chcę, abyście przez potęgę pisanego słowa mogli słyszeć, czuć, a przede wszystkim — widzieć. Tylko to, nic więcej; a to jest wszystko. Jeżeli mi się powiedzie, znajdziecie w moim dziele to, czego pożądam: pociechę, zachętę, przerażenie i zachwyt — a może i ten błysk prawdy, którego zapomnieliście się domagać.

Zdobycie się na odwagę i wydrzeć szmat życia nieubłaganemu czasowi — to dopiero początek zadania. Właściwy cel, do którego się przystępuje z tkliwością i wiarą, polega na tym, aby ten ocalony fragment życia dźwignąć pewną dłonią — bez wahania i bez lęku — i ukazać go wszystkim oczom w świetle szczerości. Oddać jego tętno, jego barwę, jego kształt, i poprzez jego ruch, kształt i barwę objawić istotę jego prawdy, odsłonić tajne źródło jego natchnienia: siłę i namiętność — rdzeń każdej ważkiej chwili. Jeśli się ma za sobą zasługę i szczęście, samotny ten wysiłek może niekiedy osiągnąć taką szczerość i jasność wyrazu, że objawiony obraz żalu czy litości, grozy czy wesela, obudzi w sercach widzów uczucie owej nieodpartej wspólności — wspólności w tajnym źródle bytu, w znoju, w weselu, w nadziei i w niepewności losu — uczucie, które wiąże ludzi ze sobą i jednoczy ludzkość z widzialnym światem.

Z tego wynika, że ktokolwiek bądź — słusznie, czy niesłusznie — wyznaje powyższe przekonania, ten nie może hołdować wiernie czasowym prawdom swojego rzemiosła. Trwała ich podstawa — prawda — którą każde z prawideł przesłania tylko częściowo, winna pozostać z twórcą jako najcenniejszy z jego skarbów; ale wszelakie hasła: realizm, romantyzm, naturalizm, nawet nieoficjalny sentymentalizm (którego niesłuchanie trudno się pozbyć, jak żebraka) — wszystkie te bożki po krótkim okresie współżycia muszą twórcę opuścić — choćby na samym progu świątyni — i pozostawić go sam na sam z chwiejnym sumieniem i pełną świadomością niezmiernych trudności swej pracy. W tej niepokojącej samotności nawet wzniosłe hasło sztuki dla sztuki traci podniecający dźwięk pozornej niemoralności. Słysząc je jak gdyby gdzieś z oddali. Nie jest już okrzykiem; dochodzi tylko jako szept — często niezrozumiały — lecz przynoszący chwilami nikłą otuchę.

Bywa niekiedy, że wyciągnięci wygodnie w cieniu przydrożnego drzewa śledzimy poruszenia rolnika w dalekim polu. Po jakimś czasie zaczyna nas trochę zaciekawiać, co za pracę ten człowiek właściwie wykonywa. Patrzymy jak się porusza, jak macha rękami, jak schyla się i podnosi, jak się namyśla i bierze znów do pracy. Przydałoby to uroku bezczynnym naszym chwilom, gdybyśmy wiedzieli, jaki jest cel jego wysiłków. Dowiedziawszy się, że usiłuje dźwignąć kamień, wykopać rów, czy wykarczować drzewo, przypatrujemy się z zajęciem bardziej istotnym; skłonni jesteśmy darować mu rozdźwięk, jaki wnosi jego krzątanie w kojący spokój krajobrazu; a jeśli jesteśmy w przyjacielskim nastroju, przebaczymy mu nawet niepowodzenie w pracy. Wiemy już, do czego dążył, widzieliśmy jego usiłowania; może nie miał sił dostatecznych, może nie znał się na rzeczy. Więc przebaczymy, idziemy w swoją drogę — i zapominamy.

Podobnie dzieje się z pracownikiem sztuki. Sztuka jest długa, życie krótkie — a powodzenie gdzieś hen daleko. Tedy wątpiąc, czy starczy nam sił na tak daleką podróż, rozprawiamy po trochu o celu — celu sztuki — który jest porywający, trudny do osiągnięcia, zasnuty mgłami. To nie jest jasna logika olśniewającego wywodu, ani też odsłonięcie jednej z okrutnych tajemnic, które zwą Prawami Natury. Cel niemniej wielki, lecz trudniejszy do osiągnięcia.

Zatrzymać — na przeciąg jednego tchnienia — ręce trudzące się w przyziemnej pracy; zmusić ludzi, wpatrzonych w odległe cele, aby ujrzeli przez chwilę otaczający ich przepych kształtów i barw, światła i cienia; sprawić, że na mgnienie przystaną, aby spojrzeć, aby westchnąć, aby się uśmiechnąć — oto cel trudny i nieuchwytny, dostępny tylko niewielu wybranym. Lecz tym, co mają za sobą zasługę i szczęście, udaje się niekiedy wypełnić nawet i to zadanie. A gdy jest spełnione — patrzcie! oto cała prawda życia: chwila wizji, westchnienie, uśmiech — i powrót do wieczystej ciszy.

„New Review”, grudzień 1897.

MURZYN Z ZAŁOGI NARCYZA

I

Pan Baker, starszy oficer na okręcie Narcyz, przestąpił próg swej oświetlonej kajuty i znalazł się w ciemnościach tylnego pokładu. Na górnym pomoście, nad głową jego, strażnik nocny uderzył w dzwon po dwakroć. Była godzina dziewiąta. Pan Baker zawołał do tego człowieka na górze:

— Knowles, czy wszyscy ludzie już są na pokładzie?

Knowles, utykając po schodach, zszedł na dół, po czym odrzekł z namysłem:

— Zdaje mi się, że tak. Są wszyscy nasi starzy i przyszło trochę nowych... I jedni, i drudzy powinni już tu być.

— Powiedz bosmanowi, niech mi tu przyśle ich wszystkich i kaź któremu z chłopców przynieść jaką dobrą lampę. Chcę zrobić przegląd załogi.

Główny pokład ku tyłowi statku — ku rufie — był ciemny, ale bliżej środka, z otwartych drzwi kasztelu, czyli izby czeladnej, dwie smugi jaskrawego światła przecinały mrok cichej nocy, która legła nad okrętem. Wrzawa głosów dolatywała stamtąd i widać było ludzi kręcących się tam i sam, od lewej burty na prawą: z bakortu na sztymbork. Co chwila pojawiały się na jasnym tle drzwi otwartych sylwety ludzkie, zupełnie czarne, niewypukłone dla oka, podobne raczej do płaskich figurek wyciętych z blachy.

Okręt gotów do wyruszenia na pełne morze. Cieśla wkołatał już ostatni klin w uszczelniacze głównej luki, odrzucił ciężki młot i teraz oto wyciera sobie powoli twarz, właśnie z uderzeniem godziny dziewiątej. Deski pokładu wyszorowano. Dźwиг łańcuchowy, to jest kabestan, naoliwiono, by mógł windować kotew. Gruba lina holownicza w długich przegubach leży z boku głównego pokładu, a koniec jej, przerzucony przez burłę, zwisa i czeka na holownik, który nadejdzie, pluszcząc, gwiżdżąc hałaśliwie, rozgorączkowany i zasnuty dymem wśród czystości i spokoju chłodnego ranka. Kapitan, który wysiadł był na ląd, celem najmu ludzi dla skompletowania załogi, jeszcze nie wrócił. Również nie ma jeszcze oficerów, korzystających na lądzie z chwili wytchnienia po całodziennej pracy. Wkrótce po zmierzchu zaczęła wracać ta czeladź, która miała na dziś urlopy; razem z nią przybywali i nowozaciężni. U wiosła szalup biało odziani przewoźnicy z Azjatów darli się najokropniej o zapłatę, zanim jeszcze przybili pod schodki okrętu. Gorączkowy, wierzący w uszach bełkot wschodniego języka zmagął się z okrzykami podchmielonych marynarzy, odpowiadających na bezczelne nadzieje i niecne uroszczenia tych Azjatów grzmotami klątw i bluźnierstw. Wykrzykiwaniu sum od pięciu ann do połowy rupii towarzyszyło takie rozjuszone wycie i taki lamentujący kwik, że rozdzierały one na strzępy świetlaną, gwiazdzistą ciszę wschodniej nocy. Całemu zaś nawodnemu światu w przystani bombajskiej zgielk ten oznajmiał, że nowozaciężni znaleźli się na pokładzie Narcyza.

Wrzaskliwy rozgardiasz uciszał się stopniowo. Łódki przestały nadpływać w pluskających grupkach, po trzy lub cztery, lecz przesuwały się pojedynczo wzdłuż okrętu. Hałaśliwe kłótnie i wycia przeszły w cichy pomruk narzekań i biadań, które tłumili wołania: „Ani pajsza więcej! Idź do wszystkich diabłów!” — okrzyk rzucany przez jakiś ciemny kształt ludzki, gramolący się z długą torbą na zwodzone schodki.

W izbie czeladnej nowicjusze sterczą między osznurowanymi pudłami i tobołami z pościelą; gestykują zawzięcie, zawierając znajomość ze starymi, co porozsiadani na dwóch rzędach prycz jeden nad drugim, spoglądają na tamtych krytycznie, choć nie wrogo. Dwie podkręcone wysoko lampy oświetlają kasztel jaskrawym, twardym światłem. Sztywne kapelusze z wycieczek na ląd zsuwano teraz niedbale na tył głowy, lub rzucono na pokład, gdzie poniewierały się wśród łańcuchów kotwicowych. Szeroko otwarte, białe kołnierze obramiały czerwone twarze majtków. Potężne ich ramiona wynurzały się z białych rękawów koszul. Nieustający rozgwar głosów przerywały raz po raz salwy śmiechu lub ochryple nawoływania: „Bierz tę koję, bracie... Nie rusz jej!... Na jakim okręcie służyłeś ostatnio?... Znam ten żaglowiec... Przed trzema laty w Puget Sound... Ta koja zacieka, mówię ci!... Hej, pomóżcie nam wciągnąć tę skrzynię!... Czy nie ma tam który z brzegu butelczyny?... Daj no mi nieco prymki... Znam tę barkę; jej szyper zapił się na śmierć... Galant to był: płucał się starannie, ale od wewnątrz. Tak, lubił to!... Zamknie-

cie wy tam wreszcie gęby, czy nie?... A ja wam powiadam tak: dostaliście się na pokład jakiegoś dwumasztowego obibrzega, gdzie potrafią wyżyłować z każdego wszystkie jego siły, żeby ich!...”

Mały urwis nazwiskiem Craik, przezywany Belfastem, plótl niestworzone rzeczy o statku, kłamiąc umyślnie, ażeby nowicjusze mieli o czym rozmyślać. Archie siedział w poprzek swego kuferka i gorliwie przetykał igłą jakiś biały gałganek — latkę do błękitnych spodni. W natłoczonym ludźmi kasztelu mieszały się czarne żakiety i sztywne kołnierzyki z pospółstwem nóg bosych, obnażonych ramion i pstrych koszul, rozchełstanych na włochatej piersi. Wśród gęstych wyziewów tytuniowych kotłowała się ta ciżba: miotła się, rzekniesz, w bójce czy też w borykaniach jakowychś. Mówili wszyscy naraz, a kłębi co chwila. Fin rosyjski, w żółtej, czerwono pręgowanej koszuli, spoglądał w górę rozmarzonym wzrokiem spod szopy nastroszonych włosów. Para olbrzymów — dwaj młodzi Skandynawowie o dziecinnych twarzach — pomagali sobie wzajem przy rozkładaniu pościeli, z milczącym uśmiechem przyjmując tę wrzawę błahych przekleństw i nieszkodliwych złorzeczeń. Stary Singleton, pierwszy majtek okrętu i człek najstarszy wiekiem, siedział sobie osobno tuż pod lampami, obnażony do pasa; masywna jego pierś i monstrialne bicepsy były wytatuowane jak u wodza ludożerców. Między deseniami niebieskiej i czerwonej pisanki lśniła jak atlas biała jego skóra. Oparty nagim grzbietem o koło bukszprytu, czytał jakąś książkę, trzymając ją na odległości ramienia przed swoją wielką, ogorzałą twarzą. W okularach, z majestatyczną siwą brodą, przypominał jakiegoś uczonego patriarchę dzikich, uosabiającego pogodną mądrość barbarzyńcy wobec bluźnierczej zgiełkliwości świata. Czytał „Pelham’a”, powieść Bulwera Lyttona. Dziwne, zdumiewające zjawisko przedstawia popularność tego autora w czeladnych izbach okrętów na południowych morzach. Jakże uczucia mogą się budzić pod wpływem jego gładkich i tak fenomenalnie nieszczerzych zdań, w duszach tych prostych, wielkich dzieci, zamieszkujących ciemne, tułające się po morzach przytuliska człowiecze? Jakież sens znajdują te surowe, naiwne dusze w wyszukanej jego gadatliwości? Jaką podnieć? Jakże zapomnienie czy też ukojenie? Tajemnica! Może działa tu urok niezrozumiałości? Czar nieprawdopodobieństwa? A może tym ludziom, istniejącym niejako poza życiem, przynoszą owe powieści tajemniczą wieść o przepychu świata za tym pograniczem, pełnym zbrodni, brudu i głodu, nędzy i rozrzutności: za skrawkiem pobrzeża, które ze wszystkich stron zbiega się do wód nieskazitelnego oceanu i zamyka w sobie całą wiedzę o życiu i łądzie tych wieczystych więźniów morza? Tajemnica!

Singleton od dwunastoletniego chłopca związany z południowym żeglarstwem, Singleton, który w ostatnich czterdziestu latach spędził na łądzie (jak to wyliczyliśmy z jego papierów) czterdzieści miesięcy niespełna, Singleton, który z pogodą czerstwej, niezgrzybiałej starości chełpił się tym, że w przerwach pomiędzy zwolnieniem się z jednego okrętu a wstąpieniem na drugi miał rzadko kiedy możliwość oglądać światło dnia przytomnie — stary Singleton siedział teraz nad swoim „Pelhamem”, sylabizując powoli i pracowicie, niewzruszony pośród hałasów, przejęty zachwytem i zatopiony w lekturze niemal do ekstazy. Oddychał miarowo. I za każdym razem, gdy wielkimi, smolistymi rękoma odwracał kartę, uwydatniała się gra mięśni pod wygładzoną skórą potężnych ramion. Wargi jego, na pół ukryte pod białym wąsem i wielką brodą, ubarwioną żółtym sokiem prymki, poruszały się w niemym szepcie; kaprawe oczy wlepiły się w książkę spoza lśniących szkieł czarno oprawnych okularów. Na wprost jego twarzy i na jednym z nią poziomie, na bębnie wyciągu kotwicowego siedział okrętowy kot i błyskał zielonymi oczyma ku staremu przyjacielowi. Ta poza przyczajonej chimery świadczyła, że kot obmyśla w tej chwili skok na kolana starca, ponad grzbietem siedzącego mu u nóg majtka.

Ów majtek był to Charley, chuderlawy młodzieniec, z długą szyją i o tak wydatnej kości pacierzowej, że tworzyła pod koszulą niby łańcuch drobnych pagórków. Jego twarz przedwcześnie dojrzałego ulicznika, twarz cwana, drwiąca, o głębokich fałdach z obu stron szerokich ust o cienkich wargach, była nisko pochylona ku kościstym kolanom. Na kawałku starego powroza uczył się właśnie marynarskiego kunsztu, tak zwanej tal-repowej pętli. Na czoło wystąpił mu kroplisty pot; raz po raz pociągał mocno nosem i błyskał ruchliwymi oczyma ku staremu marynarzowi, który zachowywał najzupełniejszą obojętność wobec pomruków chłopca, mozolącego się nad swą robotą.

Hałas wzrastał. W gorącym zaduchu izby mały Belfast aż kipiał werwą urwisa. Skały mu oczy, jakby roztańczone; w szkarłatnej twarzy, zabawnej jak maska, rozdzieriał czarną gębę i cudacznie ją wykrzywił, ku uweseleniu jakiegoś na pół rozebranego widza, który, wprost niego stojąc, trzymał się za boki, przechylał w tył głowę i pękał ze śmiechu. Inni wytrzeszczali z podziwem oczy. Ludzie, siedzący we dwójkę na drugiej kondygnacji tapczanów, ćmili krótkie fajeczki, zwieszając gołe nogi nad głowami niżej umieszczonych towarzyszy, którzy, porozwalani na swych skrzyniach czeladnych, tworzyli głupio roześmiane lub pogardliwe audytorium. Nad białymi listwami koj powytykane głowy świeciły oczyma, reszta zaś ciał gubiła się w ciemnościach przegródek, przywodzących na myśl wąskie nisze trumienne w jakiejś wybielonej i oświetlonej kaplicy pogrzebowej. Gwar rozmów stawał się głośniejszy. Archie zaciskał usta, kulił się, kurczył, wciągał się sam w siebie, chcąc, zda się, zmniejszyć małą i bez tego przestrzeń, jaką zajmował swą drobną osobą; tak siedząc, szył bez ustanku, pracowity i milczący. Belfast wrzeszczał jak natchniony derwisz: „...Więc powiadam wam, chłopcy, mówię ja ci do niego: do tego podoficera z tego parowca mówię tak: Za pozwoleniem, mówię, za po — o — zwo — o — le — e — niem pańskim, Wydział Handlowy musiał być wstawiony, gdy wydawał panu świadectwo. — Co ty — powiada — szczekasz? — I do mnie w swoim białym ubraniu, jak oszalały byk. A ja do niego z garnkiem smoły. Garnek do góry dnem i na niego — lu! W jego zatraconą buzię i na ten jego śliczny spencerek... Na! Powiadam, trzymaj, ty niezdamy, wybrakowany kłocu pomostowy, ty!... Chłopcy, było na co parzyć, jak skakał, umazany w smole — ze ślepiami i ze wszystkim, powiadam wam”.

— Nie wiercie mu! Nie wylał żadnej smoły! — wrzasnął ktoś — byłem przy tym.

Dwaj Norwedzy, o okrągłych, niewinnie zapatrzonych oczach, siedzieli na jednym kufrze, bliźniaczo do siebie podobni i jednakowo spokojni, rzekłbyś — czuła parka nierozłącznych na grzędce papużek. Fin rosyjski, pośród wybuchu okrzyków i rakiet śmiechu, pozostał nieruchomy, obwisły i tępy, jak głuchy człowiek bez kręgosłupa. Tuż przy nim Archie uśmiechał się nad swoją igłą. Pewien szerokopiersisty nowicjusz o gnuśnym wejrzeniu, korzystając z chwili uciszenia się hałasu, podszedł do Belfasta i rzekł powoli:

— Dziwno mi, że przy takim, jak ty, zuchu na pokładzie, żyje jeszcze bodaj jeden oficer. Pewno poprawili się teraz, skoro ty, bratku, trzymasz ich w karbach.

— Poprawili. A jakże! — zakrzyknął Belfast — Gdybyśmy my, majtkowie, nie trzymali tak razem! Poprawili się! Oni nigdy nie są źli, dopóki nie mają okazji. Żeby ich czarne dusze zaraza morowa!

Pienił się, wymachiwał rękami. Naraz wyszczerzył zęby, dobył z kieszeni tabliczkę czarnego tytoniu i zaczął ją kąsać z zabawną wściekłością.

Inny z nowozaciężnych, człek o przebiegłych oczach i o żółtej szpetnej twarzy, który dotąd, schowany w cień, przysłuchiwał się tylko chciwie, z otwartą gębą, teraz wreszcie odezwał się piskliwym głosem:

— Niech sobie będzie co chce, skoro to jest kurs powrotny. Mogę i taki dach nade łbem ścierpieć, dopóki nie znajdę się w domu. A wtedy się upomnę o swoje prawo. Ja im wtedy pokażę!...

Wszyscy zwrócili głowy ku niemu, oprócz młodszego majtka i kota, na których te słowa nie zrobiły żadnego wrażenia. A mówca wziął się pod boki i stał wyzywająco — mizerny nicpoń o białych rzęsach. Wyglądał, jak gdyby go spoliczkowano, zbito, skopano, tarzano w błocie; jak gdyby go szarpano, pluto nań, poddano niewypowiedzianym obrzydliwościom... a on uśmiechał się oto do otaczających go twarzy, dufny w obecne bezpieczeństwo. Sponiewierany, sztywny niegdyś kapelusz leżał mu na uszach i przyłamywał je ku dołowi. Podarta czarna surducina strzępami oplątywała chude łydki w zniszczonych skórniach. Odpiął dwa ostatnie guziki i każdy mógł widzieć, że nie ma na sobie koszuli. Cechował go bardzo niefortunny rys charakterystyczny: oto, choć wydawało się niepodobieństwem, aby jego łachmany mogły do kogokolwiek należeć, wyglądały na nim jednak jak skradzione. Szyję miał długą i cienką; powieki — zacerwienione; ze szczęk zwieszały mu się kosmyki rzadkiego zarostu; śpiczaste ramiona podobne były, gdy je opuścił, do złamanych skrzydeł ptaka; na lewym boku ciasto zeskorupałego błota świadczyło o ostatnim noclegu w mokrym rowie lub rynsztoku. Wyratował od zagłady mizerne swoje cielsko przez to tylko, że uciekł z pewnego okrętu amerykańskiego, na który się zaciągnął w niebaczonej chwili jakiegoś oglupienia. Przez dwa tygodnie tłukł się

po wybrzeżu, w dzielnicy tubylczej; włóczęga żebraczy, spragniony i głodny, sypiący na śmietnikach, bezdomny łączęga po słonecznym skwarze... Ten niesamowity gość ze świata zmór nocnych stał teraz przed oczyma wszystkich i wstrętnie było patrzeć, jak się uśmiechał do ludzi, wśród nagłego ich zamilknięcia. Oto znalazł w czystym, białym kasztelu przytułek; miejsce, gdzie może być walkoniem, wylegiwać się i jeść, i wymyślać na jadło; gdzie może rozwijać swój talent wyłgiwania się od roboty i umiejętność próżniaczego wałęsania się po kątach; gdzie z pewnością trafi się ktoś, kogo można będzie naciągnąć, ktoś inny, co się da zahukać czelnością — a za to wszystko jeszcze mu zapłaci. Wszyscy już go znali zawczasu. Bo gdzież nie znają takiego człowieka? Gdzie, na jakim skrawku globu ziemskiego nie widują tej złowieszczej wywłoki, świadczącej, że kłamstwo i bezwstyd plenią się wszędzie i zawsze?

Jakiś milczący, długoręki skorupiak morski o haczykowatych palcach, który leżał na grzbiecie i ćmił faję, odwrócił się teraz na swej pryczy, ażeby ten obiekt spokojnie zbadać, po czym strzyknął mu ponad głowę ku drzwiom smugą jasnej plwociny. Zaprawdę, znany już był wszystkim zawczasu. Wszakże to ten, który nie umie sterować, niezdolny jest związać dwu końców liny, wykręca się od roboty, aż zapadnie noc ciemna; ten, który w czasie służby, wysoko na rejach, trzyma się ich w obłędnej trwodze rękami i nogami, przeklinając wiatr, śnieg z deszczem i ciemnością; jest to ten, który bluźni morzu wówczas, gdy pracują inni; a gdy wezwą całą załogę, gdy potrzeba rąk wszystkich, on ima się pracy ostatni, a pierwszy ją porzuca... Jest to człowiek, który większości robót wykonywać nie umie, a reszty — nie chce. To faworyt, oczko w głowie cikliwych filantropów i sobkowatych bałwanów lądowych. Sympatyczne i zasłużone stworzenie, które zna wszystko, co się tyczy jego praw, ale nic nie wie o obowiązkach odwagi, wytrwałości, wierności i nieokreślonego słowami poczucia lojalności, wiążącej wzajem bracie okrętową. Wydały go rozwydrzone męty i szumowiny miejskich spelunek, pełne pogardliwej nienawiści dla surowego poddaństwa oceanowi.

— Jak się nazywasz? — zawołał ktoś.

— Donkin — odparł i spojrział wokoło z wesołym zuchwalstwem.

— Coś ty za jeden? — zagadnął ktoś inny.

— Toć majtek, jak i ty, panie starszy — odrzekł niby to serdecznie, ale z odcieniem bezczelności.

— Niech mnie diabeł porwie, jeżeli nie wyglądasz nieco gorzej od jakiego rozbitka z palaczy okrętowych — dorzucił ktoś w niezachwianym przekonaniu.

Charley zadarł głowę i zapiszczał po łobuzersku:

— To mi okaz człowieka! To mi okaz marynarza dopiero!

Co powiedziawszy, utarł nos wierzchem dłoni i pochylił się znów pracowicie nad swym kawałkiem liny. Kilku parsknęło śmiechem. Inni wytrzeszczali oczy, w niepewności, co o tym sądzić.

Nowoprzybyły zaś obdartus jął się oburzać.

— A to ładne powitanie towarzysza — warknął — Czy wy jesteście ludzie, czy zgryja ludożerców bez serca?

— Nie rozbieraj się pan zaraz do koszuli o jedno słowo! — krzyknął Belfast, występując przeciwko niemu z zaczepną swadą, ale zarazem i przyjacielsko.

— Czy ten dureń ślepy? — odciął nieposkromiony gałganiarz, rzucając na prawo oczyma i na lewo z udanym zdziwieniem. — Nie widzisz, że nie mam na sobie koszuli?

Rozkrzyżował ręce i z dramatycznym gestem potrząsnął szmatami zwieszającymi się z bioder.

— A dlaczego? — ciągnął podniesionym głosem. — Zapowietrzono Jankesy chciały mnie utrupić za to, że broniłem swoich praw między nimi — Anglik bo jestem! Nasiedli mnie i musiałem nogować. — To dlatego. Czy nigdy nie widzieliście człowieka w opalach? Cóż to za przekłete pudło, ten cały wasz okręt! Nie mieć serca dla człeka, który się wyniszczył do ostatniej nitki. Nie mam nic — zupełnie nic. Ani kufierka, ani łóżka, ani kołdry, ani koszuli — nic, prócz tych łachmaniarskich szmat, w których mnie widzicie. Ale nie dałem się Jankesom... Czy nie ma tam kto z was jakiej pary starych spodni dla towarzysza?

Wiedział, jak podbić naiwną duszę tłumu. W jednej chwili zwróciło się ku niemu współczucie — w formie żartobliwej, pogardliwej lub rubasznej. Pierwsza tegoż oznaka

spadła w postaci koldry, rzuconej na Donkina, gdy tak stał, świadcząc o swej przynależności do społeczeństwa białoskórych nagością członków, prześwietlających spoza fantastycznej czerni łachmanów. Po koldrze padła do jego zabloconych nóg para starych trzewików. Następnie z objaśnieniem: „Do spodu” — zwała mu się na plecy para zwiniętych w trąbkę szarawarów, ciężkich od smołowych plam. Powiew współczucia rozkołysał te zatwardziałe serca, wyzbyte uczuciowości. Wzruszyła je własna ich gotowość do ulżenia biedzie okrętowego towarzysza.

„Już my cię wyekwipujemy!” — wołano. — „Nie widziałem nikogo w tak ciężkim położeniu”. — „Biedaczysko!” „Ja mam dla niego stary kaftan”. „Może się to przyda?” „Bierz-no to, bracie”. — Takie przyjazne nawoływania rozlegały się po izbie czeladnej.

A on zagarniał wszystko bosą stopą na kupę i oglądał się, czy kto nie da więcej. Nawet niewzruszony Archie uzupełnił ten stos, rzucając obojętnie starą czapkę z oberwanym daszkiem. Stary Singleton, przebywający wciąż w krainie wyobraźni, nie odrywał się ani na chwilę od książki. Charley zapiszczał z okrucieństwem młokosa.

— Jeżeli do tej nowej liberii trzeba panu guzików mosiężnych, to mogę służyć — dwoma.

Plugawy obiekt powszechnego miłosierdzia pogroził mu pięścią.

— Ja cię rychło tutaj wytresuję, smyku — warknął. — Nie bój się, już ja cię nauczę szacunku dla starszych marynarzy, nieociosany kolku ty!

Rzucał wściekle spojrzenia, a zauważywszy, że Singleton zamyka książkę, zaczął wodzić paciorkowatymi oczyma po tapczanach.

— Zajmij pan tę pryczę przy drzwiach, ładna! — zachęcał Belfast Donkina.

Idąc za tą radą, zgarnął podarunki w zawiniątko, przyciskając je do piersi, po czym zerknął ostrożnie na rosyjskiego Finlandczyka, który stał z boku zapatrzony gdzieś nieprzytomnie, może zatopiony w kontemplacji czarodziejskich obrazów, opętujących ludzi jego plemienia.

— Usuń no się z drogi, panie Holender — rzekła ofiara brutalności Jankesów.

Fin nie ruszał się z miejsca — nie słyszał.

— Precz, mówię, do kroćset! — krzyknął tamten, odpychając go łokciem — Precz z drogi, ty tumanie głuchoniemy. Dalej!

Potrącony Fin zatoczył się, oprzytomniał i patrzył w milczeniu na krzykacza.

— Takich kołtunów zamajaczonych trzeba krótko trzymać — zaopiniował Donkin uprzejmie w stronę otoczenia — Jeżeli ich się nie osadzi na miejscu, to porwą się na ciebie, jak nic.

Cisnął swoje manatki na puste legowisko, zmierzył kilkoma błyskami sprytnych oczu ryzyko przedsięwzięcia i skoczył ku Finowi, stojącemu w tęym zamiśleniu.

— Ja cię oduczę wystawiania na przejściu, zawalidrogo — wrzeszczał. — Ja ci otworzę senne ślepie, ty łbie koński!

Prawie wszyscy ludzie pozajmowali już swoje łózka, tak że przeciwnicy mieli wolne miejsce do walki. Zaciekawiało wszystkich tak rychłe przeobrażenie się żalosego przed chwilą nędzarza. On zaś, cały w łachmanach, wyskakiwał przed zdumionym Finem i z odległości zamierzał się na jego twarz, ciężką i nieruchomą. Ten i ów, umieściwszy się wygodnie w łózku i zawczasu smakując to widowisko, podjudzał: „Dalej, bierz go, obywatelu z White-Chapel”. Inni wołali: „Zamknijcie gęby i bierzcie się wreszcie za łby!”... Hałas wszczynął się na nowo.

Wtem gruchnęło w pokład nad izbą kilka ciężkich łomotów lewarem, które rozległy się w kasztelu jak strzały armatnie. Ode drzwi zagrział rozkazujący głos bosmana:

— Hej, wy tam! Marsz na rufę. Cała załoga na tył statku, do apelu!

Chwila nagłej ciszy. I wnet podłoga kasztelu zadudniła pod stopami ludzi, zeskakujących z łózek na bosaka i kłapiących po deskach. Wywlekano czapki spod zmiętoszonych kolder. Ten i ów, ziewając, spinał się pasem. Niedokurzone fajki wytrząsano o futryny i wtykano je pod poduszki. Tu i owdzie zrywał się pomruk: „Co u diabła... Czy nie dadzą nam wcale odpocząć?”. Donkin jął ujadać: „Jeśli tak jest na tym okręcie, to my to wszystko musimy zreformować. Już mnie to zostawcie..! już ja”...

Ale nikt z tłumu na niego nie zważał. Cisnęli się ku wyjściu po dwu, po trzech naraz, rozmaszystym natłokiem majtków handlowych, którzy nie potrafili wprost przejść przez drzwi statecznie, po kolei, jak zwykli śmiertelnicy — ci ze szczurów lądowych. Za

nimi szedł orędownik „reform” na okręcie. Wreszcie Singleton, porając się z rękawami kaftana, opuszczał izbę ostatni, rzekłbyś, ojciec gromady całej: tak rosły i wysoko niosący na atletycznym korpusie siwą głowę mędrca zahartowanego w burzach. — Pozostał na miejscu jedynie Charley, sam w tej białej, jaskrawo oświetlonej pustce; siedział między dwoma rzędami ogniw żelaznego łańcucha, biegnącego gdzieś na mroczny przód okrętu. Z gorączkowym pośpiechem kończył łamiętkę talrepowego węzła.

Nagle porwał się, cisnął powrozem w kota i skoczył za nim. Czarny koczur z ogniem nastawionym sztywno, niczym maszt flagowy, przeniósł się w miękkich susach na kotwiczny hamulec.

Gdy marynarze wydostali się z parnego kasztelu, pogodna, czysta noc objęła ich kojącym tchnieniem ciepłego oddechu, falującego w świetlanym opyle nieprzeliczonych gwiazd, jak gdyby zawisłych nad wierzchołkami masztów. Od strony miasta kładły się na czern wód smugi światła, rozkołysane na drobnych falach, podobne do pływających włókien, zakorzenionych gdzieś u brzegu. Szeregi innych światel w oddali ciągnęły się w prostych liniach, jak na paradzie — wobec górujących nad nimi budynków. Po drugiej stronie przystani posępne wzgórze piętrzyły wysoko czarne grzbiety, na tle których migający tam i sam gwiazdzisty punkcik wydawał się spadłą z nieba iskrą. Hen daleko, w stronę Byculli, elektryczne lampy jaśniały u wjazdu do stoczni na szczycie wyniosłych słupów; gorzały oslepiającym, zimnym światłem, niby duchy jakichś złych księżyców zakłęte w niewolę. Okręty, rozsypane po ciemnej tafli przystani, tkwiły na kotwicach w głębokim spokoju. W słabym blasku światel sygnałowych majaczyły niewyraźnie ich obłe, ciężkie kadłuby, niby dziwne, okazałe gmachy, ponieczone przez ludzi na zawsze.

Przede drzwiami swej kajuty pan Baker odbywał przegląd załogi. Ludzie potykali się, mijając główny maszt i idąc ku rufie, widzieli szeroką twarz oficera, biały przed nią papier i senną głowę chłopca o spuszczonej powiekach, który za jego plecami podtrzymywał w wyprężonych rękach świetlisty glob lampy. Nie czekając, aż ucichnie szelest bosych nóg, szurających po deskach pomostu, pan Baker zaczął wywoływać nazwiska. Głos jego brzmiał dobitnie i dostrajał się do powagi chwili — bowiem z odczytaniem tej listy wkraczał tu każdy w przyszłość burzliwą i samotną, w okres walk z żywiołem, ciężkich i nieopromienionych chwałą, a co najważniejsza, w twarde karby obowiązku i pracy wśród niewygód i niewywczasów. Gdy oficer wywoływał imię, każdy z kolei odpowiadał: „jestem” lub „obecny”; oddzielając się od ciemnej masy głów, które rysowały się ponad ciemnym tłem prawej burty, wstępował bosymi nogami w obręb światła, po czym dwoma cichymi krokami przechodził w głęboki cień na lewo — na bakort tylnego pokładu. Odzewy były przeróżne: głucho wymrukiwane lub wygłaszane czysto, dźwięcznie. Niektórzy, traktując widocznie całą tę scenę jako zniewagę osobistą, odpowiadali obrażonym tonem. Karność nie bywa zazwyczaj tak ściśle przestrzegana na handlowych okrętach, gdzie poczucie hierarchii jest słabe, a wszyscy czują się równymi wobec bezmiaru morza i twardej pracy żeglarskiej.

Pan Baker wciąż czytał listę.

— Hanssen — Campbell — Smith — Wamibo... No, dalej: Wamibo? Czemu nie odpowiada? Zawsze muszę go dwa razy wymieniać.

Fin wydobyl z siebie na koniec niezdarne chrząknięcie, wystąpił na łachę światła i przeszedł, dziwny i niezgrabny, z twarzą człowieka zatopionego w śnie.

— Craik — Singleton — Donkin... Boże, cóż to znów?! — wykrzyknął mimo woli pan Baker, gdy ta nad wszelki wyraz odrapana figura pojawiła się w świetle: stanęła, obnażyła blade dżiąsła i wyszczerzyła długie zęby w nieprzyjemnym uśmiechu.

— Czy jest coś we mnie nie w porządku? Panie poruczniku? — zapytał Donkin z pozorną prostotą, w której czyhała bezczelność.

Z obu stron pokładu dał się słyszeć powściągany chichot.

Baker utkwil w nim twarde, niebieskie oczy.

— Dosyć! Przechodź! — mruknął.

I Donkin z kręgu światła pogrążył się raptem w ciemność, by przyjąć od kolegów klepanie po plecach i pochlebne szeptu.

— No, ten się nie złął — pomrukiwano sobie — Ten im zada bobu, zobaczcie... To ci heca!... Widzieliście, jak szyper się na niego wybałuszył. Niech mnie diabli, jeżeli...

Gdy skończyła się lista, pan Baker, wśród chwilowego milczenia, ponownie przebiegał ją wzrokiem:

— Szesnasty, siedemnasty... Jednego mi brak, bosmanie — rzekł głośno.

Tuż obok stojący wielki chłop z Walii, opalony i brodaty, niczym olbrzymi Hiszpan, rzekł głębokim basem:

— Tam na przodku nie ma już nikogo, proszę pana. Zaglądałem tam. Na pokładzie go nie ma, ale może stawi się przed światem.

— Et! Stawi się, albo i nie — uzupełnił starszy oficer. — Nie mogę wyczytać tego ostatniego nazwiska, Zabazgrane całkiem. No chłopcy, dosyć. Zejść na dół!

Niewyraźna i nieruchoma grupa ożyła nagle i jęła się rozpraszać.

— *Wait*¹ — rozległ się nagle jakiś głęboki, dźwięczny głos.

Wszyscy stanęli w milczeniu. Pan Baker, który, ziewając, miał się już do odejścia, odwrócił się z otwartymi ustami. Wreszcie zawołał wściekle:

— Co to jest? Kto krzyknął „czekaj”? Co?

Spostrzegł jakąś wysoką, przy rudlu stojącą postać, która ciężkim krokiem jęła się przeciskać przez tłum na rufę, ku światłu. I znów ten sam donośnie brzmiący głos rzekł z naciskiem:

— *Wait!*

Padło nań światło lampy. Człek był postawny. Głowę jego przysłaniał cień łodzi ratunkowych, zawisłych nad pokładem. Przyświecały z tego mroku tylko białka oczu i białe zęby, ale twarzy nie można było rozeznaczyć. Wielkie ręce wyglądały jak gdyby w rękawiczkach.

Pan Baker przystąpił doń śmiało: „Ktoś ty? Jak śmiesz?” ... zaczął.

Trzymający lampę chłopiec, zdumiony jak i reszta załogi, podniósł światło do twarzy tego człowieka. Była czarna. Rozległ się pomruk zdziwienia i wyraz „Murzyn”, szeptany półgłosem, przebiegł wzdłuż pokładu i zapadł w noc. Murzyn zdawał się tego nie słyszeć; kołysał się miarowo z pewną fanfaronadą. Po chwili rzekł spokojnie: „Nazywam się Wait — Dżems Wait”.

— Mm! — odchrząknął pan Baker. I po kilku sekundach gniewnego milczenia wybuchnął — A, nazywasz się Wait?... I co z tego?... Co tu robisz? Czego się tu drzesz?

Murzyn był spokojny, chłodny, wyniosły — po prostu wspaniały. Ludzie zbliżyli się i otoczyli go kołem. Najroślejszego przewyższał o pół głowy.

— Należę do załogi — oznajmił łagodnie i stanowczo. Głęboki, falujący jego głos rozbrzmiewał bez wysiłku na cały pokład. Była w tym Murzynie jakaś wrodzona, pogardliwa wyrozumiałość i pobłażliwość, jak gdyby z wyżyn swego wzrostu, sześciu stóp i trzech cali, przejrzał już całą czczość ludzkiej głupoty i przedsięwziął sobie nie być dla niej zbyt surowym. Mówił dalej:

— Kapitan najął mnie dziś rano. Nie mogłem przyjść na okręt wcześniej. Gdy wstępowałem na statek po schodkach, zobaczyłem właśnie, że pan odbywa przegląd. Rzecz prosta wykrzyknąłem swoje nazwisko. Myślałem, że zapisano je na liście, i że pan to zrozumie. A pan nie rozumiał.

Tu uciął. Wszyscy byli stropieni. Po jego stronie była słuszność, jak zawsze, i jak zawsze, był gotów przebaczyć. Pogardliwy głos umilkł; Wait stał, dysząc ciężko, pośród tych białych. Jaskrawy blask lampy padał na jego głowę, załamywał się w głębokie cienie, lśnił na wydatnych policzkach. Była to potężna, niekształtna głowa o płaskim i udręczonym obliczu, wzruszającym a brutalnym; tragiczna, tajemnicza, odpychająca maska duszy Murzyna.

Pan Baker, ochłonawszy, podniósł listę do oczu:

— Aha, więc to tak! Prawda. No, Wait, zanieś swoje rzeczy, gdzie należy.

Nagle Murzyn przewrócił dziko oczyma tak, że widać było tylko same białka, wziął się za piersi i zakaszłał dwa razy metalicznym, jakby z pustki brzmiącym i preraźliwie głośnym kaszlem. Kasłanie to rozległo się niczym dwa wystrzały pod sklepieniem; odwróżyła mu echem kopuła nieba i nawet żelazne blachy burt okrętowych zdawały się drgać unisono. Po czym odszedł wraz z innymi.

¹*wait* (ang.) — czekaj. [przypis tłumacza]

Oficerowie, zatrzymawszy się przy drzwiach kajuty, usłyszeli, jak mówił do majtków: „Koledzy, kto z was pomoże mi wnieść bagaż? Mam skrzynię i torbę”. Słowa te, wypowiedziane donośnym, równym głosem, rozległy się po całym okręcie, a w tonie pytania było coś, co wykluczało możliwość odmowy. Po chwili rozległy się krótkie, spieszne kroki ludzi niosących jakiś ciężar. Lecz wysoka postać Murzyna marudziła jeszcze koło otworu głównej luki wśród grupy mniejszych cieni. I rozległ się znowu jego pytający głos:

— Czy wasz kucharz to... dżentelman czarny?

Zaczem rozległo się pełne zawodu i niechęci: „Aha! Hm!” w odpowiedzi na objaśnienie, że kucharz na tym okręcie jest tylko człowiekiem białym.

Jednak pomimo to, idąc wraz z innymi do kasztelu, raczył wetknąć głowę do drzwi kuchni i rzucić tak donośne „dobry wieczór panu doktorowi”, że aż zadzwoniły wszystkie rondle i patelnie.

Kucharz, siedząc na pudle od węgla, kiwał się sennie nad wieczerzą dla kapitana. Zerwał się, jak cięty biczem, i rozwścieczony wybiegł na pokład poto tylko, żeby dostrzec plecy kilku ludzi oddalających się ze śmiechem. Później, gdy była mowa o tej podróży, zwykł był mawiać:

— Nastraszył mnie gałgan. Myślałem, że to diabeł.

Kucharz służył już siedm lat na tym okręcie, a zawsze pod tym samym kapitanem. Był to człowiek poważny, mający żonę z trojgiem dzieci, których towarzystwem cieszył się przeciętnie przez jeden miesiąc na dwanaście! Bawiąc na lądzie, prowadził swą rodzinę co niedziela do kościoła po dwa razy. Na morzu zwykł był sypiać w swej kuchni w pełnym świetle lampy, z fajką w ustach, i otwartą Biblią w ręku. I zawsze ktoś w nocy lampę gasił, zabierał mu Biblię z rąk, a fajkę z zębów wyjmował.

— Bo — urągał mu zazwyczaj zniecierpliwiony i troskliwy Belfast — pewnej pięknej nocy, połkniesz, głupi kuchto, swoją pipkę, i będziemy bez kucharza.

— Ach, synku, gotów jestem na wezwanie mego Stwórcy... Czego i wam wszystkim życzę — odpowiadał zwykle z niezamąconą pogodą, głupawą i wzruszającą zarazem.

Belfast w odpowiedzi na to miotał się w pasji przed kuchennymi drzwiami.

— Ty święty wariacie! Ja nie chcę, żebyś umarł — wył z furią na twarzy i czułością w oczach. — Na co taki pośpiech, ty zatracony, twardy łbie heretycki? I tak cię diabli wezmą zawczasu. Myśl o nas... o nas... o nas!...

I tu zwykle odchodził, tupiąc i spluwając na bok, z wyrazem niesmaku i zmartwienia; tamten zaś wyłaził za nim ze swą patelnią, rozgorzałą na licu, usmolony kopciem i, w poczuciu wyższości a kucharskiej powagi, patrzył z uśmiechem na to miotanie się „zabawnego człeczka”. Wielka łączyła ich przyjaźń.

Pan Baker pozostał dla wytchnienia u luki w tyle okrętu i w towarzystwie drugiego oficera napawał się chłodem nocy... „Ci Murzyni z Indii zachodnich wyrastają pięknie, zwłaszcza niektórzy... Czy nie?... Cóż to za wspaniały okaz ten nasz na przykład, panie Creighton. Wyobrażam go sobie u liny, co?... Hm! Myślę go wziąć do swej wachy”.

Młodszy oficer, rasowy, wspaniale zbudowany młodzieniec o jasnych włosach i stanowczej twarzy, zauważył ze spokojem, że tego się właśnie spodziewał. Ale że w głosie jego czuć było lekką gorycz, więc pan Baker zwrócił się do niego natychmiast z uprzejmą perswazją:

— No, no, młodzieńcze! — mówił, chrząkając co chwila — A to chciwiec z pana. Przecież pan masz przy boku tego dużego Fina na całą podróż. Ale ot co zrobimy. Weźmiesz pan tych dwóch młodych Skandynawów, a ja... Hm!... Ja biorę Murzyna i wezmę tego... Hm!... tego obieżyświata w czarnym fraku. Będę go urabiał... Hę!... I jeśli go nie ujeżdżę... Hm!... nie nazywam się Baker. Hę!... Hm!... Hm!...

Chrząknął srodze po trzykroć. Miał narów chrząkania między wyrazami i na końcu zdań. Było to przebiegłe, znaczące chrząkanie, które doskonale pasowało do jego groźnego sposobu wysławiania się, do kwadratowej postaci o byczym karku, do zamaszystego chodu i wielkiej, pełnej szram twarzy o twardym wejrzeniu i sarkastycznym wyrazie ust. Lecz załoga już dawno wiedziała, co myśleć o jego srogości; lubiano go powszechnie. Belfast, jego faworyt i tych łask świadom, przedrzeźniał go nie tylko za plecami. Z większą ostrożnością naśladował sposób jego chodzenia Charley. Niektóre z jego powiedzeń przyjęły się w kasztelu, gdzie je co dzień powtarzano. Trudno o większą popularność! Mimo to nikt w załodze nie był pewny, czy przy sposobności porucznik „nie rzuci się na

kogo, i tak go nie sponiewiera, jak to jest we zwyczaju na oceanie zachodnim”.

Teraz wydawał ostatnie rozkazy.

— He!... Knowlesie. Zbudzić ludzi o czwartej. Kotwica... Hm!... ma być podciągnięta, zanim przyjdzie holownik. Wyjrzyj no, czy kapitan nie wraca. Ja spocznę w ubraniu... He!... Dasz mi znać o przybiciu szalupy. Hm! hm!... Stary będzie miał prawdopodobnie coś do powiedzenia, gdy wstąpi na pokład — rzucił w stronę Creightona. — Zatem dobrej nocy... He!... He!... Mamy przed sobą długi dzień jutro... Hm!... Na dziś zmykam. Hm! Hm!

Przez ciemny pokład mignęła wstęga światła, potem stuknęły drzwi, i pan Baker znalazł się w swej schludnej kajucie. Młody Creighton oparł się o poręcz i, rozmarzony, patrzył w noc podzwrotnikową. Ujrzał długą, wiejską drożynę, na której rozchwiane cienie liści igrały ze słońcem. Widział rozłożyste konary starodrzewie, łukiem zieleni obejmujące błękit angielskiego nieba, a na jego tle dziewczynę w jasnej sukni, uśmiechniętą pod parasolką, niby zjawisko zstępujące z delikatnego błękitu.

W drugim końcu okrętu izba czeladna, oświetlona jedną już tylko lampą, z wolna pograżała się w senną ciszę, przerywaną niekiedy głośniejszym oddechem, lub nagłym a krótkim westchnieniem. Dwa piętra tapczanów ziały czarnymi wgłębieniami nisz, rzekłbyś: szeregi grobów z niespokojnymi trupami. Tu i owdzie zasłona perkalu o krzyczących barwach zaznaczała mogiłę, w której spoczywał sybaryta. Przez krawędź zwieszała się czyjaś biała, bezwładna noga. Ktoś wysunął ramię z odwróconą do góry, ciemną dłońią o wpółzgiętych palcach. Dwaj majtkowie chrapali na różne tony, niby tocząc z sobą jakiś spór zabawny. Singleton obnażył się znów do pasa — starcowi niezmiernie dokuczalo gorąco; stanął dla ochłody we drzwiach, skrzyżowawszy ręce na tatuowanej piersi. Głową zawadzał o górną belkę. Wpółrozebrany Murzyn zatrudniony był rozpakowywaniem kuferka i rozkładaniem pościeli na wierzchnim tapczanie. Krzątał się, stąpając cicho w skarpetkach; owisłe szelki uderzały go po piętach. Między cieniami podpornic i bukszprytu siedział Donkin z wyciągniętymi nogami i, biegając wokół oczyma, żuł twarde, okrętowy suchar: trzymał go przy ustach całą pięścią i wgryzał się w niego z wściekłym wyrazem twarzy. Okruchy sypały mu się między nogi. Nagle podniósł się.

— Gdzie tu u was beczka z wodą? — rzekł półgłosem.

Singleton, nic nie mówiąc, wskazał mu ją ruchem wielkiej ręki, w której trzymał dymiącą, krótką fajkę. Donkin schylił się nad stągwią i napił z cynowego kubka, rozpryskując wodę. Odwróciwszy się, spostrzegł Murzyna, przyglądającego mu się z chłodną wyniosłością. Podeszedł ku niemu bokiem.

— Taką to człek ma wspaniałą kolację! — szepnął gorzko. — W domu piesby mój za nią podziękował. Ale dla mnie i dla ciebie musi być dobra. I to ma być kasztel dużego okrętu. Ani ochłapu mięsa w menażkach. Zrewidowałem wszystkie szafki.

Murzyn popatrzył nań, jak człowiek niespodzianie zagadnięty w obcym narzeczu. Donkin zmienił ton:

— Daj no, bracie, zuchelek prymki — westchnął konfidencjonalnie. — Nie paliłem ani nie żulem od miesiaca. Wściekam się zatem. No, dajże, stary.

— Nie bądź poufały — rzekł Murzyn. Donkin stropił się i ze zdziwienia aż przysiadł na najbliższej skrzynce.

— Nie pasaliśmy razem świni — ciągnął Dżems Wait stłumionym głosem. — Na, masz tytoń! — Po chwili milczenia spytał: „Jaki okręt?”... „Golden State” — odmruknął Donkin, gryząc prymkę. Murzyn zagwizdał z cicha. „Zbiegłeś?” — pyta. Donkin kiwnął głową, mając jeden policzek wypchany prymką. — „Pewnie, że zbiegłem. Bo naprzód w czasie podróży do tego portu wytlukli duszę z jednego Hiszpana, a potem wzięli się do mnie. Więc dałem nura”. — „Bagaż został?” — „Tak, bagaż i pieniądze — odrzekł Donkin, podnosząc z lekka głos. — Nie mam przy sobie nic. Ani rzeczy, ani pościeli. Jakiś tu koślawy Irlandczyk ofiarował mi koldrżynę. Jak uważam, będę musiał przespać się dziś w żaglu”.

Oddalił się na pokład, wlokąc za sobą zarzuconą na plecy derkę. Singleton, nie spojrzawszy na niego, usunął mu się z drogi. Murzyn zdjął z siebie łądowe ubranie i w schludnym odzieniu roboczym siadł na swej skrzynce z rękami na kolanach. Patrzył przez chwilę na Singletona i spytał obojętnie: „Jakież to ten wasz statek? Przyzwoity? He?”

Singleton ani drgnął. Po dłuższym czasie dopiero rzekł z nieruchomym wyrazem twarzy:

— Statek?... Statki są w porządku. To tylko ludzie na nich...

Rzekłszy to, palili dalej w milczeniu. Mądrość pół wieku, spędzonego na wsłuchaniu się w grznot fal, przemówiła bezwiednie przez jego stare usta. Kot mruczał na windudze. Dżemsa Waita napadł kaszel charczący i jękliwy: szarpał nim, szamotał niby huragan i, roztrzęsionego, z błędnymi oczyma, rzucił wreszcie na podrózny kuferek. Paru ludzi ocknęło się. Jeden odezwał się ze swej pryczy sennym głosem: „Do licha. Cóż to za piekielne hałasy”. — „Przeziębilem płuca” — rzekł Wait słabym głosem. „To się nazywa przeziębienie? Myślę, że to chyba coś więcej!” — burknął tamten. — „O! tak pan myślisz?” — rzekł Murzyn, prostując się, i znowu przybrał wzdrgniętą postawę. Zaczem wspiął się na swój górny tapczan i kasłał bez przerwy, z wysuniętą głową, rozglądając się wytrzeszczonymi oczami.

Nie było więcej protestów. Murzyn padł na wznak na poduszkę i w jakiś czas potem rozległ się jego oddech równy, lecz złączony z przyjęciem, jak u człowieka dręczonego złymi snami.

Singleton stał we drzwiach, zwrócony twarzą do światła. Samotny w półmroku i pustce śpiącej izby czeladnej, wydawał się cięższym, olbrzymim i bardzo starym — jak sędziwy Czas-Ojciec we własnej osobie, który zjawił się w tym miejscu, cichym jak mogiła, aby przyrzeć się cierpliwie chwilowej przewadze snu-pocieszyciela. Atoli Singleton był tylko synem czasu, szczątkiem minionej, pochłoniętej przez czas i zapomnianej generacji. Trzymał się jeszcze krzepko, nie zastanawiając się nad tym, że jest człowiekiem skończonym, mającym poza sobą rozległą pustkę tego, co minęło, a przed sobą żadnej przyszłości; — wrażliwość dziecięca i męskie namietności zamarły w tatuowanej jego piersi. Nie ma już dziś tych, którzy mogli zrozumieć jego milczenie: którzy umieli istnieć poza zwykłymi szrankami życia, pod wejrzeniem wieczności. Byli to ludzie mocni, jak mocnymi bywają ci, którzy nie mają zarówno zwątpień, jak i nadziei. Byli to ludzie niecierpliwi a wytrzymali, burzliwi a zdolni do poświęceń, nieokielznani a wierni. Próbowano w najlepszej wierze przedstawiać tych ludzi jako zraszających łzami każdy kęs chleba i z lękiem o życie przystępujących co dzień do pracy. W istocie byli to ludzie zarówno wdrożeni do mozołu i wszelkiego niedostatku, jak skłonni do porywów gwałtu i rozwiąźłości; obce im było tylko uczucie trwogi i tajonej w sercu nienawiści. Trudni do poskromienia, łatwo dawali się porwać; nie byli wymowni, lecz dość mężni, ażeby ze wzdrgnięciem odpychać sentymentalne roztkliwienia się nad swą ciężką dolą. Była to w istocie dola wyjątkowa i jedyna — a nade wszystko ich własna; — dźwiganie jej zdawało im się przywilejem wybranych. To niezbędne dla narodu pokolenie żyło w zupełnym milczeniu; nie znali słodkich więzów uczuć i domowego schroniska — a umierali wolni od grozy ciemnych, wąskich mogił. Byli wiekiustą dziatwą morza, pełnego tajemnic.

Następcy ich to dorosłe dzieci lądu — wiecznego malkontenta. Ci są bardziej układni, ale nie tak niewinni; mniej bezbożni, ale też i mniej wierzący; jeśli stali się wymowni, to równocześnie nauczyli się i wyrzekać. Tamci zaś byli krzepcy i milczący, zgięci pod trudem i wytrwali, podobni owym kariatydom z granitu, podtrzymującym w ciemnościach nocy wspaniałe wnętrza olśniewających gmachów. Dziś już powymierali — i nikt nie dba o to. Wiarołomne jest morze dla swych dzieci, zarówno jak i ziemia: przemijają wiary i prawdy, mijają pokolenie ludzkie i jest zapomniane; — i nikogo to nic nie obchodzi, z wyjątkiem tych może nielicznych, którzy wierzą w prawdę, wyznają wiarę — albo też miłują ludzi.

Zawiała morka. Okręt, leżący na przypluwowym toku, zaczął się mocniej kołysać, i nagle łańcuch kotwiczny zwieszający się od dźwigu do kluzu (otworu w dziobie) szcęknął, przesunął się o cal, i powoli zaczął wznosić się nad pokładem, sprawiając dziwne złudzenie życia, które zataiło się ukradkiem w tym żelaziwie. Łańcuchowe ogniwa, trąc się o wręb kluzu, jęły chrobotać, zgrzytać i roznosić po całym okręcie głuchy pomruk, przypominający wzdychanie pod wielkim ciężarem. Gdy ruch wywołany szarpnięciem doszedł do dźwigu, łańcuch wyprężył się jak struna i zadrgał, a rękojeść hamulca śrubowego jęła się z wolna obracać. Singleton ruszył z miejsca naprzód.

Dotychczas stał zatopiony w tępej medytacji, spokojny i beznadziejny, z twarzą znużoną i posepną — sześćdziesięcioletni dzieciuch morza. Myśli całego żywota mógłby zawrzeć w sześciu słowach, ale poruszenie się tych rzeczy, równie zespoleonych z jego

istotą, jak bijące w nim serce, natychmiast rozświetliło ponurą jego twarz wyblaskiem czujnej inteligencji. Lampa migotała chwiejnym płomieniem, a starzec, zmarszczywszy krzaczaste brwi, stał nad hamulcem i pilnował jego obrotów, nieruchomy wśród sabatu rozplątanych cieniów. Po chwili okręt, ulegając kotwicy, podał się lekko naprzód i ulżył naprężeniu. Łańcuch nie ściągany zwolnił i po kilku nieznacznych wahnięciach, z głośnym chrobotem brzęknął o deski pokładu. Singleton pochwycił za lewar i potężnym rzutem całego ciała zakręcił hamulec półobrotom. Potem wyprostował się, odetchnął szeroko piersią i czas jakiś patrzył bystro na potężny i ścisły mechanizm, który na pokładzie warował mu u nóg, podobny do potwornej a obłaskawionej bestii.

— No!... trzymajże mi teraz! — mrucał groźnie spod swej wichrowatej brody.

II

Nazajutrz, gdy rozedniało, Narcyz wypłynął na pełne morze.

Lekka mgła przesłaniała widnokrąg. Gładki, niezmierny obszar wód poza przystanią skrzył się jak nasadzona klejnotami posadzka, pusty był jak niebo.

Kusy, czarny holownik ostatnim pociągnięciem nadał statkowi, jak zwykle, obrót pod wiatr, puścił linę, przerwał ruch maszyn i bujał się przez chwilę na miejscu, podczas gdy smukły i wydłużony kadłub Narcyza ruszył naprzód pod wzdymającymi się niższymi topsłami. Luźne, wyższe płachty żaglowe jęły powoli chwytać dech porannego wiatru i nabrzmiewać w łagodne zaokrąglenia, do białych podobne chmurek, uwikłanych w splot sznurów, jak w sidła. Potem umocowano w zaczepach boczne liny żagli, ustawiono poprzeczne drążki rej — i oto statek upodobił się do jakiejś wysokiej i samotnej piramidy, której świetlana biel sunęła wśród oparów mgły, dzierganej złotymi nićmi słońca. Holownik zawrócił na miejscu i oddalał się ku brzegowi. Dwadzieścia sześć par oczu wpatrzyło się w jego szeroką, osadziłą rufę, pełznącą marudnie po drobnych falach między dwójgim kolisk łopatowatych, które wierciły się szybko i siekły wodę z gwałtownym pośpiechem. Był podobny do olbrzymiego chrząszcza, który, zaskoczony światłem, zgębiony jasnością, usiłuje na próżno zemknąć i schronić się w cień dalekiego lądu. Zostawił włokącą się po niebie smugę dymu i podwójny ślad znikającej na wodzie piany. A w miejscu, gdzie się był zatrzymał, widniała krągława, czarna kałuża sadzy, wznosząca się i opadająca z falą — brudna pozostałość po gadzinie, która odbyła tu postój.

Osamotniony Narcyz, kierujący się na południe, cały w promiennych lśnieniach, zdawał się tkwić nieruchomo na tym ruchliwym morzu, w blaskach słońca, sunącego po niebie. Wzdłuż boków statku ślizgały się kłaki piany; o kadłub uderzała z pluskiem woda; ląd cofał się i nikł z wolna; kilka ptaków z rozpostartymi bez ruchu skrzydłami zawisło z krzykiem nad chwiejącymi się wierzchołkami masztów. Niebawem ziemia znikła zupełnie i ptaki odleciały. Na wschodzie, ponad ostry wręb horyzontu wynurzył się trójkątny, spiczasty żagiel jakiejś w kierunku na Bombaj idącej towarówki arabskiej; zamykał i rozwiął się jak złudzenie. I oto droga prosta i długa wyciągnęła się przed okrętem poprzez niezmierną samotność dnia. Na poziomie wód, pod czarną chmurą deszczową, krwawił się szkarłat zachodzącego słońca. Jęła dąć morka wieczorna i nawiała na okręt przelotną ulewę, która wypolerowała go od stóp do głów i pociemniła mu żagle. Płynął lekko, z oporzędzonymi na noc podkładami, party silnym prądem musonu. Wzdłuż boków słychać było przeciągły, monotony szum fal, zmieszany z cichym poszeptem czeladzi, wyznaczonej na wartę. Urwanym jękiem zgrzytnął górą blok jakiś w ożagłowaniu; od czasu do czasu wiatr głośniejszym westchnął.

Pan Baker wyszedł ze swej kajuty i, zanim drzwi zamknął za sobą, już wołał pierwsze nazwisko. Dziś był jego dyżur na pokładzie. W drodze powrotnej, starym zwyczajem, przyjętym na morzu, pierwsza wacha nocna — od godziny ósmej do północy — jest obowiązkiem pierwszego oficera. Przeto pan Baker, wysłuchawszy ostatniego „tak jest, panie”, wymruknął rozkaz: „Zluzować rudel i wartownika!” — i ociężałym krokiem dźwigał się na schodki mostu. Wkrótce potem pojawił się stamtąd pan Creighton i, cicho gwizdząc, szedł do kajuty. O jej drzwi wsparty, dumal posługacz okrętowy; był w pantoflach, z zakasany po łokcie rękawami. Na głównym pokładzie kucharz odmykał swoją kuchnię i sprzeczał się z młodym Charleyem o jakąś parę skarpetek. Słychać było, jak z ciemnego środka okrętu wygłaszał z naciskiem:

— Nie jesteś wart, żeby ci zrobić coś dobrego. Wysuszyłem je dla ciebie, a ty masz do mnie pretensję o dziury. I w dodatku klniesz jeszcze! I to w żywe oczy! Gdybym nie był chrześcijaninem, tak jak ty nim nie jesteś, ty młody zbereźniku, to bym ci sprawił takie lanie... Wynos mi się stąd!

Ludzie stali zadumani, po dwóch lub trzech, albo przesuwali się milcząco wzdłuż burty. Pierwszy roboczy dzień kursu powrotnego miał się ku schyłkowi i przechodził w spokojną, odruchową krzątanie. U góry, na tylnym pomoście, spacerował tam i sam pan Baker, coś w sobie rozważał i pochrząkiwał. Na przodzie statku wartownik, wyprostowany pomiędzy łapami obu kotwic, nucił jakąś melodię bez końca i, jak nakazuje regulamin, wpatrywał się w próżnię przed oczyma. Na czyste niebo nocne wystąpiło mnóstwo gwiazd i zaludniło jego pustkowie. Świeciły nad morzem jak żywe istoty; otaczały płynący okręt ze wszystkich stron, bardziej wyraziste niż oczy tłumu i niedocieczone jak ludzkie dusze.

Podróż zaczęła się i okręt — oderwana od ziemi drobina — płynął szybko, samotny, jak mały planeta. Otaczający go bezmiar nieba i nieskończoność wód łączyły się w jedno — hen tam, na niedościgłych kresach. Wielka samotność szła z okrętem, ciągle zmienna, a wciąż ta sama, zawsze monotonna i zawsze imponująca. Od czasu do czasu inny biały punkt wędrowny, obarczony życiem, zjawiał się w dali i znikał, pilnie trzymając się wyznaczonego sobie kierunku.

Słońce patrzyło przez cały dzień na okręt, i co rano witało go płomiennym, rozciekawionym okiem. A przed okrętem leżał własny jego cel: ożywiało go życie istot, których kroki rozlegały się na pokładzie. Jak ta ziemia, która oddała go na pastwę morzu, dźwigał niezmierny ciężar żalów i nadziei. Żyła na nim lękliwa prawda i żyło na nim zuchwałe kłamstwo. Nieświadom niczego, tak jak i ziemia, pięknym był dla oka zjawiskiem, skazanym przez ludzi na niegodny los. Lecz dostojna samotność drogi uszlachetniała pospolite cele jego pielgrzymstwa. Wzbijając pianę, dążył ku południowi, rzekłbyś, natchniony odwagą, jaką daje wielkie przedsięwzięcie. Czas zmalał wobec uśmiechniętego ogromu morza. Dni leciały za dniami, lśniące i chybkie, podobne do błysków latarni morskiej, a noce krótkie, pełne zdarzeń, zdawały się lotnymi snami.

Załoga weszła w normalny tryb, i co pół godziny odgłos dzwonu regulował życie, polegające na bezustannym czuwaniu. Dzień i noc widziało się u steru głowę i plecy żeglarza, odcinające się wysoko, w blasku słonecznym, albo na tle gwiazdzistej nocy; ciemna sylweta trwała w niezmiennym spokoju nad obracającymi się ciągle szprychami koła. Zmieniały się twarze, jakby w ruchu obrotowym. Twarze młodzieńcze, twarze brodate, twarze ciemne — pogodne albo zgryźliwe — lecz ze wspólną wszystkim cechą zbratania się z morzem, z tym samym wyrazem oczu, wpatrzonych bacznie w kompas lub podglądających ku żagliom. Kapitan Allistoun, pełen powagi, z szyją okręconą starym czerwonym szalikiem, przebywał cały dzień na tylnym pomoście. W nocy zaś wynurzał się częstokroć spod kłapy schodków i stał, jak duch nad grobem, niemy i czujny pod gwiazdami; nocna jego koszula trzepotała się jak flaga. Po niejakiem czasie znikał bez szelestu w otworze schodów. Był rodem z przylądka Pentland Firth. W młodości, na statku wielorybniczym, osiągnął rangę harpunnika. Gdy mówił o tych czasach, jego szare, ruchliwe oczy zatrzymywały się i krzepły lodowato. Później, dla odmiany, wstąpił na handlową służbę Wschodnio-Indyjską. Kapitanem Narcyza był od czasu jego budowy. Kochał swój statek i gnał go bez miłosierdzia. Miał ambitne marzenie odbyć na nim kiedyś świetny kurs pośpieszny, o którym musiałaby być wzmianka w gazetach poświęconych żegludze. Nazwisko właściciela statku wymawiał z szyderskim uśmiechem; do oficerów odzywał się rzadko, a za omyłki strofował głosem łagodnym, ale słowami przejmującymi do szpiku. Włosy miał stalowo-siwe, twarz srogą, koloru surowca. Golił się co dzień o szóstej rano, wyjąwszy raz jeden tylko, kiedy na osiemdziesiątej mili na południo-zachód do Maurycego, zaskoczony strasliwym huraganem, obrządku tego przez trzy kolejne dni zaniechał. Nie lękał się niczego, prócz Boga, który win nie darowuje. Pragnął skończyć swój żywot w jakiejś małej chatce, z kawałkiem przyległego do niej gruntu, gdzieś w zapadłej okolicy, z dala od widoku morza.

Ów władca małego światka rzadko kiedy zstępował z olimpijskich wyżyn swego pomostu. Na dole, u jego stóp, odbywał się pracowity, lecz podrzędny mozół życiowy

zwykłych śmiertelników. Na głównym pokładzie pan Baker pomrukiwał srogo, lecz nieszkodliwie, obdzielając nas wszystkich zrządzeniem, ponieważ, jak mówił, płatny jest za to. Czeladź, zajęta pracą na pokładzie, była zdrowa i czuła się zadowolona, jak większość marynarzy, gdy się już dobrze przystosuje do morza. Prawdziwy spokój Boży zaczyna się w każdym punkcie, odległym o tysiąc mil od najbliższego lądu. A kiedy Bóg posyła tam zwiastunów swej mocy, to nie po to, ażeby w straszliwym gniewie karać za zbrodnie, za hardość lub za występki, lecz aby po ojcowsku skarcić te prostacze dusze, nie mające pojęcia o życiu, te serca, których uderzeń nie reguluje zysk lub zawiść.

Pod wieczór doprowadzony do czystości pokład przybierał wygląd spokojny i przypominał lądową jesień. Słońce chyliło się ku spoczynkowi, otulone płaszczem ciepłych obłoków. Na przodzie statku, na zapasowych belkach, siedzieli bosman z cieślą, obydwaj dobrotliwi i potężni, ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Obok nich krótka, przysadkowata postać, majster od żagli — służył niegdyś we flocie wojennej — opowiadał, między dwoma zaciągnięciami fajką, niemożliwe bajdy o admirałach. Drepcząc po pokładzie i utrzymując bez trudu równowagę w tej ograniczonej przestrzeni, chodziły sobie pary tam i z powrotem. W przegródce dla trzody chlewnej pokwikiwały świny. Belfast, wsparty łokciami o żerdzie przegródki, milczeniem pełnym zadumy obcował z tą nierogacizną. Majtkowie, w koszulach rozpiętych na ogorzalej piersi, zalegli przyczepy lin i poobsiadali stopnie kasztelowych schodów. U przedniego masztu zebrano się kółko i toczyło dyskusję na temat charakterystyki dżentelmana.

— To zależy od pieniędzy — rzekł jeden.

— Nie! Od sposobu wyrażania się — zapewniał drugi.

Kulawy Knowles przywłókł się z nieumytą twarzą (uchodził za największego brudasa w kasztelu) i ze śmiechem starego wygi, szczerząc resztę żółtych kłów, oznajmił z przekonaniem, że „widział kilka par spodni tych dżentelmanów”. „Miały — powiada — od ciągłego siedzenia przy biurku tyły cieńsze niż papier, a w innych miejscach wyglądały pierwszorzędnie i mogłyby wytrzymać jeszcze lata. Cała rzecz — pozor. Diabelnie łatwo — powiada) — być dżentelmanem, gdy się ma czyste zajęcie”. Dysputa ciągnęła się bez końca, uporczywa i dziecinna. Każdy wykrzykiwał z zaognioną twarzą zdumiewające argumenty. A lekki wiatr, który sphywał po ogromnej wklęsłości przedniego żagla, rozpostartej nad ich głowami, muskał przelotnie zwichrzone czupryny, jakby z wyrozumiałą pieszczotą.

Zapomnieli o ciężkich trudach, zapamiętali się zupełnie. Zbliżył się i kucharz, by posłyszeć, co mówią, i stał, promieniejąc wewnętrznym poczuciem swej wiary, z miną świętego, który ma pewność nagrody w niebiosach. Donkin, osamotniony na przednim pomoście i przeżuwiający wspomnienia doznanych krzywd, przysunął się, ażeby uchwycić wątek dyskusji, toczącej się u jego stóp. Błądą twarz obrócił ku morzu i latającymi nozdrzami wciągał w siebie wiatr. W czerwieni zachodu płonęły ożywione lica, błyskały zęby, iskrzyły się oczy. Ludzie, przechadzający się po pokładzie, przystawali niekiedy w błogim śmiechu całej gromady. Jakiś pochylony nad stągwią osobnik aż przysiadł, rozbawiony, z namydlonymi ramionami. Do słuchaczy raczyli się przyłączyć nawet trzej podoficerzy; wygodnie rozparci, przysłuchiwali się z uśmiechem wyższości. Belfast, zajęty skrobaniem ucha swej ulubionej świni, przerwał tę czynność i z otwartymi ustami i wścibskim wejrzeniem jął czyhać na sposobność wtrącenia się do rozmowy. Załamywał ręce i wykrzykiwał twarz, gdy mu się to nie udawało. Charley z odległości rzucił w to zgromadzenie okrzyk:

— O dżentelmanach to ja więcej wiem, niż wy wszyscy. Ja żyłem z nimi za pan brat... Czyściłem im buty.

Kucharz wyciągnął kark, jak żuraw, by lepiej słyszeć. Był zgorszony.

— Stul pysk, gdy mówią starsi, poganinie bezwstydnym!

— No dobrze, dobrze, stary Alleluja — odparł Charley pojednawczo.

Po jakimś tam powiedzeniu brudnego Knowlesa, wygłoszonym z niesłychanie dowcipną miną, powstał śmiech; rósł jak wzbierająca fala, aż wyładował się w salwie głośniego rechotu. Tupano obiema nogami, zadzierano do nieba pełne wrzasku twarze; niektórzy z hałasem trzepali się po biodrach; ten i ów, zgięty wpół, trzymał się za boki, ciężko dysząc, jakby w paroksyzmie bólu. I cieśla, i bosman, nie zmieniając pozycji, trzęśli się ze śmiechu. Żagielnik, brzemienny swoją anegdotą o jakimś admirał, siedział i dąsał się;

kucharz wycierał sobie oczy zatuszczoną szmatą, a sam Knowles, kuternoga, zdumiony swoim sukcesem, stał pośrodku i uśmiechał się tylko.

Twarz Donkina, opartego o poręcz, nagle spowaźniała. Coś jak charczenie dało się słyszeć przez drzwi kasztelu. Zmieniło się w pomruk i na koniec przeszło w jednostajny jęk. Człowiek zajęty myciem zanurzył raptem obie ręce w stągwi; kucharz przybrał minę bardziej zgnębioną niż zbity z tropu, wyśmiany heretyk; bosman niespokojnie ruszał ramionami; cieśla skoczył na nogi i odszedł precz, a zaś żagielnik, czując, iż anegdota jego przepadła, jął pykać fajkę z posępną determinacją. W czarnej czeluści korytarza zatiła się para wielkich, nieruchomych oczu i błysnęła białkami. Potem wysunęła się głowa Dżemsa Waita, niby zawieszona w powietrzu między jego rękami, trzymającymi za drzwi z obu stron twarzy. Kutas niebieskiej wełnianej szlafmicy zwiślał mu nad lewym okiem i podskakiwał wesoło. Podeszedł bliżej chwiejnym krokiem. Wyglądał krzepko, jak zawsze, ale chód jego był dziwnie niepewny i jakby sztuczny. Twarz zdała się cokolwiek szczuplejsza, a oczy bardziej wypukłe. Samą obecnością swą, rzekłbyś, wypłaszał resztkę zachodzącego światła. Jakoż słońce utonęło raptem w morzu, jak gdyby uciekając przed tym Murzynem, który rozsiewał czarną mgłę — nieuchwytny, złowieszczy wpływ; coś chłodnego i ponurego promieniowało z niego, osiadając na twarzach niby żałobna krepa. Towarzystwo rozproszyło się. Umilkła głośna wrzawa; na ustach ludzi zastygły nawet półuśmiechy. Nie odzywano się ani słowem. Niektórzy odwrócili się plecami, siłac się na obojętność; inni rzucali z ukosa niechętnie spojrzenia. Byli podobni raczej do grona przestępców, świadomych swego zлочynu, aniżeli do uczciwych ludzi, nagle rzeczą przykrą zakłopotanych. Dwóch lub trzech tylko zachowało pewność siebie, ale i ci nawet stali z głupią miną i otwartymi ustami. Wszyscy oczekiwali, ażeby Dżems Wait cośkolwiek powiedział, i jednocześnie wszyscy jakby z góry wiedzieli, co powie. A on, oparty plecami o framugę drzwi, obrzucał nas surowymi oczyma chorego władcy-tyrana, poskramiającego tłum, który płaszczy się, lecz knuje zdradę, jak niewolnik.

Nikt się nie oddalał. Wszyscy czekali, opanowani jakimś uroczym strachem. A on, chwytając oddech między słowami, rzekł szydlerczo:

— Dziękuję wam... chłopcy. Jesteście... tacy uprzejmi... i... tacy spokojni... doprawdy! Te wycia wasze! — za moimi drzwiami!...

Zamilkł, a żebra jego pracowały usilnie nad oddechem. Ciężko było na to patrzeć. Zaszurały nogi. Belfast głośnie westchnął. Tylko Donkin w górze błyskał czerwonymi powiekami bez rzęs i uśmiechał się gorzko nad głową Murzyna.

A Murzyn z dziwną łatwością ciągnął dalej. Już nie dyszał, a głos jego brzmiał donośnie i rozlegał się jakby pod sklepieniem pustej piwnicy. Dygotał wzgardą i gniewem.

— Próbowałem cokolwiek usnąć. Wiecie, że nie mogę sypiać po nocach. A wy tu pod drzwiami rozgadaliście się, jak zapowietrzona zgraja starych kumoszek!... Uważacie się za dobrych kolegów, co?... Dużo was obchodzi człowiek umierający.

Belfast zerwał się od chlewka.

— Jimmy! — zawołał drżącym głosem — gdybyś nie był chory, to ja bym ci...

Urwał. Murzyn poczekał chwilę, wreszcie rzekł ponuro:

— To byś mi co?... Rozprawiaj się z takim, jaki sam jesteś. Daj mi spokój. Niedługo już. Umrę wkrótce... Zbliża się koniec!

Ludzie stali wokoło w milczeniu, zaledwie dysząc, z bezradnością w oczach. Oto właśnie, czego się obawiali i o czym nie chcieli słyszeć — oto myśl o skradającej się śmierci — myśl, którą przeklęty Murzyn narzucał im kilka razy na dzień, jak pogroźkę. Zdawało się, iż dumny jest z tej śmierci, która jak dotąd ułatwiała mu tylko życie. Pysznił się, że nikt inny, prócz niego, nie żył w takiej zażyłości z tą nieodstępną towarzyszką. Lubił się nią popisywać tak uporczywie, że obecność tej śmierci wydawała się rzeczą niewątpliwą i zarazem nieprawdopodobną. Bo jakże posądzać człowieka o tak potworny, że śmiercią zażyły związek! Czy ten gość, nieustannie przez Murzyna oczekiwany — to rzeczywistość, czy też oszukaństwo? Wahaliśmy się pomiędzy litością a niedowierzaniem. Za najmniejszą wątpliwością z naszej strony Wait stawiał nam przed oczy natrętny i haniebny kościotrup. Bez ustanku obrabiał ów temat. Mówił wciąż o śmierci, która ma przyjść, jak gdyby już tu była, jak gdyby przechadzała się po pokładzie, jak gdyby miała za chwilę wejść do kasztelu i ułożyć się do snu tam — w tej jedynej wolnej koi; jak gdyby zasiadała z nim razem do każdego posiłku. Uczestniczyła w naszych zajęciach, w naszych odpoczynkach

i rozrywkach. Byliśmy pozbawieni śpiewu i muzyki wieczorem, ponieważ Jimmy — jak nazywaliśmy go pieśczołliwie, chcąc zamaskować nasz wstręt do jego towarzyski — ciągłą możliwością swego zejścia zdołał zepsuć równowagę nawet Archie'emu, posiadaczowi harmonijki. Po kilku dotkliwych odezwaniach się Jimmy'ego Archie wyrzekł się koncertów, mówiąc:

— E, grać takiemu, co nie z tego świata. Nie wiem, co mu jest, ale źle z nim, bardzo źle. Nie ma co prosić, żebym grał. Nie chcę.

Śpiewacy nasi milczeli, bo Jimmy konał.

Z tego samego powodu człek nie może — jak mówił Knowles — przybić gwoźdźca do ściany, pod swój przyrodziewek, nie narażając się na krzyki, że zakłóca ostatecznie chwile Jimmy'ego, które jakoś nigdy się nie kończą. W nocy, zamiast rzeźkich nawoływań: „Pierwszy dzwon! Ruszaj się! Czyście ogłuchli tam! Hej! Na nogi!” — warta była wywoływana imiennie i szeptem, ażeby przypadkowo nie zakłócić Jimmy'emu snu, może ostatecznego w tym życiu. Co prawda sypiał on zawsze na jedno oko i gdyśmy się skradali na palcach, potrafił zawsze postać za nami jakiś przykry docinek, tak że wydawaliśmy się brutalami, a po jakimś czasie zaczynaliśmy podejrzewać siebie o głupotę. Rozmowy nasze w kasztele odbywały się po cichutku, jak gdyby to była świątynia. Posiłki spożywaliśmy w milczeniu i strachu, gdyż Jimmy był w jadł wybredny i otrząsał się na pekeflasz, na biszkopty, na herbatę — jako na artykuły nienadające się na żywność dla ludzi — osobliwie dla ludzi umierających!

— Moglibyście — mawiał — znaleźć jakiś uczciwszy płat mięsa dla chorego, który powraca do domu na kurację... albo na swój pogrzeb. Ale wam o tym mówić! Gdyby to zależało od was, już byście się mnie pozbyli. Otrulibyście mnie. Popatrzcie no, coście mi tu dali!

Potrawy przynosił mi do łóżka, tłumiąc wściekłość, ale pokornie, jak służba znieawidzonego despoty; odpłacał nam za to nieprzejednaną zgryźliwością. Umiał opanować podstawową głupotę ludzką i trzymać ją na uwięzi; — posiadał tajemnicę życia — i opanował każdą chwilą naszej egzystencji. Acz z rozpaczą, uznawaliśmy jednak tę jego władzę. Mały Belfast o żywym temperamencie, zawsze krańcowy, stale gotów był rzucić się na Jimmy'ego, albo wybuchnąć płaczem. Raz, wieczorem, zwierzył się Archie'emu:

— Za pół pensa urwałbym czarny łeb temu wykrętnemu draniowi.

A pocziwy Archie udawał, że jest zgorszony! Niech to da miarę czarodziejskiego wpływu, jaki wywierał na nas, ludzi prostodusznych, ten Murzyn z St. Kitt, trafem do nas przybłąkany. Ale teje samej nocy Belfast wykradł z kambuza przeznaczony dla oficerów tort owocowy, pragnąc, ażeby nasz wybredny łakotniś miał się czym delektować. Narażał na niebezpieczną próbę nie tylko swoją długą przyjaźń z kucharzem, ale co gorsza — wystawiał na szwank nawet zbawienie swej duszy. Kucharz nie posiadał się ze zgryzoty! Nie schwytał wprawdzie winnego, ale wiedział, że zło się krzewi; wiedział, że szatan kryje się wśród tych ludzi, nad którymi poczuwał się do opieki duchowej. Gdy ujrzał nas we trzech lub czterech, zaraz odlatywał od swych garnków, aby nam prawić kazanie. Uciekaliśmy przed nim; tylko Charley, który znał złodzieja, wystawiał się na sztych z najniewinniejszą miną, doprowadzając pocziwca do irytacji.

— To na pewno ty zrobiłeś — białł z westchnieniem i z plamą sadzy na brodzie — To ty, głównie piekielna!... Już nie będziesz więcej suszył skarpetek w mojej kuchni.

Później powiadomiono nas nieoficjalnie, że jeśli się kradzież powtórzy, to wstrzymają nam porcje marmelady (pół funta na głowę). Pan Baker przestał zasypywać swych ulubieńców żarcikami i niedowierzająco chrząkał na wszystkich. Zimne oczy kapitana błyskały ku nam podejrzliwie z wysokości pomostu, gdyśmy wieczorem zajęci byli zwykłą czynnością przy linach. Trudno robić wiele gwałtu o takie złodziejstwo na okręcie handlowym, ponieważ wyraża ono niekiedy tylko niezadowolenie czeladzi z oficerów. Zły to znak. Może się to skończyć Bóg wie jaką zamieszką. *Narcyz* był dotąd okrętem spokojnym, ale ten wypadek zachwiał podwaliną wzajemnej ufności. Donkin nie krył swojej radości. A my byliśmy zatrwózeni.

Belfast, nielogiczny jak zwykle, jął z pasją obrzucać Murzyna wymówkami. Urażony Dżems Wait, z łokciem na poduszce, odparł, chwytając z trudem powietrze:

— Czy prosiłem cię, żebyś dla mnie ściągał to paskudztwo? Niech cię wszyscy diabli z twoim tortem! Gorzej mi po nim — ty błaznie irlandzki!

Belfast sponował, drgnęły mu wargi, rzucił się na Murzyna. Wszyscy w kasztelu, jak jeden mąż, powstaliśmy z krzykiem. Była chwila dzikiego zamieszania. Ktoś wrzasnął przeraźliwie:

— Hola, Belfast! Hamuj się!

Myśleliśmy, że Belfast zadusi Waita natychmiast. Zakotłowało się. W tumanie kurzu słyszeliśmy kaszel, wybuchający metalicznym dźwiękiem, jak uderzenia gongu. Za chwilę Belfast już zawisł u szyi przeciwnika i mówił błagalnie:

— No, Jimmy! No! Nie bądźże taki! Anioł by z tobą nie wytrzymał — z takim chorym, jak ty.

Z krawędzi łóżka Jimmy'ego spozierał ku nam mokrymi od łez oczyma, ze skurczem ust; potem usiłował poprawić koldrę choremu. Morze napelniało kasztel swym nieustającym szeptem. Czy się Dżems Wait przeląkł? Czy wzruszył? Czy też żałuje? Leżał na wznak, bez ruchu, jak gdyby oczekiwany gość zjawił się wreszcie. Wzruszony Belfast poprawiał mu koldrę u nóg i powtarzał czule:

— Tak, tak. My wiemy. Żle z tobą, bardzo źle... Powiedz no, czego byś sobie życzył, a... My wiemy, że z tobą jest bardzo źle...

Nie! Stanowczo Dżems Wait nie był wzruszony i nie żałował. Prawdę powiedziawszy, wyglądał raczej, jakby się czemś przeraził. Usiadł nagle ze zdumiewającą łatwością.

— A więc powiadasz, że źle ze mną? — rzekł posępnie najczystszym barytonem (nieraz, słysząc go, nigdy byś nie pomyślał, że temu człowiekowi coś jest) — Żle ze mną? Więc się do tego zastosuj! Niektórzy z was nie potrafią nawet okryć koldrą chorego! Zostaw mnie! Mogę być jak zemrzeć.

Belfast odszedł, kulejąc, z gestem zniechęcenia. W ciszy kasztelu, zapchanego rozgórzkowanymi ludźmi, Donkin rzekł wyraźnie:

— Gadaj zdrów! — i zachichotał.

Wait obrzucił go wzrokiem. Wzrok był zgoła przyjazny. Nie można było wiedzieć, co naszemu nieobliczalnemu choremu przypadnie do gustu. Ale ten pogardliwy chichot trudno było wytrzymać.

Donkin zajął w kasztelu stanowisko wybitne, ale niebezpieczne. Wybitność polegała na tym, że był ogólnie nie lubiany. Stroniono odeń i w osamotnieniu swym nic nie mógł przedsięwziąć; rozmyślał tylko o mroźnych wichrach na przylądku Dobrej Nadziei i nękał się zazdrością, że zaopatrzeni jesteście w ciepłą odzież i nieprzemakalne płaszcze. Nasze buty morskie, nasze skórzane, tłuszczem nasycone kurtki, nasze dostatnio wypakowane skrzynki żeglarskie były dla niego powodem gorzkich rozpamiętywań. Nie posiadał żadnej z tych rzeczy i czuł instynktem, iż nikt, w razie potrzeby, nie zechciałby się z nim dzielić. Łasił się nam bezwstydnie, jak pies, a względem oficerów był systematycznie zachwala. Spodziewał się po tym systemie postępowania najlepszych dla siebie rezultatów — zawiódł się jednak. Podobne jemu natury zapominają, że doprowadzeni do ostateczności ludzie bywają sprawiedliwi nawet wbrew samym sobie. Grubiaństwa, które pan Baker długo znosił od Donkina, zbrzydły nam w końcu do szczytu i ogromnie byliśmy radzi, gdy ten oficer dał mu pewnej ciemnej nocy odprawę, aż miło. Rzecz była załatwiona sprawnie, z zachowaniem przyzwoitego *decorum* i bez wielkiego hałasu. Wezwano nas przed samą północą do rej, a Donkin — jak zazwyczaj — robił impertynenckie uwagi. Staliśmy sennym rzędem, trzymając się za przedni bras, i czekaliśmy dalszej komendy. Wtem rozlega się w ciemności tupot nóg, jak przy bijatyce; słyszymy krzyk, jakby przy napadzie zniecka, dolatuje odgłos klapsów i szturchańców, i stłumiony, syczący szept:

— Ot, masz!... Chcesz więcej, hę?!

— Nie! Nie!

— To zachowuj się, jak...

— O! O!...

Dalej tępy łomot, połączony z chrzęstem żelastwa, jak gdyby jakieś bezwładne ciało stoczyło się między pręty głównej pompy. Nim zrozumieliśmy, co się stało, pan Baker podszedł ku nam i zakomenderował z lekka zniecierpliwionym głosem:

— Ciągnąć, chłopcy!

Z pośpiechem wykonaliśmy rozkaz. Jak gdyby nic nie zaszło. Pierwszy oficer do-
glądał nas ze swoją zwykłą dokładnością, która doprowadzała nas do rozpacz. Donkin
gdzieś zniknął, ale to nas nie martwiło. Gdyby pan Baker wyrzucił go za burtę, nikt by
nie rzekł ponad jakies: „No! Już go nie ma!” W rzeczywistości nie stała mu się wielka
krzywda, aczkolwiek utracił jeden z przednich zębów. Stwierdziliśmy to nazajutrz, ale
zachowywaliśmy się milcząco, według przyjętej etykiety kasztelu, która nakazywała nam
być w takich razach ślepyimi i głuchymi; do naszych morskich reguł przyzwoitości odno-
siliśmy się z większym szacunkiem, niż ludzie lądu do swoich lądowych. Tylko Charley,
z karygodnym brakiem *savoir vivre'u*, palnął:

— Byłeś pan u dentysty, co? Bolało?

Tu dostał zaraz w łeb od swego najlepszego przyjaciela. Zdziwiło go to; chodził skwa-
szony najmniej przez trzy godziny. Przykro nam było, ale cóż? Młodość potrzebuje więcej
karności niż wiek dojrzały. Donkin wyszczerzył kły jadowicie. Od tego dnia przestał się
liczyć z wszelkimi względami; nazywał Jimmy'ego „czarną szują”, a nam dawał do zrozu-
mienia, że jesteśmy trzodą głupców, których jeden chytry Murzyn co dzień wyprowadza
w pole. A Jimmy zdawał się lubić tego draba!

Singleton prowadził żywot niezakłócony przez żadne ludzkie wzruszenia. Milczący
i poważny, oddychał tym samym co i my powietrzem, i to stanowiło jedyny jego łącznik
z nami. Usiłowaliśmy być porządnymi ludźmi i uważaliśmy to za diablo trudne. Pra-
gnienie cnoty z jednej strony, a obawa śmieszności z drugiej, trzymały nas w ciągłym
wahaniu. Chcieliśmy zabezpieczyć się od wyrzutów sumienia, lecz nie pragnęliśmy wcale
stać się ofiarami własnej uczuciowości. Nienawistna kamratka Jimmy'ego — śmierć —
plugawym tchnieniem nawiała do serc naszych jakiegoś subtelnego kręactwa, o którym
nam się dotąd nie śniło. Byliśmy powarzeni i oblatywał nas strach. Czuliśmy to wyraź-
nie. A Singleton — zdawało się — o tym wszystkim nic nie wie i niczego nie rozumie.
Dotychczas mieliśmy go za mędrca, na jakiego wyglądał, ale teraz niekiedy ośmielaliśmy
się podejrzewać go o starcze przytępienie.

Jednak pewnego dnia, gdyśmy podczas obiadu siedzieli na swych kuferkach, otaczając
kołem cynową misę ustawioną na pokładzie, Jimmy wypowiadał swój powszechny wstręt
do ludzi i rzeczy i używał specjalnie obrzydliwych określeń. Singleton podniósł głowę.
Umilkliśmy. Starzec, zwracając się do Jimmy'ego, spytał:

— Czy jesteś naprawdę umierający?

Tak zagadnięty Dżems Wait oniemiał i stracił rezon. I my wszyscy byliśmy poruszeni:
porozdziawiane gęby, serca tłukące się w piersi, mrugające szybko powieki. Jakaś łyżka
cynowa upadła z brzękiem w misę, ktoś podniósł się do odejścia i stał, nie odchodząc...
Chyba z minutę Jimmy usiłował zebrać się na odpowiedź.

Rzekł niepewnym głosem:

— Jak to? Nie widzisz pan, że mi na to idzie?

Singleton podnosił do ust umoczony suchar (zęby mu się — jak twierdził — już
stępiły i nie tną ostrzem):

— Więc dobrze. Umieraj i nie zwracaj nam głowy tą sprawą. My nie możemy ci
pomóc.

Jimmy padł na swoją koję i przez dłuższy czas leżał milcząc, tylko od czasu do cza-
su wycierał sobie pot z czoła. Po uprzątnięciu naczyń omawialiśmy szeptem to zajście.
Byli tacy, którym to sprawiło ogromną uciechę. Inni spoważnieli. Wamibo, ocknąwszy
się z sennego rozmarzenia, uśmiechał się niemrawo, a jeden z młodych Skandynawów,
dęczone wątpliwościami, ośmielił się podczas tzw. psiej warty zwrócić się do Singleтона
(starzec niezbyt nas do rozmowy z sobą zachęcał) i spytał go naiwnie:

— Czy pan myśli, że on umrze?

Singleton spojrział i rzekł z namysłem:

— Czemużby nie miał umrzeć? Owszem, umrze.

To brzmiało nieodwołalnie. Werdyktu, obwieszzonego przez wyrocznię, wywiadow-
ca nie omieszkiał udzielić i nam wszystkim. Zażenowany, lecz przejęty ważnością swego
posłannictwa, podchodził do tego lub owego i, patrząc w bok, recytował swoją formułę:

— Stary Singleton powiada, że on musi umrzeć.

Była to dla nas wielka ulga. Dowiedzieliśmy się nareszcie, że litość nasza była uspra-
wiedliwiona; będziemy znów mogli śmiać się szczerze, opuszczą nas złe przeczucia. Ale

nie wzięliśmy w rachubę Donkina. Donkin „nie życzył sobie mieć do czynienia z jakimś zapowietrzonym obcokrajowcem”. Gdy Neillssen przyszedł do niego z nowiną: „Singleton powiada, że on umrze” — odparł mu pogardliwie:

— Umrzesz i ty, Holendrze tępogłowy! Żeby was cholera wytlukła wszystkich, co tu przyłazicie odbierać nam zarobek i wywozić grosz do waszego ogłodzonego kraju.

Byliśmy zdruzgotani. Pojęliśmy, że odpowiedź Singletona w rezultacie nie zdała się na nic. Zaczęliśmy go nienawidzić, że z nas zakpił. Cała nasza pewność rozwiąła się; z oficerami byliśmy na stopie zachwianej. Kucharz postawił nad nami krzyżyk; doszło do naszych uszu zdanie bosmana, że jesteśmy „gromadą kpów”. Podejrzewaliśmy Jimmy’ego, posądzaaliśmy wzajem jedni drugich i nie ufaliśmy nawet samym sobie. Nie wiedzieliśmy, co począć. W każdziutkiej chwili naszego ubożego życia, co rusz to natykaliśmy się na Jimmy’ego i jego straszną, zakwefioną towarzyszkę. W dziwnym żyliśmy poddaństwie.

Zacząło się to w tydzień po wypłynięciu z Bombaju i spadło na nas znieca, jak każde nieszczęście. Zaraz na samym początku zauważyliśmy, że Jimmy coś wątlawy jest przy robocie; myśleliśmy, że to jest następstwem jego filozoficznych zapatrywań na życie. Donkin mówił mu: „Pan ważysz u liny mniej od marnego wróbla”. Pogardzał nim. Belfast, gotów do bójki, wykrzykiwał zaczepnie: „Ty, stary, nie zabijasz się pracą”. — „A ty co?” — odpierał Murzyn z niezmierną wzgardą, i Belfast składał broń. Pewnego dnia, gdyśmy rano byli zajęci szorowaniem pokładów, pan Baker zawołał nań:

— Chodź no tu ze swoją szczotką, Wait.

Wait powlókł się ociężale.

— Ruszajże się! He! — chrząknął pan Baker — Co ci jest w zadnie nogi? — Wait zamarł na miejscu. Powiódł wylażącymi z orbit oczami z wyrazem męstwa i smutku:

— To nie moje nogi, to moje płuca.

Wszyscy nastawili uszów.

— A co... Hm!... A co im brak, tym płucem? — pyta pan Baker.

Cała nasza zmiana stanęła kołem na mokrym pokładzie, szczerząc zęby, z szczotkami i kubłami w ręku.

Wait rzekł posepnie:

— Koniec ze mną. Czy pan nie widzi, że jestem umierający? Wiem o tym dobrze!

Pan Baker obruszył się:

— Więc po kiego diabła zaciągać się było tu na statek?

— Muszę chyba z czegoś żyć, dopóki nie umrę, czy nie? — odparł Wait.

Rozległy się chichoty.

— Precz z pokładu! Precz z moich oczu! — zawołał pan Baker. Był zakłopotany; pierwszy raz spotkał się z czymś podobnym.

Dżems Wait, stosując się do rozkazu, położył szczotkę i wolno zaczął się oddalać.

Pogonił za nim wybuch śmiechu. Nie można było nie śmiać się. Cała załoga się śmiała. Tak, śmiała się... niestety!

Dręczył nas na każdym kroku, stał się dokuczliwszy od nocnej zmyry. Nie było widać, że mu coś dolega; po Murzynie nigdy nic nie znać. Nie był bardzo otyły — to prawda — ale nie był też i chudszy od innych znanych nam Murzynów. Kaszlał często. Ale najmniej uprzedzony obserwator mógł spostrzec, że kaszlał najczęściej wtedy, gdy to odpowiadało jego celom. Nie chciał, czy nie mógł wykonywać pracy — ale tak samo też i nie chciał wylegiwać się. Jednego dnia walczył z nami o lepsze na karkołomnej wysokości rej, a następnym razem musieliśmy z narażeniem życia spuszczać na dół jego bezwładne ciało. Były na niego raporty, badano go, monitowano, głaskano go, udzielano mu nauk moralnych. Wreszcie zavezowano go do kajuty na rozmowę z kapitanem. Dzikie pogłoski zaczęły obiegać. Mówiono, że starego spoliczkował, że go przeraził. Charley utrzymywał, że „szyper, lejąc z oczu śluzu, pobłogosławił go i darował mu garnczek powidel”. Knowles dowiedział się od stewarta, że Jimmy zataczał się i czepiał mebli w kajucie, że jęczał, że skarżył się na brutalność ogólną, na brak zaufania, i w końcu tak się rozkaszał, że zabryzgał plwociną porozkładane na biurku starego dzienniki meteorologiczne. Faktem jest w każdym razie, że Wait opuścił kajutę, podtrzymywany przez stewarta, który wołał strapiionym i zgorszonym głosem:

— Hej, niech go tam który zabierze! Połóżcie go, ma się wyleżeć! — Jimmy wypił pełną menażkę kawy, pogderał naprzód na jednego z nas, potem na drugiego i poszedł do

łóżka. Odtąd najczęściej leżał; jednakże, gdy przyszła mu ochota, wstawał z koi i zjawiał się pośród nas na pokładzie. Pogardliwy był i zamyślony; patrzył w dal i nikt nie mógł odgadnąć myśli tego czarnego człowieka, który siedział na uboczu w zadumanej pozie, nieruchomy jak posąg.

Odmawiał stale przyjmowania lekarstw; sago i kleik wyrzucał za burtę. Czynił to tak długo, aż zniecierpliwiony stewart przestał mu to przynosić. Zażądał *paregoricum*². Przyniesiono mu butlę, której by wystarczyło do wytrucia całej ochronki niemowląt. Trzymał ten dekokt pomiędzy swym materacem a oszalowaniem ściany okrętowej, i nigdy nie widziano, aby go zażywał. Donkin śmiał mu się w twarz i szydził, gdy Murzyn z trudnością łapał oddech; tego samego dnia Wait pożyczył mu swego wełnianego kaftana. Pewnego razu Donkin coś przez pół godziny lżył Waita, wymawiał mu dodatkową pracę, która przez jego opieszałość spadała na załogę, a w końcu zwymyślał go i nazwał „czarną świńską mordą”. Zdjęła nas zgroza. Lecz Jimmy stanowczo rozkoszował się tymi obelgami. Poweselał znacznie, a Donkinowi dostała się ciśnięta weń para starych butów marynarskich.

— Na tu, na, ty łobuzie z East-end — śmiał się Wait w pełni zadowolenia. — Możesz to sobie zatrzymać.

Ale ostatecznie pan Baker był zmuszony zawiadomić kapitana, że Wait zakłóca spokój na okręcie.

— Karność gotowa wziąć w łeb... Hm! — chrząknął pan Baker.

W samej rzeczy, warta prawego boku — (sztymborku) — już o mały włos, że nie odmówiła posłuszeństwa, gdy bosman pewnego razu kazał jej umyć podłogę kasztelu. Oczywiście Jimmy sprzeciwiał się temu, pod pozorem, że wilgoć mokrych dylów mogłaby mu zaszkodzić, a my tego dnia właśnie byliśmy pełni współczucia. Uznaliśmy, że bosman jest brutalem i tak go głośno nazwaliśmy. I tylko subtelny takt pana Bakera zażegnał burdę: starszy oficer nie chciał traktować nas na serio. Wystąpił przeciwko nam z wielkim hałasem i zwymyślał nas setnie, ale zrobił to w taki jakiś serdeczny i marynarski sposób, żeśmy się musieli sami siebie wstydzić. Co prawda, zbyt szanowaliśmy go, jako dzielnego żeglarza, aby mu dobrowolnie sprawiać przykrość. A zresztą, kto wie — Jimmy istotnie mógł być oszustem — i był nim prawdopodobnie! Tego rana kasztel został czyściutko wyszorowany; ale popołudniu urządziło się szpital na jucie, w tyle okrętu. Była to śliczna kajutka o dwóch łóżkach, otwierająca się na pokład. Przetransportowaliśmy tam manatki Jimmy'ego, potem — nie zważając na protesty — i Jimmy'ego we własnej osobie. Mówił, że nie może iść. Czterech ludzi poniosło go na koldrze. Utyskiwał, że przyjdzie mu pewno zdechnąć tam w samotności, jak psu. Ubolewaliśmy nad nim, przepelnieni radością, żeśmy się go pozbyli z kasztelu. Posługiwaliśmy mu, jak przedtem. Kuchnia przytykała do jego drzwi i kucharz zaglądał tam parę razy dziennie. Humor Waita poprawił się cokolwiek. Knowles twierdził, jakoby pewnego dnia słyszał go śmiejącego się do siebie na cały głos. Inni widzieli, jak przechadzał się nocą po pokładzie. Jego mieszkanie z uchylonymi drzwiami wiecznie było pełne tytuniowego dymu. Gdyśmy mijali jego drzwi, zajęci pracą, ten i ów zajrzał przez szparę, porozmawiał, rzucił słówko wesołe, czasem — obelżywe. Przyciągał nas nieodparcie. Nie pozwalał ani na chwilę przycichnąć naszym wątpliwościom. Omraczał cieniem cały statek. Zapowiedź, że wkrótce obróci się w zgniliznę, uczyniła go nietykalnym; deptał bezkarnie po naszej godności osobistej; poniewierał nami, kładł nam przed oczy naszą małoduszność; kazał nam życie. Gdybyśmy byli nędznym tłumem potępięńczych duchów, targanych przez trwogę i nadzieję, nie mógłby traktować nas bezlitośniej; wierzył niezłomnie, że przywilej zażyłości ze śmiercią daje mu władzę nad nami.

III

Tymczasem Narcyz wypłynął w pełni ożaglowania ze strefy pomyślnego musonu i zdał się na łaskę i niełaskę lżejszych toków powietrznych, które w ciągu paru dni zmusiły go do kołowania przez całą skalę busoli. Pod prysznicem krótkich, ciepłych ulew markotna czeladź przekręcała z boku na bok ciężkie reje; wśród sarkania i wzdychań imiała się

²*paregoricum* — mieszanina opium z kamforą — środek używany przez nieuczciwe mamki do usypiania niemowląt. [przypis tłumacza]

przemokłych lin, wykonywając rozkazy oficerów, którzy, skwaszeni i ociekający wodą, pokrzykiwali wciąż na ludzi zmęczonym głosem. A ludzie, podczas krótkich chwil wypoczynku, spoglądali z obrzydzeniem na swe bolące dłonie o zgrabiących palcach, pytając gorzko jedni drugich:

— Komu by się tam chciało być żeglarzem, gdyby mógł siedzieć na roli!

Wszyscy stracili humor i nie przebierali w słowach. Pewnej mrocznej nocy, gdy zziąjaną i tonącą w deszczu wartę przez cztery śmiertelne godziny pędzono od brasu do brasu (lina do nadawania kierunku rejom), Belfast oświadczył, że „zrywa z morzem na zawsze i że idzie na parowiec”. Była to oczywiście przesada. Kapitan Allistoun, człowiek niezmiernie opanowany, pomrukiwał do pana Bakera — „Nie jest tak źle — wcale tak źle nie jest!” I rzeczywiście — umiał manewrować tak zręcznie swym zwinnym okrętem, że w dwadzieścia cztery godziny przepchnął go o całe sześćdziesiąt mil. Na progu swej kajutki siedział Jimmy, wsparłszy brodę na rękę, i z bezczelną melancholią przyglądał się naszym obrzydłym trudom. Rozmawialiśmy z nim grzecznie, ale za jego plecami zamienialiśmy gorzkie uśmiechy.

Potem zaął znowu pomyślny wiatr i okręt pomknął raźnie ku południowi pod rozjaśnionym niebem. Przejechaliśmy równoleżnik Madagaskaru i Maurycego, nie dostrzegłszy kawałka lądu. Zapasowe krokwie rej zaopatrzone w dodatkowe rabandy, czyli wiązadła. Obejrzano luki. W chwilach wolnych od zajęć steward z posępną miną przytwierdzał do drzwi kajut burty ochronne. Z uwagą roztoczono wielkie płótna żagli. Niespokojne oczy spoglądały na zachód, ku przylądkowi burz. Okręt jął się zapuszczać w południowo-zachodni nurt, a łagodny blask nieba dolnej szerokości geograficznej zaczął przybierać nad naszymi głowami odcień z dniem każdym surowszy: blade, wibrujące sklepienie wznosiło się wysoko nad statkiem, podobne niezmiernej kopule ze stali, pobrmiewającej głębokim tonem wiatru, który stawał się coraz chłodniejszy. Słoneczna jaśń połyskiwała zimno w białym ugrzywieniu czarnych bałwanów. Pod silnym tchem wichrów zachodnich okręt o skróconych żaglach posuwał się z wolna, równie uparty jak ustępliwy. Prąc naprzód, bądź podając się w tył, wywalczał sobie drogę skroś niewidzialną moc gwałtownej wichury; spadał na łeb na szyję w czarne, gładkie przepaście i dobywał się z trudem na wierzch białośnieżnych krawędzi rozkołysanych, wielkich fal; a przy tym przewalał się bezustannie z boku na bok, jak szamocąca się w męce żywa istota. Wytrwały i mężny, ulegał ludzkiej woli; wysmukłe ramiona jego rej zataczały wciąż urywane półkola, jak gdyby wzywając daremnie pomocy chmurnego nieba.

Tego roku zima była ciężka w okolicy Przylądka Dobrej Nadziei. Ludzie, zmieniający się przy rudlu, odchodzili, pobijając się zmarzłymi ramionami, albo biegli, tupiąc mocno i chuchając w obrzmiałe, czerwone palce. Warta na pokładzie umykała się pochłustom zimnych strug, albo, skulona w jakim bezpiecznym kącie, wodziła smętnym wzrokiem po wysokiej, nieubłaganej fali, która raz po raz z nieustającą furią wspinała się na okręt. Z nad drzwi kasztelu spadały istne katarakty. Musiałeś przedrzeć się przez wodospad, chcąc znaleźć się na swym wilgotnym posłaniu. Ludzie dostawali się do kasztelu zmoknięci i wychodzili stamtąd skostniałi, aby stawić czoło bezlitośnym wymogom swej chwalebnej i chmurnej doli. Na odległej rufie, poprzez tuman wodnej kurzawy, widać było oficerów, badawczo zapatrzonych w nawietrzną stronę. Wyprostowani, lśniący w długich opończach, trwali ponuro, trzymając się poręczy; niekiedy, wśród bezwładnych miotań się nękanego okrętu, zjawiali się gdzieś wysoko, wyniesieni gwałtownie hen, ponad zatartą linię widnokregu — nieruchome, baczne sylwety na tle chmurnego nieba.

Czuwali nad burzą i okrętem z wytężeniem, na jakie człowiek lądu zdobywa się w najważniejszych chwilach życia. Kapitan Allistoun nie ruszał się wcale z pokładu; zdawał się być częścią okrętowego urzędu. Co pewien czas steward, drżący z zimna, ale tylko w kamizelce i rękawach koszuli, docierał do niego z czarną kawą, której połowę wydmuchował z filiżanki wiatr, zanim dotknęły jej usta zwierchnika. Wypijał poważnie resztę długim haustem, podczas gdy woda ciężkimi strumieniami prała jego nieprzemakalną odzież i rozbijała się szyczącą falą o wysokie buty. Ani na chwilę nie spuszczał oka z okrętu: baczył na najlżejszy jego ruch, niby kochanek, czuwający nad ofiarnymi wysiłkami delikatnej kobiety, której życie — a z nim i cała radość jego własnej egzystencji — zawieszono jest na włosku. I my wszyscy byliśmy zapatrzeni w okręt. Piękny był i miał

pewną słabą stronę, która jednak nie umniejszała ani trochę naszej miłości. Podziwialiśmy głośno jego zalety, przechwalając się nimi jeden przed drugim, jak gdyby były naszą własną, osobistą zasługą, a świadomość jedynej jego wady kryliśmy w milczeniu na dnie głębokiej miłości. Urodził się w grzmiącym huku młotów kujących żelazo w czarnej wirującej otchłani dymu, pod szarym niebem na wybrzeżu Clyde'y. Ten hałaśliwy i ponury strumień bywa kolebką pięknych tworów, które wypływają na słońce, w szeroki świat, by stać się przedmiotem ludzkiego umiłowania. Narcyz pochodził właśnie z tego doskonałego rodu. Może pod niektórymi względami ustępował innym, ale — jako, że nasz — był przeto niezrównany. Pyszniliśmy się nim. W Bombaju ten i ów szczur lądowy paplał o nim, że to „ładny szary okręcik”. Ładny! Cóż za nędzna pochwała! Dla nas był to najwspanialszy statek, jaki w ogóle kiedykolwiek spuszczone na morze. Usiłowaliśmy zapomnieć, że podobnie jak i wiele innych dobrych okrętów, stawał się niekiedy wywrotny. Był wymagający. Żądał, aby obchodzić się z nim troskliwie przy ładowaniu i manewrowaniu, a nikt właściwie nie wiedział, jak daleko ma sięgać ta troskliwość. Czysto ludzka niedoskonałość. Ale statek wiedział wszystko dokładnie i smagał czasem pychę ludzkiej niewiedzy zbawienną dyscypliną strachu. Nasłuchaliśmy się o nim strasznych opowiadań z dawniejszych podróży. Kucharz, który był właściwie żeglarzem raczej tytułarnym — gdy mu się wydarzyła jakaś klęska, w rodzaju stoczenia się rondla — mrucał zazwyczaj ponuro, wycierając podłogę:

— No i patrzajcie, państwo, co ta bestia znowu nabroiła! W którejś podróży gotów nas wszystkich zatopić. Zobaczycie!

Na co stewart, przepędzający w kuchni chwilę wypoczynku, urwaną pracowitemu żywotowi, odpowiadał filozoficznie:

— W każdym razie ci, którzy to ujrzą, nie będą mogli nic o tym opowiadać. Nie pragnę wcale tego widzieć.

Szydziłszy z takich obaw. Nasze serca wołały się przychylić do starego kapitana, kiedy się zespalał ze statkiem, udzielając mu swej mocy władania sobą i utrzymywania każdej piędzi, wydartej przeciwnym wiatrom; gdy go wiódł oto, ze skróconymi żaglami, na przelaj — do skoków po olbrzymich bałwanach. Gdy oficer w czasie niepogody obejmował na pokładzie wartę i wykrzyknął pierwszy ostry rozkaz: „Gotów się!” — „Bacność!”, wtedy trzeba było widzieć tych ludzi, jak stojąc zwartym na rufie pogotowiem, podziwiali statek. Oczy ich mrugały w wietrze; na ogorzałych twarzach kropliła się woda morską, bardziej słona i bardziej gorzka od ludzkich łez; przemokłe brody i wąsy zwieszały się w pasmach, ociekając, podobne do morskich wodorostów. Poprzeobrażani fantastycznie, w wysokich buciskach, w hełmowatych czapkach, kołysali się niezgrabni, sztywni i pękaci w swych lśniących gumach; wyglądali jak załoga cudacznie przyodziana do jakiejś awanturycznej wyprawy z bajki. Za każdym razem, gdy nawa lekko wychynęła nad spiętrzony gmach zielonej fali, trącałiśmy się łokciami w żebra, twarze nasze rozjaśniały się, z ust wyrывał się szept — „Ależ spisał się gracko!” — i wszystkie głowy jednocześnie się wykręcały, ażeby patrzeć drwiąco na bałwan, który pokonany — umykał z rykiem, gnany wiatrem, ubielony pianą potwornej wściekłości. Ale gdy statkowi zdarzyło się być mniej sprawnym, gdy ugodzony ciężko, leżał na boku, dysząc od ciosu, czepialiśmy się kurczowo lin i, spoglądając na przemokłe, wzdęte żagle, beznadziejnie łopoczące, mówiliśmy sobie ze ściśniętym sercem:

— Nic dziwnego! Biedne stworzenie!

Trzydziesty drugi dzień po odpłynięciu z Bombaju zaczął się złowróbnym prognozykiem. Rano fala wyważyła jedne z drzwi kuchennych. Rzuciliśmy się tam zaraz, i wśród kłębow pary zastaliśmy kucharza bardzo mokrego i w najwyższym stopniu oburzonego na okręt.

— Z każdym dniem staje się gorszy! Chciałby mnie utopić w mojej kuchni, przy samej blasze.

Gniewał się bardzo. Uspokoiłiśmy go, a cieśla, choć dwa razy cofnął się literalnie zmyty, naprawił jakoś uszkodzenie. Wypadek ten spowodował, że nasz obiad nie był gotów do późna; mogło wcale go nie być, ponieważ Knowlesa, który po niego poszedł, morze przewróciło, i obiad znalazł się za burtą. Kapitan Allistoun, z wyrazem jeszcze surowszym i o bardziej niż zwykle zaciśniętych wargach, obstawał uporczywie za pełnym żaglem przodu i środka, nie uwzględniając tego, że okręt, od którego wymagano

za wiele, zdawał się upadać na sercu — po raz pierwszy od czasu, gdyśmy zawarli z nim znajomość. Nie chciał wznosić się ponad fale, tylko wświdrowywał się w nie ponuro. Po dwakroć rzucił się jak ślepy, albo znużony życiem, i rozmyślnie zagłębił dziób w potężnej fali, która załaza pokład od końca do końca. Gdyśmy brodzili w chlupiącej wodzie, zajęci ratowaniem jakiejś tam stągwi do mycia, bosman, nie ukrywając złego humoru, zauważył:

— Dziś diabli biorą wszystko za burtę!

Czcigodny Singleton przełamał oto swe milczenie i rzekł, spojrzawszy ku górze:

— Stary złości się na wiatr, ale niedobrze gniewać się na pogodę, którą zsyła niebo.

Jimmy, rzecz prosta, zamknął drzwi od kajutki. Wiedzieliśmy, że jest mu tam sucho i wygodnie, i w naszej głupocie raz cieszyliśmy się tą pewnością, raz znów przyprowadzało nas to do desperacji. Donkin czaił się bezwstydnie, nędzny i niespokojny. I sarkał:

— Ty, człowiecze, zdychaj tu na powietrzu z zimna w swoich pieskich lachmanach, a ten tam czarny łajdak siedzi sobie sucho, psia jego mać, na swej skrzyni zasobnej. Niech jego czarną duszę bladaczka!

Nie zwracaliśmy na niego uwagi; myśleć o Jimmym i o jego przyjacielu nie mieliśmy czasu; nie była to chwila odpowiednia do próżniaczego sondowania uczuć. Wicher rwał żagle. Sprzęty odrywały się od pokładu. Zziębnięci i przemokli, staraliśmy się naprawić szkody. Okręt podrzucalo i trzęsło, jakby się stał igraszką w rękach furjata. O samym zachodzie, wobec nadciągającej groźnie chmury gradowej, rzuciliśmy się na gwałt do skracania żagli. Wiatr chlustał tak twardo i brutalnie, jakby walił kulakiem. Statek, uwolniony w porę od płacht żaglowych, nabrał serca; pod gwałtownym natarciem fali chwilowo na bok opadły, powstał i niepowstrzymanym parciem naprzód wrażał ostrza swych rej w paszczkę huczącego oceanu. Z przepastnego mroku chmury trysnął śnieżnobiały grad, zastukał po sznurówce lin, odbijał się garściami od rej, skakał po deskach pokładu — krągly i świecący w tej mrocznej zawierusze, podobny do rzęsistej ulewy pereł. Przeleciał. Wybladłe słońce rozbłysło na chwilę ostatnimi promieniami; ponury blask zalsnił między wzgórzami stromych, przewalających się fal. Potem wdarła się dzika noc i zdeptała, wyjąc, ponure resztki burzliwego dnia.

Tej nocy nikt nie spał na okręcie. Większość marynarzy pamięta jedną lub dwie takie noce rozpetanej burzy. Zdaje się, że z całego wszechświata nie zostało nic, ponad ciemność, zgiełk, szal — i okręt. Płynie, niby ostatni ślad zatraczonego wszechstworzenia, dźwigając wylekłych niedobitków grzesznej ludzkości, wydanych na pastwę rozpacz, potwornemu zgiełkowi i męce mściwych przerażeń. Nikt nie spał w kasztelu. Cynowa lampa olejna, zawieszona na długim sznurze, zakreślała, dymiąc, szerokie koła; porzucona odzież leżała ciemnymi kupami na lśniącej, oślizgłej podłodze; cienka warstwa zacieku poruszała się tam i z powrotem. Na posłaniach leżeli ludzie obuci, wsparci na łokciach i z otwartymi oczyma. Porozwieszane ubrania gumowe kołysały się ożywione i niepokojące, podobne duchom potępieńczym jakichś pościnanych majtków, tańczących w czas burzy. Nikt się nie odzywał, wszyscy nadśluchiwali.

A tam, na zewnątrz, zawodziła i szlochała noc przy nieustannym, donośnym wtórze jak gdyby niezliczonych bębnow, bijących w oddali. W powietrzu rozlegały się wycia. Straszne, głuche uderzenia wstrząsały okrętem i taczały nim, gdy upadał pod brzemieniem wód, walących się na pokład. Czasami wzbijał się w górę jakby chcąc odfrunąć z tej ziemi na zawsze, potem, w ciągu nieskończonej długich mgnień, zapadał w próżnię, ściskając nam serca, które przestawały bić, aż znowu okropny wstrząs — nagły, mimo że spodziewany — puszczał je w ruch o gwałtownie przyspieszonym tętnie. Po każdym szarpnięciu, targającym okręt do spoidel, Wamibo, rozciągnięty na posłaniu z twarzą w poduszce, jęczał z cicha, jednocząc się w bólu z dręczonym wszechświatem. Zdarzały się chwile — jakiś ułamek nielitościwej sekundy — gdy okręt, wśród wybuchu najstraszliwszego huku, przylegał na boku, dygocąc w spokoju bardziej groźnym od najdzikszych pędu. Wówczas wszystkie te rozciągnięte ciała wstrząsał dreszcz niepewności. Ktoś wysuwał trwożną głowę i para błyszczących oczu tliła się dziko w rozbujanym świetle. Niektórzy poruszali z lekka nogami, jak gdyby gotując się do skoku. Kilku zaś leżało bez ruchu na grzbietach, jedną ręką ściskając mocno krawędź łóżka, drugą — trzymając fajkę i ćmiąc ją krótkimi, nerwowymi pociągnięciami; wpatrywali się w sufit w nieruchomym, błagalnym napięciu, domagającym się spokoju.

O północy wydano rozkaz, aby zwinąć topsle przedniego i tylnego masztu. Wśród niesłychanych wysiłków ludzie wdrapali się na wyż, pomimo bezlitosnych targań, ściągnęli żagle i pozłazili, niemal zupełnie wyczerpani, aby znów, ciężko dysząc, stawiać w milczeniu czoło wściektemu naporowi morza. Pierwszy raz może w dziejach żeglugi handlowej warta, po komendzie odsyłającej ją na dół, nie zeszła z pokładu, jak gdyby przykuta urokiem jadowej potęgi. Za każdym ciężkim smagnięciem nawału zbici do kupy ludzie szeptali jeden do drugiego — „Już chyba nie może dąć silniej!” — i wnet rozdzierające zawycie wichru zadawało kłam tym słowom i wypychało je z powrotem do gardeł, tamując oddech. Pod sroższym naciskiem wichru rozpękała się — rzekłbyś — gęstwa chmur zbitych w kłęby i ponad zwałem postrzępionych obłoków można było ujrzeć wysoki księżyc, który z przerażającą szybkością pędził wstecz po niebie — w samą gardziel wichury. Ten i ów zwiesił głowę i mruczał, że od takiego widoku „serce stygnie”. Niebawem chmury się zamknęły i znowu świat cały zaćmił się — stał się szalejącym ślepo mrokiem, który, wyjąc, chlastał samotny okręt słonymi bryzgami i siekł go lodową szarugą.

O pół do ósmej noc czarna, jak smoła, zaczęła się rozjaśniać widmową szarością, z czego zmiarkowaliśmy, że wschodzi słońce. Ta niezwykła i groźna światłość dzienna, w której mogliśmy rozpoznać wzajem nasze błędne oczy i poprzemęczane twarze, wystawiła naszą wytrzymałość na jeszcze cięższą próbę. Widnokrąg przysunął się ze wszystkich stron tak blisko, że zdawał się być na odległość ramienia. W tym zwężonym kręgu rzucał się ku nam rozwścieczony odmęt, uderzał i odskakiwał. Deszcz słony, grubokroplisty, ciał powietrze na ukos. Główny żagiel przedniego masztu miał być częściowo zwinięty, więc jeszcze raz, z tępą rezygnacją, zabieraliśmy się do włożenia po karnatach; lecz oficerowie krzykiem i odpychaniem nas w tył dali nam do zrozumienia, że pozwala się wchodzić na reje tylko tym, którzy są do tego manewru absolutnie niezbędni. Ponieważ zdawało się co chwila, że maszty wyskoczą ze swych gniazd i będą zwiane z pokładu, wywnioskowaliśmy, że kapitanowi nie zależy na tym, aby cała załoga od razu poszła na zatracenie. Słuszna racja! Za tym ludzie warty, pod wodzą pana Creightona, jęli się z trudem windować w górę. Wiatr to przyplaszczał ich do sznurowych stopni, to wolniejac trochę, pozwalał im wznieść się o kilka pręseł wyżej, i znowu raptownym dmuchem przygwałdził do spleceń linowych cały ten wspinający się oddział w pozycjach ludzi ukrzyżowanych. Inna warta, brodząc po głównym pokładzie, harowała, by wciągnąć żagiel. Woda lała im się na głowy potokiem: otrząsali się. Pan Baker pochrząkiwał między nami, dodając nam otuchy i robiąc harmider wśród poplątanych lin, podobny do energicznej świnki morskiej. Zawdzięczając chwilowej foldze burzy — acz złowieszczej i nie wzbudzającej zaufania — udało nam się wykonać pracę tak, że nikt nie stoczył się z pokładu i nie spadł z rej. Wichura jakoś przycichła i okręt, jakby wdzięczny za nasze wysiłki, wziął się na pazury i zaczął iść raźniej.

O ósmej ludzie wolni od służby widząc, że nadarza się po temu okazja, pobiegli przez zalany pokład na przodek, ażeby cokolwiek odpocząć. Druga połowa załogi została na rufie, ażeby z kolei „pilnować go (okrętu) w biedzie”. Dwaj oficerowie naglili kapitana, żeby zszedł na dół. Pan Baker chrząkał mu w ucho — Hm! Teraz już pewno... Hę?... do nas zaufanie... nie ma nic do roboty... musi się to wytrzymać, albo zginąć. Hm! Hm! — Wysoki, młodzieńczy pan Creighton uśmiechał się do niego wesoło — „Dobrze jest! Niech pan kapitan prześpi się trochę!” Popatrzył na nich kamiennym spojrzeniem krwią nabiegłych, bezsennych oczu. Obrzeża powiek były szkarlatne; poruszał szczękami nieustannie a powoli, jak gdyby żuł kawałek gumy. Potrząsnął głową i rzekł —

„Nie troszczcie się o mnie. Ja muszę czuwać — muszę czuwać”. — Zgodził się jednak usiąść na poziomym oknie pokładu, zwrócony nieugięcie pod wiatr surową twarzą. Morze płwało na nią, i ta stoicka twarz zroszona była wodą, jakby łzami. Na powietrznej stronie tylnego pomostu ludzie z warty, dzierżąc za ożaglenie i trzymając się jedni drugich, usiłowali krzepić się słowami. Singleton wrzasnął od steru: „Hej tam, pilnujcie się!” Głos jego doleciał ich w postaci ostrzegawczego szeptu. Uczuli strach.

Wielki, spieniony bałwan wyłonił się z mgławicy i z piekielnym rykiem szedł na okręt, złowrogi i niepokojący, jak furiat z podniesioną siekierą. Jedni, krzycząc, wdrapali się na liny; większość pozostała na miejscach, z konwulsyjnie zapartym oddechem. Singleton wparł kolana pod sterową klatkę i, nie spuszczać z oka nadchodzącej fali, dostosował troskliwie ster do wariackiego wspinania się statku. Bałwan wzbił się tuż, tuż — wysoko

— niby mur z zielonego szkła o śnieżystym czubie. Okręt wznosił się na nim, podlatując niejako na skrzydłach, i przez chwilę trzymał się, wając na spienionej grzywie, jak gdyby był jakimś wielkim ptakiem wodnym. Nie zdążyliśmy jeszcze odetchnąć, gdy wicher uderzył weń ciężko; następny wał schwycił go i podważył szkaradnie w stronę wiatru; statek powalił się na bok i pokładem zaczerpnął wody. Kapitan Allistoun skoczył i padł; Archie przekoziołkował nad nim, wrzeszcząc — „On pójdzie znów do góry”. A „on” obalił się powtórnie pod hyz wiatru; zanurzyły się głęboko dolne bloki żaglowe (tzw. martwe oczy). Ludzie, straciwszy pod sobą grunt, wisieli nad ukośnym pomostem, wywijając nogami. Widzieli, że okręt jedną burtą leży w wodzie, i wszyscy razem jęli wołać — „Tonie!” Na przodku widziało się, jak przez rozwalone szeroko drzwi kasztelu wyskakiwała załoga, jeden za drugim, machając rękami i padając na ręce i kolana, pełzła na czworakach wzdłuż pokładu, bardziej spadzistego niż dach. Od strony podwietrznej wzbierała fala, pędząc za nimi; w beznadziejnej walce podobni byli do robactwa, uciekającego przed zalewem. Jeden za drugim, półnaczy, z przerażeniem w oczach, powydostawali się na schodki pomostu; lecz zaledwie tam dotarli, rzuciło ich grupkami w stronę nawietrzną. Toczyli się z zamkniętymi oczami, wreszcie żelazne pręty poręczy stuknęły o ich żebra; zbici w bezładną kupę kotłowali się, jęcząc. Napór wody, która olbrzymim słupem wdarła się na przód okrętu podczas ostatniego gibnięcia, wyważył drzwi kasztelu, i ludzie ujrze-
li, jak ich skrzynki, poduszki, derki, odzież porywało i niesło przez morze. Zwracając się z wysiłkiem pod wiatr, patrzyli w przerażeniu. Sienniki unosiły się na powierzchni, rozpostarte kołdry falowały; skrzynki o ciężkiej zawartości przewalały się, niby kadłuby okrętowe bez masztów, po czym znikaly pod wodą. Wielki płaszcz Archiego płynął z rozpostartymi rękawami, jak napęczniały marynarz-topielec, którego głowa nurza się pod powierzchnią. Ludzie staczali się na dół, starając się wrazić palce w szpary desek; inni, stłoczeni po kątach, wodzili rozszerzonymi trwogą oczyma. Wszyscy darli się bez ustanku — „Maszty! Ciąć! Rąbać!...” Czarna zawierucha wyła nad powalonym okrętem; ostrza rej sterczały ku obłokom, podczas gdy smukłe maszty, nachylone nieomal poziomo, zdawały się być niepomiernej długości. Cieśla puścił swoją podpore, stoczył się na lukę świetlną i zaczął pełzać ku wejściu do kabiny, gdzie mieścił się wielki topór, umyślnie na podobne zdarzenia przygotowany. W tej chwili pękły szkoty wyżnika; koniec ciężkiej liny żelaznej strzelił w górę niby rakietą, posypały się na dół czerwone skry i przecięły się z wodnymi bryzgami.

Zagiel targnął się nagle i obwisł, przesywając grozą nasze serca; przeobraził się natchmiaszt w pęk wąskich, trzepocących się wstęg, które posuwały się w węzły i oplątały reję. Kapitan Allistoun usiłował powstać i z trudem wyprostował się w pozycji równoległej do pokładu, nad którym bujali się ludzie, pozaczepiani u końców lin, podobni do poszukiwaczy gniazd na skalnym złomie. Deptał po czyjejs piersi; twarz jego była szkarłatna, a usta się poruszały. I on również ryczał, jak tamci; nachylił się ku nim i ryczał — „Nie! Nie!” Pan Baker zaczepiony nogą o stojak busoli, wrzeszczał — „Powiadasz pan, że nie? Nie rąbać?” Tamten wściekle zatrząsł głową. — „Nie! Nie!” Co słysząc, cieśla, pełzający mu pod nogami, raptem legł na płask i przywarł do węgla luki świetlnej. Podchwyciono ten okrzyk i podawano go dalej — „Nie! Nie!”. Wtedy wszyscy ucichli. Niech będzie, co chce: czekać, aż okręt wywróci się do góry dnem i wysypie ich w morze. I wśród przeraźliwego poświstu wichury i loskotu fal nie odezwał się żaden pomruk niezadowolenia między ludźmi, z których każdy oddałby nie wiedzieć ile lat życia, by ujrzeć „te przeklęte kije masztowe wyrzucone za burtę!” W tym jedynie upatrywali ratunek; ale mały człowieczek o surowej twarzy potrzasał siwą głową i krzyczał „Nie”, nie racząc nawet rzucić im spojrzenia. Milczeli, ciężko dysząc. Pouczepiali się barier, podwiązywali sobie pod pachy końce sznurów; łapali za kółka klubek, zbijali się w kupki tam, gdzie można było znaleźć oparcie dla nóg; chwytali oburącz cokolwiek bądź, aby mieć punkt oparcia przeciwko wiatrowi, zahaczali się za pomocą łokci, podbródków, niemal zębów; ci, którzy nie byli w stanie odpełznąć z miejsca, dokąd ich rzuciło, czuli, jak fala dociera do nich i smaga ich po grzbietach, lecz usiłowali na próżno posunąć się w górę.

Singleton trwał przy kole steru. Włosy targał mu wicher. Nawałnica — rzekłbyś — porwała swego śmiertelnego wroga za brodę i trzęsła jego sędziwą głowę. Ale on nie ustępował i, wepchnąwszy kolana między szprychy, bujał się wzwyż i w dół, jak człowiek na gałęzi. Ponieważ śmierć zwlekała jakoś z przyjściem, ludzie zaczęli się rozglądać wokoło.

Donkin, którego uchwyciła za nogę pętlica jakiejś liny, wisiał nad nami, głową na dół i twarzą przy pokładzie, i wył — „Ciąć! Ciąć!” Dwaj ludzie ostrożnie zsunęli się ku niemu; drudzy jęli przyciągać linę. Wydobyli go z pętlicy, umieścili go bezpiecznie, trzymali go. Wykrzykiwał kłatwy na kapitana, groził mu pięścią, bluzgał strasznymi złorzeczeniami i wołał ku nam plugawie — „Ciąć! Nie zważać na tego mordercę! Ciąć tam, który z was!” Jeden z jego wybawców trzasnął go po głębie na odlew; głowa jego stuknęła o pokład, i od razu przycichł, wybladły, ciężko dyszący; parę kropel krwi kapnęło mu z przeciętej wargi. Na stronie podwierzchniej spostrzeżono rozciągniętego człowieka; wyglądał jak ogluszony. Tylko deska do zmywania naczyń zapobiegła stoczeniu się jego za pokład. Był to steward. Musieliśmy go windować, jak pakę, gdyż ze strachu był wprost sparaliżowany. Czując, że okręt się przewraca, wybiegł ze spiżarni i stoczył się w dół, kurczowo ściskając porcelanowy dzbanek. Nie stukł się. Z trudem mu go wydarliśmy, a gdy ujrzał go w naszych rękach, był zdumiony. — „Skąd się to u was wzięło?” — dopytywał się drżącym głosem. Koszulę miał zdartą na strzępy; u ramion fruwały mu szmaty rozplątanych rękawów na podobieństwo skrzydeł. Dwaj ludzie przykrepowali go mocno do liny, na której zawisł, jak toból mokrych gałganów. Pan Baker czuł się wzdłuż szeregu ludzi, nawoływał — „Czy wszyscy jesteście?” — i liczył. Niektórzy mrugali nieprzytomnie, inni trzęśli się konwulsyjnie; Wamibo zwiesił głowę na piersi; dyszeli ciężko w swych trudnych pozycjach, skrępowani linami, wyczerpani przez czepianie się podpór, zaszyli w kąty. Usta im drżały i za każdym wstrząsem skołatanego okrętu rozwierały się szeroko, jakby do krzyku. Objąwszy jakąś drewnianą podporę, kucharz powtarzał bezwiednie modlitwę. W przerwach szatańskiego zgiełku słychać było, jak błagał Pana Zastępów, ażeby go nie wiódł na pokuszenie. Ale i on wkrótce zamilkł. W całej gromadzie zziębniętych i zgłodniałych ludzi, oczekujących w znużeniu gwałtownej śmierci, ani jeden głos się nie odezwał. Milczeli i w ponurym zamyśleniu wsłuchiwali się w straszliwe pomstowanie burzy.

Mijały godziny. Pochylony okręt zasłaniał ludzi od wiatru, który z nieustannym jękiem pędził nad ich głowami, ale nieprzytulne schronisko zalewały od czasu do czasu zimne potoki deszczu. Pod ciosem tego nowego dopustu tu i ówdzie dygotały ramiona. Zęby szczękały. Niebo przetarło się i słoneczna jasność zablęskła nad okrętem. Po każdym wybuchu fal, grzmocących w kadłub statku, tworzyły się nad nim w rozpyłe wytrysków jaskrawe łuki tęcz. Wichura przestała się miotać i przeszła w jednostajny przeciąg, tnący jak polyskliwe ostrze noża. Między dwoma brodatymi wilkami morskimi, Charley, przywiązany czymś szalikiem do pierścienia klubki, cicho popłakiwał; rzadkie łzy spływały mu po twarzy, wyciśnięte przez zimno, głód i ogólną niedolę. Jeden z sąsiadów dał mu kuksańca w bok, pytając szorstko:

— Gdzieżeś podział swój tupet? W piękną pogodę nie można ciebie utrzymać, smarkaczu!

I przekręciwszy się ostrożnie, zwłókl z siebie płaszcz i narzucił go na chłopca. Drugi sąsiad przysunął się bliżej, mruczając:

— To z ciebie, synu, zrobi siarczystego majtka.

Obaj narzucili nań ramiona i przytulili się do niego. Charley skulił nogi i przymknął powieki. Rozległy się westchnienia; ludzie, widząc, że tak „zaraz nie pójda przecie na dno”, starali się ułożyć wygodniej. Pan Creighton, który miał zranioną nogę, leżał wśród nas z zaciśniętymi ustami. Kilku ludzi przynależnych do jego warty usiłowało mu cośkolwiek pomóc przy zmianie pozycji. Bez jednego wyrazu lub spojrzenia podnosił ramię jedno za drugim, ażeby ułatwić ten zabieg, i ani jeden mięsień nie drgnął na jego surowej, młodej twarzy.

— Czy lepiej panu teraz? — pytano go troskliwie. Odpowiedział lakonicznym:

— Wystarczy.

Był to młody oficer o twardych wymaganiach służbowych, ale część jego podkomendnej warty mawiała zazwyczaj, że go lubi, za „jakiś taki pański sposób ganiańca nas po pokładzie”. Inni, mniej zdolni do oceny tych wyrafinowanych sposobów, szanowali go za dzielność.

Kapitan Allistoun, po raz pierwszy od chwili wywrócenia się okrętu, obrzucił zalogę krótkim spojrzeniem. Był prawie zupełnie wyprostowany. Postawił jedną nogę na ramie okiennej luki, a kolanem drugiej oparł się o pokład i, omotany w pasie końcem liny gafowej — kołysał się naprzód i w tył, ze wzrokiem utkwionym przed siebie, jakby

wypatrywał sygnału. Przed jego oczami okręt — z pokładem na wpeł zatopionym — wznosił się i opadał na wielkich falach, które wybiegały spod niego, lśniąc w zimnym blasku słońca. Zaczęła w nas kiełkować myśl, że ten nasz korab jest bądź co bądź zadziwiającym pływakiem. Rozległy się głosy wezbrane ufnością — „Wytrzyma, chłopcy!” — Belfast krzyknął z ferworem — „Oddałbym miesięczny lon za jedno pociągnięcie z fajki!” Ten i ów, zwilżając językiem słoną wargę, pomrukiwał coś o „łyku wody”. Kucharz, jakby tknięty przeczuciem, wygramolił się, wsparł się piersiami o stągiew z wodą i zajrzał. Było trochę wody na dnie. Zawył, machając rękami, i zaraz dwu ludzi zaczęło czołgać się z dzbankiem tam i z powrotem. Dostało się każdemu z nas po dobrym łyku. Kapitan pokręcił niecierpliwie głową i odmówił. Kiedy przyszła kolej na Charleya, jeden z jego sąsiadów zawołał:

— Ten utrapiony chłopak śpi!

Spał jak po dawce narkotyku. Dali mu spokój. Singleton trzymał się jedną ręką za koło i pił, nachyliwszy się w celu zabezpieczenia ust od wiatru. Wamibo nieprędko dojrzał kubek przed oczyma: trzeba go było ocucić trąceniem i krzykiem. Knowles zauważył roztropnie — „Lepsza to rzecz niż kapka rumu”. Pan Baker chrząknął: „Dziękuję wam”. Pan Creighton wypił i kiwnął głową. Donkin żłopał chciwie, lypiąc okiem spoza wrębu kubka. Belfast pobudził nas do śmiechu, wykrzywiając gębę i krzycząc — „Puszczajcie ten kubek w kolej. Wszyscy tu jesteśmy abstynentami”. Do kapitana znowu się któryś podczołgał, wołając: „Piliśmy już wszyscy, kapitanie”. Wówczas kapitan uchwycił kubek, wychylił go i zwrócił sztywnym ruchem, wciąż patrząc przed siebie, jakby ani na chwilę nie mógł zbroczyć wzrokiem od statku. Porozjaśniały się twarze. — „Świetnie się spisałeś, doktorze!” — huknęliśmy kucharzowi. Siedział pod wiatr, wsparty o stągiew, i coś nam wymownie odkrzykiwał, lecz rozległ się grzmot fal i pochwyciliśmy tylko oderwane dźwięki w rodzaju: „Opatrzność” i „wskreszeni z martwych” — Wrócił znów do swej manii kaznodziejstwa. Posyłaliśmy ku niemu przyjaźnie-drwiące gesty, a on, uczepiony jedną ręką, wywijiał drugą i poruszał ustami, promieniejąc: natęzał głos z wielką powagą, uchylając głowę przed bryzgami.

Nagle ktoś wrzasnął:

— A gdzie Jimmy?

Przeraziliśmy się ponownie. Bosman, który był na samym końcu, jął nawoływać ochrypłym głosem:

— Czy tam nikt nie widział go wychodzącego?

Sypnęły się ponure odpowiedzi:

— Może utonął?

— Nie, jest w swej kajucie.

— Na Boga!

— Do licha! Złapany jak szczur w klatkę...

— Nie mógł drzwi otworzyć...

— Ojej! Za prędko wywrócił się okręt i woda je zapała.

— Biedaczysko!

— Nic mu nie można pomóc.

— A może pójść i zobaczyć...

Do diabła! Kto by tam poszedł — zasyczał Donkin.

— Od ciebie tego nikt nie wymaga — rzekł mu najbliższy sąsiad — Toć ty jesteś tylko szmatą!

— Czy podobna w ogóle dostać się do niego? — spytały naraz dwa — trzy głosy.

Porywczy Belfast nagłym ruchem uwolnił się z więzów i zsunął się błyskawicznie pod hyz — na stronę podwietrzną. Wydaliśmy okrzyk trwogi, lecz on trzymał się jakoś, mając nogi za burtą, i ryczał, żeby mu rzucono linę. W naszym położeniu żadna rzecz nie mogła już być straszna, więc osądziliśmy, że ten fikający nogami człowiek, z przerażoną twarzą, jest zjawiskiem nader uciészonym. Ktoś parsknął śmiechem i naraz wszyscy ci wybladli nędzarze, jakby dotknięci histerycznym napadem wesołości, zaczęli trząść się, rechotać i dziko wywracać oczyma, rzekłbyś — gromada furiatów, poprzywiązywanych do ściany. Pan Baker zwiesił się ze swego stojaka od busoli i wyciągnął ku niemu nogę. Belfast wgramolił się do góry i, aczkolwiek wystraszony, nie omieszkwał wystosować do

nas brutalnych słów, polecających nas diabłu.

— Ty masz pełną gębę plugastwa, Craik, trutniu jeden — burczał pan Baker.

W odpowiedzi tamten jął bełkotać z oburzeniem:

— Im niech pan wymyśla, nie mnie. Spojrzeć tylko na ich portrety diabelskie! Śmieją się z tonącego kamrata! I to są mężczyźni!

Ale bosman krzyknął z pomostu — „Właż tutaj!” i Belfast czym prędzej jął wdrapywać się ku niemu na wyżkę. Pięciu ludzi, z trudnością utrzymując równowagę i spozierając z za krawędzi pomostu, wypatrywało, w jaki sposób można by najlepiej posunąć się naprzód. Zdawali się wahać. Inni, poruszając się z wysiłkiem w oplocie lin, patrzyli z otwartymi ustami. Kapitan Allistoun nie baczył na to wszystko, oczyma swymi trzymał, zda się, okręt na powierzchni jakąś nadludzko ześrodkowaną siłą. W słonecznej jasności huczał wiatr; słupy bryzgów wznosiły się prostopadle, a w migotaniu tęczy, których łuki wykwiwały nad rozchybotanym kadłubem statku, sunęli ostrożnie marynarze i znikali z oczu.

Huśtając się od czopów do wiązań, posuwali się wierzchem fal, które chlustały o pokład zanurzony do połowy. Palce ich nóg drapały pokład. Lodowata woda zielonymi strzępami zalewała burzę i lała się im na głowy. Przez chwilę zwisali na wyprężonych rękach, z zapartym oddechem i zamkniętymi oczyma — potem, puściwszy jedną rękę, bujali się ze zwieszonymi głowami, usiłując złapać nieco dalej jakąś linę albo podpornicę. Długoręki, atletyczny bosman przerzucał się szybko, czepiając się przedmiotów pięścią twardą jak żelazo, a przez głowę migwały mu urywki listów od „starej”. Mały Belfast czołgał się zapalczywie, mrużąc: „Przeklęty Murzyn”. Wamibo w podnieceniu wywiesił język; Archie zaś, nieustraszony i spokojny, roztropnie i bez gorączki wyczekiwał na sposobność wykonania odpowiedniego ruchu.

Gdy się znaleźli nad ścianą nadbudówki, spuścili się jeden po drugim, ciężko padając, i petzli, przyciskając dłonie do gładkiego tekowego drzewa. Wokół nich kotłował się i dyszał biały nakip fal. Wszystkie drzwi, naturalnie, stały się drzwiami potrzasków. Pierwsze były drzwi kuchenne. Kuchnia zajmowała rozległą przestrzeń od boku do boku, i można było słyszeć, jak dudni tam woda. Następne drzwi były drzwiami do warsztatu, który zajmował cieśla. Podnieśli je i zajrzeli w dół. Pomieszczenie to wyglądało jak po trzęsieniu ziemi. Wszystko tam było zwalone na przepierzenie, na wprost drzwi, a po drugiej stronie tego przepierzenia — martwy, czy żywy — znajdował się Jimmy. Ławka, szafka niewykończona na mięso, piły, dłuta, pęki drutu, siekiery, sztamajzy — wszystko to leżało na kupie, naszpikowane porozsypywanymi gwoździami. Ostry topór bednarski sterczał świecącym ostrzem, zwróconym ku nam, jak błysk złośliwego uśmiechu. Patrzący tłoczyli się jeden przez drugiego i zagłądali w dół. Mdlący, podstępny wstrząs okrętu o mały włos nie zrzucił ich wszystkich w morze.

Belfast krzyknął: „Jazda!” i skoczył na dół. Archie za nim, ale roztropnie chwycił się półek, które załamały się pod nim z trzaskiem i w ten sposób ułatwiły mu zejście. Trzech ludzi ledwie się tam mogło pomieścić. W rozświetlonym kwadracie drzwi rysowało się nad nimi oblicze bosmana, brodate i ciemne, i blada, dziwaczna twarz Wamiba.

Wszyscy wołali równocześnie: „Jimmy! Jim!”

Z góry rozlegało się tubalne warczenie bosmana — „Ty... Wait!” W przestanku Belfast intonował błagalnie — „Jimmy! Najdroższy Jimmy — czy żyjesz? Bosman rzekł: „Jeszcze raz, chłopcy! Wszyscy razem!” Zawyliśmy energicznie. Wamibo wydawał z siebie dźwięki podobne do głośnego szczekania. Belfast kawałem żelaza bębnił w ścienną dekę. Raptem przerwali. Ale krzyk i stukanie nie ustawały, wątle i wyraźne, jak śpiew solowy, następujący po chórze. Więc żył! krzyczał oto i kołatał pod nami gorączkowo, jak człowiek złożony przedwcześnie do trumny. Wzięliśmy się do dzieła. W rozpaczliwym ataku rzuciliśmy się na ów ohydny stos rzeczy ciężkich, rzeczy ostrych, rzeczy trudnych do poruszenia. Bosman popełnił, szukając jakiegoś kawałka liny; zaś Wamibo, powstrzymany wołaniami: „Nie skacz! Nie złaż tu, barania głowo!” gapił się na nas z góry; błyszczące oczy, świecące białością kły i nastroszona czupryna czyniły go podobnym do zdumionego i ogłupiałego czarta, patrzącego na jakiś niezwykły rozruch wśród potępieńców.

Bosman z rozkazującym — „Trzymać tam!” spuścił nam linę. Przywiązaliśmy do niej rzeczy, które, wirując, umykały sprzed naszych oczu na zawsze. Opanował nas szal wyrzu-

ciania przedmiotów. Harowaliśmy gorączkowo, raniąc sobie ręce i nawzajem sobie złorzeczając. Jimmy nie przestawał krzyczeć przeraźliwie i bez przerwy, jak torturowana kobieta; łomotał rękami i nogami. Śmiertelny jego strach ścisnął nam serca tak okropnie, że pragnęliśmy porzucić go tam, wyleźć z tego miejsca, głębokiego jak studnia i chwiejnego jak drzewo, byle nie słyszeć tych krzyków i powrócić na tylny pokład, gdzie mogliśmy w niezrównanym spokoju oczekiwać biernie śmierci.

— Na miłość boską, zamknij gębę! — wyliśmy ku niemu. Ale on jął się drzeć w dwójnasób głośnie. Może wydało mu się, że go nie słyszemy. Może swój własny głos ledwie słyszał. Wyobrażaliśmy go sobie, jak skurczony po ciemku na górnej koi chce wybić kulakami ścianę i jak w tym nieustannym krzyku rozdziera usta. Okropne to były chwile. Gdy chmura zakrywała słońce, otwór drzwi zasnuwał się groźnym cieniem. Każdy ruch okrętu sprawiał nam katusze. Pełzaliśmy tam i sam, brakło nam powietrza i ogarniało nas śmiertelne znużenie. Bosman wrzeszczał ku nam:

— Zwijać się tam! Woda porwie nas obu, jeśli się nie pospieszycie.

Trzy razy fala wdzierła się przez wysoką ścianę i lała się nam na głowy jak z kubła. Wówczas Jimmy, wstrząśnięty zachwianiem się okrętu, przerywał swój krzyk — myśląc śnać, że już tonie — i po chwili znów zaczynał wycić jeszcze okropniej, jakby ta straszna myśl dodała mu siły. Na spodzie leżała warstwa gwoździ gruba na parę cali. Widok ten przejmował dreszczem. Zdawało się, że wszystkie gwoździe z całego świata, nigdzie niewbite, znalazły drogę do tej szopy ciesielskiej. Było tu ich, w każdym gatunku, zapas, który pozostał z siedmiu podróży. Więc sztyfty cynowe, mosiężne ćwieki ostre jak igły, gwoździe do pomp o dużych łbach, na kształt małych grzybków żelaznych; okropne gwoździe bez głów i wysmukłe gwoździe francuskie. Leżały kłębem kolczastym, niedostępniejszym od jeża. Zwlekaliśmy, oglądając się za jakąś szuflą, a tymczasem Jimmy ryczał pod nami, jak gdyby darto z niego skórę. Stękając, zaczęliśmy rozgarniać ten stos garściami i otrząsaliśmy z palców gwoździe razem z kroplami krwi. Nabieraliśmy pełne czapki tych ćwieków i podawaliśmy je bosmanowi, który rozsypywał je precz po morzu, jakby wykonywując pewien tajemniczy rytuał ofiarny dla uspokojenia jego wściekłości.

W końcu dotarliśmy do przepierzenia. Składało się z potężnych dylów. Narcyz był zbudowany przednio pod każdym względem. Dyle były grube, najgrubsze, jakich — według naszego mniemania — użyto kiedykolwiek do budowy przepierzeń okrętowych, i spostrzegliśmy się, że za prędko powyrzucaliśmy w morze wszystkie narzędzia. Ten mały wartogłów, Belfast, usiłował złamać taki dyl ciężarem swego ciała i skoczył nań obiema nogami, jak kozioł skalny, przy czym zwymyślał zbyt sumienną Clydę, która wypuszcza ze swego warsztatu dzieła tak mało fuszerskie. Przy tej sposobności zelżył północną Brytanię, całą resztę lądu, morze — i wszystkich swych kolegów. Skacząc ciężkimi obcasami po desce, przysięgał, że już nigdy a nigdy nie będzie się stowarzyszał z jakimś głupcem, który „nie ma tyle dowcipu, żeby odróżnić kolano od łokcia”. Swoim tupotaniem osiągnął tylko to, że Jimmy zgłupiał do reszty. Słyszeliśmy, jak przedmiot naszej zawziętej troskliwości miotał się pod deskami. Ochrypl nareszcie tak, że dochodził do nas tylko jakiś żalony pisk. Plecami, czy też może głową, szorował to tu, to tam, w zagadkowy sposób. Piszcział wciąż, wymierzając niewidzialne stuknięcia. Było to bardziej rozdzierające od jego wrzasku. Nagle Archie pokazał nam łom — wraz z niedużym toporkiem — które to rzeczy uchronił od wyrzucenia. Ryknęliśmy z radości. A on zamachnął się i ciał, że aż wióry skakały nam do oczu. Bosman wykrzykiwał z góry — „Uwaga tam! Żeby go nie zarać! Lekko tam!” Wamibo, oszalały z podniecenia, zwiesił ku nam głowę i naglił nas, jak wariat — „Dalej-że go! Hej ha! Dalej-że go!” Byliśmy w strachu, że spadnie i utraci którego z nas, więc krzyknęliśmy natychmiast bosmanowi, żeby tego przekłętego Fina wrzucił do wody. Potem wszyscy razem zaczęliśmy ryczeć w ścianę przepierzenia — „Odstąp się tam! Odejdź naprzód!” — i wyężyliśmy słuch. Lecz słyhać było tylko szum i zawrodoenie wiatru nad nami, oraz huk syczących fal. Okręt, jakby zdjęty rozpaczą, zataczał się beznadziejnie, a nam od tego niesamowitego huśtania kręciło się w głowach. Belfast darł się — „Jimmy, na miłość boską, gdzie jesteście!... Pukaj! Drogi Jimmy! Pukaj! Ty czarny przeklęty bydlaku! Pukaj!” Grobowa cisza. A nam zbierało się na płacz, jak gdybyśmy stali nad mogiłą; ale tylko dlatego, że byliśmy strudzeni ponad miarę, że mieliśmy już tego wszystkiego dosyć, że pragnęliśmy odejść, lec gdziekolwiek spokojnie i patrzeć

niebezpieczeństwu w oczy, i odpocząć. Archie wrzasnął — „Odstąp”! Skurczyliśmy się za nim, chroniąc głowy, a on ciął raz za razem w spojenie desek. Trzasły. Naraz łom do połowy zagłębił się w podługowatym pęknięciu, bodaj że o cal tylko ponad głową Jimmy’ego. Archie cofnął spiesźnie łom, a ten niecny Murzyn przypadł ustami do wylotu i ledwie dosłyszalnie szeptał — „Ratunku!” Przyciskał głowę, jak obłąkaniec, do tej deski z otworem, na cal szerokim i trzy cale długim, jakby chcąc się weń wcisnąć. Byliśmy do cna wyczerpani i to jego niewiarogodne zachowanie się obezwładniło nas zupełnie. Zdawało się, że niepodobna go usunąć. Nawet sam Archie stracił w końcu cierpliwość.

— Jeżeli nie odleżesz stamtąd, przebiję ci tym łomem czaszkę na wylot! — krzyknął stanowczym głosem. Czuło się, że gotów był to zrobić, i to wywarło na Jimmy’em wrażenie. Znikł natychmiast, a my zaczęliśmy burzyć i rozrywać ścianę, jak gdyby nas popychał wściekły gniew i chęć przedostania się do śmiertelnego wroga, aby go rozszarpać na strzępy.

Wreszcie deska trzasła i ustąpiła. Belfast wetknął w wylom głowę i ramiona — mała na chybi trafi. — „Mam go! Mam go! — krzyknął — O! Teraz urwał się! Mam go znów!... Ciągnij mnie za nogi!... Ciągnij!” Wamibo huknął wciąż swoje „Hej, ha!” Bosman wykrzykiwał rady kierownicze — „Chwyć go za włosy, Belfaście! Wy dwaj — ciągnąć!... Ostro szarp!” Szarpnęliśmy ostro. Wyszarpnęliśmy tylko Belfasta i zaraz puściliśmy go z pogardą, aż przysiadł i, zaczerwieniony, jął desperacko szlochać. — „Jakże miałem go utrzymać za tę krótką jego wełnę przeklętą?” Nagle pojawiła się głowa Jimmy’ego i plecy. Tkwił przez pół w otworze i pieniał się u naszych nóg, tocząc oczyma. Cisnęliśmy się nań z brutalną niecierpliwością, zdarliśmy zeń koszulę, sapiąc, holowaliśmy go za uszy; naraz podał się i został nam w ręku, jak gdyby puszczonego przez kogoś, trzymającego go za nogi. Nie zwalniając rozmachu, tym samym pociągnięciem wywindowaliśmy go w górę. Sapał, kopał nas po zadartych twarzach, wreszcie pochwycił dwie pary ramion nad swoją głową i wy dostał się z taką szybkością, że zdawał się umykać z rąk naszych, jak pęcherz napełniony gazem. Ociekając potem, wdrapaliśmy się po linie na pokład, ale tu dmuchnął w nas zimny wicher i zaparł nam oddech, jak przy zanurzeniu w lodowatej wodzie. Z wypiekami na twarzach dygotaliśmy do szpiku kości. Burza nigdy przedtem nie wydała się nam wścieklejsza, morze — bardziej szalone, słońce — nielitościwsze i bardziej szydercze, a sytuacja okrętu — rozpaczliwsza i bardziej beznadziejna. Każdy ruch statku zdawał się nam zwiastować kres jego agonii, a początek naszej. Zatoczyliśmy się ode drzwi w tył i, zachwiani raptownym rzutem, zwaliliśmy się wszyscy na kupę. Gładka ściana przybudówki zdała się nam gładka niżli szkło i bardziej śliska niż powierzchnia lodu. Nie było się czego uczepić, oprócz długiego mosiężnego haka, używanego czasem do przytrzymywania otwartych drzwi. Wamibo chwycił zań, my za Wamiba, cisnąc do siebie Jimmy’ego. Ten zaś obecnie zmartwiał tak, że prawie nie mógł zewrzeć dłoni. Podpieraliśmy go w obłądnym strachu. Nie było obawy, że Wamibo puści hak (dryblas ten był silniejszy od trzech ludzi razem), jednak lękaliśmy się, że hak nie strzyma, jak również sądziliśmy, że okręt postanowił raz wreszcie do góry dnem się wywrócić. Nie przewrócił się jednak. Przeszorowała po nas fala. Bosman wrzasnął na całe gardło — „Teraz, albo nigdy! Jest folga. Dalej na rufę, albo zginiemy tu do wszystkich diabłów!” Powstaliśmy, otaczając Jimmy’ego. Błagaliśmy go, aby stanął na nogi, aby przynajmniej się nas trzymał. Wlepiął w nas wylupiaste oczy, milczał jak ryba i wydawał się stworzeniem zgoła bezkostnym. Nie chciał się wyprostować; ba, nawet nie chciał się trzymać naszych karków, był to tylko jakiś zimny, czarny miech skórzany, wypchany luźno miękką bawełną; jego ręce i nogi zwisały, jakby pozbawione stawów, głowa chwiała mu się na wszystkie strony; potworna dolna warga zwisała ciężko. W przerażeniu i udręce zbiliśmy się wokół niego; ochranialiśmy go, zataczając się, jak jedno ciało; i na samym progu wieczności ślanialiśmy się wszyscy razem w idiotyczny i tajemniczy sposób, niby banda opojów, niewiedząca co począć z wykradzionym trupem.

Należało coś przedsięwziąć. Zadaniem naszym było przetaszczyć go na rufę. Przewlekliśmy mu pod pachami linę, z narażeniem życia wspięliśmy się wyżej i zawiesiliśmy go na rabandowej pętli przedniego masztu. Nie odzywał się ani słówkiem; wyglądał oplakanie i śmiesznie, jak lalka, z której wysypała się połowa trocin. Ruszyliśmy w niebezpieczną podróż po głównym pokładzie, wlokąc za sobą troskliwie tę żalostną, obwisłą, nienawistną kukłę. Ciężar jej nie był zbyt wielki, ale gdyby ważył i tonę, nie byłoby go trudniej obracać.

Podawaliśmy go sobie jeden drugiemu literalnie z rąk do rąk. Kiedy niekiedy musieliśmy go zaczepiać o jakiś kołek podręczny, żeby nieco wytchnąć i zmienić następstwo szeregu. W razie złamania się kołka, niechybnie poszedłby na dno Południowego oceanu, ale niepodobna było uniknąć tego ryzyka. W pewnej chwili, snąc uprzytomniwszy sobie rzecz całą, zaczął z cicha i z wielkim trudem zdobył się na kilka słów. Nastawiliśmy żywo uszu. Jął nam wymawiać, że tak lekkomyślnie i ryzykownie narażamy go na podobne niebezpieczeństwa. — „Właśnie teraz, kiedy się stamtąd wy dostał” — usłyszeliśmy jego cichy szept. „Stamtąd” — miało oznaczać jego kajutę. I wy dostał się z niej sam! My w tej sprawie nie znaczyliśmy nic, najwidoczniej... Mniejsza o to... Ruszyliśmy znów, narażając go w dalszym ciągu, ponieważ nie mogło być inaczej. Chociaż nienawidziliśmy go wtedy bardziej niż kiedykolwiek — bardziej niż cokolwiek bądź na świecie — nie mogliśmy go odstąpić. Jak dotąd, zawdzięczał nam ratunek; była to sprawa osobista między nami i morzem. Postanowiliśmy wytrwać. Gdybyśmy (przypuszczając tę rzecz niemożliwą), podjęli byli taki mozół dla uratowania pustej baryłki, stałaby się dla nas równie drogocenna jak ten Jimmy. Ba, nawet droższa, gdyż nienawidzić baryłki nie mieliśmy powodu, a Jimmy’ego nienawidziliśmy. Nie mogliśmy się pozbyć potwornej myśli, że ów zdumiewający negr był chory tylko pozornie, że naigrawał się bezlitośnie z trudów naszych, z naszej pogardy, z cierpliwości naszej, i że teraz, wobec naszego poświęcenia się, urągał nam — w obliczu śmierci. Nasza chwiejna i niedokształcona moralność wzdrygała się ze wstrętem wobec jego niemiłych kłamstw. Ale on z męskim uporem trzymał się ich — nad podziw wiernie! Nie! To niepodobna! Toż przecie dobiegał kresu dni swoich. Jego zrzędnosc wynikała tylko z odczuwania przy sobie niezłomnej, wyzywającej śmierci. Z podobnym kamratem przy boku zgorzkniałby każdy człowiek. Ale w takim razie, co warci byliśmy my, z naszymi myślami. Oburzenie i powątpiewanie zmagaly się w nas, deptąc po naszych najsubtelniejszych uczuciach. Nienawidziliśmy go za naszą podejrzliwość; wstrętny był nam za nasze o nim powątpiewanie. Nie mogliśmy z czystym sumieniem oddać go na łup naszej pogardzie — nie mogliśmy się nad nim litować, nie narażając na szwank naszej godności. Więc, nienawidząc go, podawaliśmy go sobie pieczołowicie z rąk do rąk. I wołaliśmy — „Trzymasz go?” — „Tak. Dobra. Puszczaj go”. A on wędrował tak od jednego nieprzyjaciela do drugiego, ujawniając tyleż życia, co stary materac. Oczy jego stanowiły dwie wąskie, białe szparki na tle czarnej twarzy. Oddychał powolnie i, wypuszczając dech ustami, sapał jak miech. Wreszcie dotarliśmy do schodków pomostu — względnie zacisznego miejsca — i znużoną czeredą pokładliśmy się tam, żeby cokolwiek odpocząć. Zaczął coś pomrukiwać. Zawsze byliśmy nieuleczalnie ciekawi, co on ma do powiedzenia. Tym razem wykrztusił płaczkę:

— Dużo czasu potrzebowaliście, żeby mnie odszukać. Jużem myślał, że wasza zacna kompania poszła na dno. Co wam stało na przeszkodzie? Hę? Tchórzliwość?

Nie odpowiedzieliśmy ani słowa. Z westchnieniem podjęliśmy pracę windowania go dalej. Tając w duszy gorącą chęć, by zbić mu łeb pięściami na kwaśne jabłko, obchodziliśmy się z nim troskliwie, jak gdyby był ze szkła.

Gdyśmy wrócili na pomost rufy, zjawienie się nasze przypominało powrót wędrowców, znajdujących się po mnogich latach pośród ludzi, na których czas wycisnął niszczące swe piętno. Przywitały nas spojrzenia obracające się leniwie w oczodołach. Usłyszeliśmy ciche szepty — „Wy dostaliście go na koniec”. Dobrze znane twarze, chociaż zostało w nich coś dla nas bliskiego, wydały się nam jakby obcymi; tak wyblakły zda się i sponurały; odbijało się na nich zmęczenie i żarliwość zarazem. Zdawało się, że schudli podczas naszej nieobecności, jak gdyby byli rzućni przez długi czas na pastwę głodu. Kapitan, ze zwojem powroza na przegubie ręki, klęczał na jednym kolanie i kołysał się, zachowując wyraz twarzy zimny i niewzruszony; lecz żywymi oczyma trzymał wciąż okręt na wodzy, nie zważając na nic i na nikogo, pochłonięty całkowicie swym nadludzkim wysiłkiem. Przymocowaliśmy Dzemsę Waita w bezpiecznym miejscu. Pan Baker przywłókł się do nas, aby nam dopomóc. Pan Creighton, bardzo blady, leżał na wznak — „Dobrze sprawiliście się” — mruknął, spojrzawszy pogardliwie na nas, na Jimmy’ego, na niebo, po czym z wolna przyknułał oczy. Tam i sam poruszył się któryś, większość jednak zachowywała się apatycznie, dygocąc w skurczonych pozach i pomrukując na przemian.

Słońce miało się ku zachodowi. — Ogromne, oczyszczone z chmur, krwawe, chyliło się z wolna ku nam, jak gdyby chcąc zajrzeć nam w twarz. Wiatr ze świstem przeci-

nał jego długie, świecące zimno promienie, które były w szeroko otwarte źrenice, nie wywołując mrużenia powiek. Kosmyki włosów i wiechcie bród zbieleły nam od słonego osadu fal. Twarze były ziemiste, oczy podkrążone ciemnymi plamami, sięgającymi uszu i przybierającymi czarność sady w jamach pozapadanych policzków. Wargi były zsiniałe i cienkie, poruszały się z trudnością, jak gdyby poprzyklepiane do zębów. Niektórzy uśmiechali się smutno do słońca, dygocąc z chłodu. Inni zachowywali się ponuro i milcząc. Charley, zgnębiony nagłym odkryciem, że jego młodość nic nie znaczy, rzucał wkoło lękliwe spojrzenia. Dwaj gładkolicy Norwegowie spoglądali głupim wzrokiem, podobni do zgrzybiałych dzieci. Pod huz, na linii widnokregu, czarne fale chlustały ku ognistemu słońcu. Zniżało się z wolna, krągłe i pałające, a grzebienie fal obryzgiwały krawędź płomiennej tarczy. Jeden z Norwegów zwrócił uwagę na to widowisko, poruszył się gwałtownie i począł mówić. Głos jego przestraszył innych, którzy wnet jęli dawać znaki życia. Wykręcali zeszywniałe szyje i, obracając się ku niemu z wysiłkiem, spoglądali w osłupieniu, w strachu, lub w posępnym milczeniu. A on gadał do zachodzącego słońca i kiwał głową, podczas gdy wielkie fale przewalały się przez krąg purpurowy. Skroś miłowe przestrzenie rozkołysanych wód cienie wyniosłych fal snuły się po twarzach ludzi przelotnym mrokiem. Grzywiasty bałwan rozpękał się z syczącym rykiem, i słońce, jak gdyby zagaszone, znikło. Rozległy się westchnienia. W nagłej ciszy, która nastąpiła po huku rozpękałej fali, ktoś rzekł zgnękanym głosem — „Ten przeklęty Holender zwariował”. Inny marynarz, osznurowany w pasie, uderzał raz po raz o pokład otwartą dłonią. Z gęstniejącej szarości zmroku wynurzył się jakiś ogromny kształt na rufie i zbliżał się ku nam na czworakach, podobny w tym ruchu do wielkiego, ostrożnie wężącego zwierza. Był to pan Baker, odbywający przegląd załogi. Dotykał owiazań każdego z nas i pochrzakiwał, dodając nam otuchy. Niektórzy sapali z półotwartymi oczyma, jakby pod wpływem gorąca; inni odpowiadali mu machinalnie rozespianym głosem — „Tak, tak, proszę pana!” Od jednego posuwał się do drugiego i chrząkał:

— „Hm!... Zobaczycie, jak się jeszcze z tego wygrzebiemy...” I naraz, wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, z gwałtownym wybuchem gniewu rzucił się na Knowlesa za to, że urzynał był kawałek liny od krążnika kierowniczego.

— „Eh, wstydź się. — Lina od krążnika. — Nie miałeś to czego innego! — Hm! Majtek pierwszej klasy! Hm!”

Kuternoga był zmiażdżony. Odmruknął.

— Wziąłem co było pod ręką, ażeby się owiązać.

— Hm! Owiązać się. Czy jesteś łataczem kotłów, czy żeglarzem — co? Hm! Właśnie potrzebny był ci ten kawałek liny. — Hm! Użyteczniejszy dla okrętu niż twoje kulawe cielsko. Hm! Zatrzymaj go zresztą teraz, kiedyś to już zrobił.

Czołgał się z wolna dalej, mruczając pod nosem o pewnych ludziach „gorszych niż małe dzieci”. Ta frycówka sprawiła orzeźwiający wrażeń. Rozległy się półgłosne — Huzia! Huzia go!”... Ci, którzy zdrzemnęli się z przemęczenia, zaczęli się zrywać, pytając gwałtownie — „Co się stało”... „Co tam znów!” Posypały się odpowiedzi nadspodziewanie wesołe:

— Pan Baker wyciął kulasowi za coś tam pater noster.

— Tak?

— Co on tam przeskrobał?

Niektórzy parsknęli nawet śmiechem. Powiał jakiś wiew nadziei — echo spokojnych czasów. Donkin, ogłupiała ze strachu, ożywił się nagle i krzyknął — „Patrzajcie go! W taki sposób przemawiają do nas. Dlaczego któryś z was go nie rąbnał? Walić go! Walić! Że oficer, chce nas wodzić za nos. Myśmy tacy dobrzy, jak i on! A teraz wszyscy razem idziemy do piekła. Zagłodzili nas na tym zapowietrzonym statczysku, a teraz utoniemy przez tych drapieźnych zabijaków. Wał go!” Darł się w gęstniejącym mroku, szlochał i lkał, wrzeszcząc — „Wał go! Wał go!”

Wściekłość i strach, gadające przezeń w obronie sponiewieranego jego praw do życia, były cięższą próbą wytrzymałości naszych serc, aniżeli ten groźny cień nocy, która zapadała wśród nieustannego huku burzy. Pan Baker na rufie zawołał:

— Czy nikt tam z was nie zatka mu gęby? Czy ja sam muszę przyjść?

— Stul pysk! — Cicho bądź! — odezwały się z różnych stron rozjątrzone głosy, drżące z chłodu.

— Dostaniesz ode mnie w łeb! — rzekł jakiś niewidzialny marynarz zmęczonym głosem — Ja nie pozwolę, żeby się fatygował sam starszy oficer.

Donkin ucichł i leżał, milcząc milczeniem rozpaczy. Na ciemne niebo wystąpiły gwiazdy i zabłysły nad czarnym jak atrament morzem, usianym pianą i strzelającym ku niebu znikomym i bladym światłem olśniewającej bieli, zrodzonej w czarnym zamęcie fal.

Wgłębione w dal wiekuistego spokoju, gwiazdy lśniły twardym i zimnym jaśnieniem ponad kotłowskim ziemi; otaczając ze wszystkich stron pokonany i udręczony statek, świeciły nad nim bezlitońsze od oczu zwycięskiego motłochu i niedostępniejsze od serc ludzkich.

Lodowaty wiatr południowy dał triumfująco pod mrocznym przepychem nieba. Ziąb trząsał ludźmi z nieprzepartą gwałtownością, jakby chcąc ich rozbić w kawałki. Wiatr ziewał ze skostniałych ust niedosłyszalną skargę. Niektórzy, szemrząc, utyskiwali, że już nie czują połowy ciała; inni zamykali oczy, wyobrażając sobie, że mają na piersiach bryłę lodu. Inni znów, zaniepokojeni, że ustał ból w palcach, tłukli rękami o pokład — z uporem, aż do wyczerpania. Wamibo patrzył przed siebie, nieprzytomny i senny. Skandynawowie, szcękając zębami, zamieniali z sobą nic nieznaczące pomruki. Nieliczni przedstawiciele Szkocji wysilali się, żeby unieruchomić dolną szczękę. Ludzie z zachodnich okolic leżeli, wielcy i tępi, w swej niewzruszonej zgryźliwości. Jakiś człowiek klął i ziewał na przemian. Drugi oddychał z charkotem w gardle. Dwaj starsi wiekiem, zahartowani przeciwko burzom wilcy morscy, leżący twarzą w twarz, ponurym szeptem odgrzebywali wspomnienia o wspólnej swej znajomej — gospođynie pensjonatu w Sunderlandzie. Unosili się nad jej dbałością macierzyńską i szczodroblivością; próbowali zwrócić rozmowę na udziec wołowy i wielkie ognisko w kuchni. Słowa, zamierające im na ustach, rozplynęły się wreszcie w westchnieniach. Czyjś głos wykrzyknął nagle w noc ciemną: „O Boże!” Nikt nie poruszył się na ten okrzyk, nie zwrócił nań uwagi. Ten i ów, z nieokreślonym, miarowym jakimś gestem przykładał rękę do twarzy, ale większość była jakby w letargu. Przy zeszytnieniu członków trafił ich nawał myśli, które mknęły przez ich mózgi z szybkością i barwnością snów. Niekiedy wyrwał im się nagły, przeraźliwy okrzyk, odpowiadający na dziwaczny zew jakiegoś mamidla; potem pogrążali się znów w milczeniu, wpatrując się w wizje znajomych twarzy i rzeczy im bliskich. Przypominali sobie wygląd zapomnianych twarzy i słyszeli głosy umarłych lub zaginionych szyprów. Jawiły się im oświetlone gazem hałaśliwe ulice, tawerny buchające żarem, albo słoneczne, upalne dni, wśród ciszy morza.

Pan Baker porzucił swe nie dość zabezpieczone miejsce i czołgał się, z przestankami, wzdłuż tylnego pomostu. W ciemności i na czworakach podobny był do jakiegoś mięsożernego drapieźnika, szukającego żeru między trupami. Na wystawionej na wiatr stronie pomostu oparł się o belkę i spojrzął na główny pokład. Wydało mu się, że okręt się cokolwiek podnosi. Wichura nieco zelżała — przynajmniej tak mu się zdawało — lecz toń morza wznosiła się wyżej jeszcze. Fale pieniały się wzburzone i strona pokładu, zwrócona pod hyz, znikła pod mleczno-białym, syczącym nakipem jakby gotującego się mleka; liny śpiewały wciąż głębokim, wibrującym tonem, a przy kołychnięciu się okrętu do góry wiatr z przeciągłym wyciem tłukł się między drążkami rej. Pan Baker wpatrywał się ze skupioną uwagą. Tuż około niego zaczął ktoś nagle bardzo głośno pykać ustami, jak gdyby się z niego zimno brutalnie wydzierało. Zaczął i nie przestawał — „Ba-baba-ba-brrr-brrr-ba-ba”...

— Ciszej tam! — krzyknął pan Baker, macając w ciemności. — Będziesz ty cicho! — dodał, szarpiąc czyjąś nogę, którą w ciemności znalazł pod ręką. — „Co się stało, proszę pana?” — odezwał się Belfast tonem człowieka, którego raptem obudzono — „My tu doglądamy Jimmy’ego”. — A! Hm! To ty! Przestańże tak hałasować. Kto tu obok ciebie?”

— To ja, panie — bosman — odburknął człowiek z zachodu — próbujemy utrzymać przy życiu tego biedaka.

— Eh? Hm? — rzekł pan Baker — Róbcieź to spokojnie, jeśli można.

— On chce, żebyśmy go trzymali nad balustradą — ciągnął zirytowany bosman — powiada, że nie może oddychać pod naszymi kurtkami.

— Jeśli go podniesiemy, to go upuścimy za burtę — rzekł inny głos — nie czujemy rąk z zimna.

— To mi wszystko jedno! Ja duszę się tu! — oznajmił Dżems Wait donośnym głosem.

— O! Nie, mój synu! — rzekł bosman zdesperowany — Nie zginiesz, dopóki my wszyscy nie zginiemy tej pięknej nocy.

— Jeszcze zobaczysz takich więcej i gorszych — rzekł pan Baker wesoło.

— To nie zabawka, proszę pana — odparł bosman — Niektórym z nas, tam dalej, dzieje się całkiem niedobrze.

— Gdyby te przeklęte patyki były poucinane, to okręt płynąłby sobie teraz równo, jak się patrzy i mielibyśmy jaką taką szansę — rzekł ktoś z westchnieniem.

— Ale stary na to się nie zgodził... Dużo on troszczy się o nas — szepnął inny.

— Troszczyć się o was?! — krzyknął pan Baker z gniewem — Dlaczego on się ma o was troszczyć? Czyście podróżujące damy, wymagające troskliwej opieki? Jesteście po to, żeby się troszczyć o statek, a mało kto z was do tego zdatny. Eh!... Czymżeś to się tak zasłużył, aby się o ciebie troszczyć? Hm?... Niejeden z was krzywi się za lada wietrzykiem.

— Proszę pana, nie jesteśmy... nie jesteśmy znów tak do niczego — odparł Belfast dygocącym głosem — nie jesteśmy... brrr...

— Znowu zaczynasz swoje — huknął oficer, chwytając za niewidoczną postać — Cóż to, jesteś w samej koszuli! Co to ma znaczyć?

— A bo moim płaszczem gumowym i kurtką nakryłem tego półżywego negra, a on powiada, że się dusi — rzekł Belfast żałośnie.

— Nie przeżywałbyś mnie negrem, gdybym nie był na pół żywy, ty żebraku irlandzki! — wygłosił Dżems Wait z mocą.

— Ty... brrr... Ty byś nie zbiełał, chociażby ci było nie wiem jak dobrze... Ja ci pokażę... brr... gdy będzie pogoda... brrr... będę się bił z tobą jedną ręką, brrr...

— Nie potrzeba mi twoich łachów. Ja chcę powietrza — wykrztusił tamten, ciężko dysząc, jak gdyby nagle zasłabł.

Bryzgi sypały się, świszcząc i chlupocząc. Załoga, wytracona ze spokojnej odrętwiałości przez tę wrzaskliwą sprzeczkę, pojękiwała i mruczała kłątwy. Pan Baker popełnił nieco dalej pod wiatr, gdzie rysował się pękaty kształt stągwi, a przy niej majaczyło coś białego.

— Kto to? Czy to Podmore? — spytał pan Baker. Musiał powtórzyć pytanie, zanim się kucharz odwrócił, zlekka pokaszując.

— Tak, to ja, panie. Modliłem się o rychłe wybawienie. Bo gotów jestem, gdy mnie Pan zawezwie... Ja.

— Słuchaj no, kucharzu — przerwał pan Baker — ludzi tam zabija zimno.

— Zimno? — rzekł posępnie kucharz — będzie im wnet za gorąco.

— Co takiego? — spytał pan Baker, patrząc wzdłuż pokładu na bładawą jasność pieniącej się wody.

— To banda grzeszników — ciągnął kucharz uroczyście, acz głosem cokolwiek niepewnym — grzeszników, z których składa się bractwo każdego okrętu na tym występnyim świecie. Ja sam...

Trząsł się tak, że ledwie mógł mówić na wietrze, w bawełnianej koszuli i w cieniutkich spodniach, skulony z kolanami pod nosem, wystawiony na pociski jadowitych, słonych kropel; mówił wycieńczonym głosem:

— Ja sam — każdej chwili... moja najstarsza latorośl, panie Baker... sprytny chłopak... ostatniej niedzieli na łądzie, właśnie przed tą podróżą, nie chciał, panie, pójść do kościoła. Więc ja powiadam: „Masz się ubrać porządnie i pójdziesz, a jak nie, to muszę wiedzieć dlaczego”. Cóż on robi?... Do stawu, panie Baker — do stawu wpadł w swoim odświętnym garniturze. Przypadek?... „Nic ci nie pomoże, chociażżeś student”, mówię... Przypadek!... Spralem go, panie, tak, że mi ręka ścierpła...

Tu głos mu zadrgał — Spralem go — powtórzył, zgrzytając zębami, po chwili zaś wydał jakiś ponury dźwięk, coś jakby jęk lub chrapanie. Pan Baker wstrząsnął go za ramię. — Hej! Kucharzu! Do góry uszy, Podmore! Słuchaj no — czy jest jeszcze świeża woda w kuchennej cysternie? Okręt, zdaje mi się, już mniej leży bokiem; spróbuję pójść na przodek. Nieco świeżej wody sprawi im ulgę. Hallo! Czuwaj! Czuwaj!”

Kucharz wyprostował grzbiet i połażł w stronę dziobu. — Ja pójdę, proszę pana, nie pan! Kuchnia — mój interes! — ożywił się.

— Patrzcie, kucharz oszalał — rozległo się kilka głosów.

— Kto oszalał? Ja? Jestem gotów na śmierć bardziej niż wy wszyscy razem, nie wyłączając oficerów. Póki okręt nie na dnie, będę mu kucharzył! Zrobię wam kawy.

— Kucharzu, jesteś dżentelmanem — krzyknął Belfast. Ale kucharz wstąpił już na poręczowe schodki, przystanął i jeszcze raz rzucił tamtym na rufie — Póki okręt nie na dnie, będę wam kucharzem! — i zniknął, jak gdyby go zmyło za burtę. Ci, którzy go dosłyszeli, posłali wślad za nim wesołe okrzyki, brzmiały jak kwilenie chorych dzieci. Po godzinie lub więcej ktoś rzekł wyraźnie — Przepadł na dobre.

— Bardzo być może — przytaknął bosman — toć on nawet i w najpogodniejszy czas tak zaradny na pokładzie jak dojna krowa, odbywająca pierwszą podróż. Trzeba pójść zobaczyć, co on tam porabia.

Ale nikt się nie ruszył. Gdy tak po ciemku dłużyły się godziny, Pan Baker przeczołgał się kilka razy po rufie tam i z powrotem. Niektórym przywidziało się, że słyszeli, jak zamieniał z kapitanem jakieś przyciszone szept, lecz że wówczas wspomnienia były daleko żywsze, niż cokolwiek bądź rzeczywistego, więc nie byli pewni, czy szeptanie owo słyszeli teraz, czy przed wielu laty. I nawet nie próbowali tego dociekać. Jeden szept więcej, jeden mniej, nie robi różnicy. Za zimno było na ciekawość i nawet na nadzieję. Tak doszczętnie byli pochłonięci przez żądzę życia, że nie mogli ani przez chwilę zwrócić myśli w inną stronę. To pragnienie trzymało ich przy życiu, apatycznych i wytrzymałych, mimo okrutnej uporczywości wichru i zimna; a tymczasem usiana gwiazdami czarna kopuła nieba odbywała swój powolny obrót nad okrętem, który płynął, dźwigając ich cierpliwość i mękę przez burzliwą pustynność morza.

Przytuleni jeden do drugiego, czuli się niezmiernie samotni. Słuchali przeciągłych, głośnych hałasów i uginali się pod nieznośnym ciężarem bytu przez długie godziny głębokiego milczenia. Wśród nocy widzieli słońce, czuli jego ciepło; wtem nagle wstrząsała nimi myśl, że słońce nie wejdzie już nigdy nad marznącym światem. Niektórzy słyszeli śmiech, łowili uchem śpiewy; innym przy końcu rufy zdało się, że pochwytują głośne krzyki ludzkie, a skoro otworzyli oczy, stwierdzili ze zdumieniem, że krzyk trwa jeszcze, choć już cichnący i odległy. Bosman rzekł:

— Doprawdy — to toć kucharz, jeśli się nie mylę, woła tam od przodu.

Nie dowierzał własnym słowom, nie poznawał własnego głosu. Długi czas upłynął, zanim jego sąsiad się ocknął, trącił silnie następnego sąsiada i rzekł:

— Kucharz woła!

Wielu nie zrozumiało tego, innym było to obojętne; większość, dalej ku rufie, nie wierzyła temu. Ale bosman i jeszcze jeden z załogi odważyli się popęznąć na przód statku i rzucić okiem. Poszli, i zdawało się że przepadli na czas niezmiernie długi, tak, że wkrótce o nich zapomniano. Naraz tych beznadziejnie zrezygnowanych ludzi zdjęła jakaś opętańcza chęć zadawania bólu. Zaczęli się okładać kulakami. O ile po ciemku mogli się namacać, bili się zawzięcie i szeptali z wysiłkiem większym, niż gdyby to samo na głos wykrzykiwali — „Jest kawa gorąca... Przyniósł bosman”... „Tak?... Gdzież jest”. „Zaraz będzie! Kucharz ugotował”. Dżems Wait jęknął. Donkin, sromotnie depcząc i kopiąc gdzie i kogo się zdarzyło, przygramolił się łapczywie, pełen obawy, że kawa może się dostać i oficerom. Zjawiła się w garnku i pili ją kolejno. Była gorąca, i choć już parzyła jamę ust łakomą, jeszcze wydawała się czymś nierzeczywistym. Wzdychając, podawano sobie garnek w dalszą kolej.

— Jakim sposobem on to zrobił? — wyrwało się komuś zbolale pytanie.

— Brawo! Mistrzu!

Tak czy owak, zrobił to. Archie oświadczył potem, że „stał się cud”. Przez wiele dni podziwialiśmy ten fakt, który pozostał najbardziej interesującym tematem naszych rozmów do samego końca podróży. Indagowaliśmy kucharza, czasu pogody, jakich uczuć doznał na widok swego rusztu „stającego dęba”. Wypytywaliśmy go, wśród pogodnej wieczornej ciszy, podczas kursu na północno-wschód, czy nie musiał stawać na głowie, aby jaki taki ład nadać rzeczom. Wmawialiśmy w niego, że ze stolnicy zrobił sobie tratwę i, podpłynąwszy na niej ku blasze, rozniecił ogień; słowem robiliśmy wszystko, co było można, aby podziw nasz ukryć pod żartobliwą maską lekkiej ironii. Zapewniał nas, że nie rozumie, do czego się stosują te przytyki! Strofował nas za lekkomyślność, oznajmiał nam z solennym namaszczeniem, jakoby łaska Opatrzności wybrała go za osobliwe narzędzie ratunku grzesznych naszych żywotów. Co do samej istoty faktu, niewątpliwie miał słusz-

ność; ale obrażała nas jego pewność siebie; zbyt często i zarozumiale wmawiał w nas, że krucho byłoby z nami, gdyby nie on, mąż pełen zasługi i świętości, która sprowadziła na niego natchnienie i dodała mu sił do spełnienia tego czynu łaski. Gdyby uratowała nam życie nieustraszonosc jego czy zręczność, pogodzilibyśmy się ostatecznie z tym faktem; lecz zawdzięczać ratunek czyjejs li tylko cności i świętości było rzeczą równie trudną dla nas, jak i dla każdego innego ludzkiego zbiorowiska. Podobny wielu innym dobroczyńcom ludzkości, kucharz nabrał zbyt wielkiego przekonania o swojej zasłudze, więc zamiast nagrody szacunku zbierał nasze lekceważenie. Nie mógł nam jednak zarzucić niewdzięczności: stał się dla nas postacią heroiczną. Jego zdanie — to zdanie, które wypowiedział wówczas, upamiętniło się nam tak jak orzeczenia zdobywców i mędrców. Potem, gdy ktokolwiek z załogi męczył się nad jakąś trudną robotą i kiedy mu radzono jej zaniechać, odpowiadał zazwyczaj swoim doradcom tymi pamiętnymi słowy — „Dopóki okręt pływa, będę kucharzył”. Zdanie to wyrażało niezłomną wolę dotrwania w pracy aż do samego końca.

Gorący napój złagodził nam ponure godziny, poprzedzające świt. Na nieboskłonie widnokrąg ubarwił się żółtawo-różanym, delikatnym odcieniem, jak wnętrze konchy rzadkiej muszli. A wyżej, na tle perłowej jaśni, zjawiała się czarna chmurka, ujęta w złote obramowanie, podobna do zapomnianego fragmentu nocy. Promienie światła migotały tanecznie po ugrzywieniu fal. Ludzie pobiegli oczyma ku wschodowi. Ich zmęczone twarze załała światłość. Poddawali się wyczerpaniu, jak gdyby ich trudy i znoje skończyły się już raz na zawsze. Na czarnej gumowej opończy Singletona iskrzył się nalot wyschłej soli, podobny do szronu. Stał u rudla, mając oczy szeroko otwarte i zmartwiałe. Kapitan Allistoun wpatrywał się we wschodzące słońce bez mrużenia powiek. Ruszył ustami, otwarł je po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin, i głosem świeżym i mocnym wykrzyknął:

— Bacność! Gotuj zwrot!

Ostra pobudka rozkazu podziałała na tych zdrętwiałych ludzi jak nagle chłnięcie biczem. Drgnęli, i chociaż potem znowu zastygli na swych miejscach, niektórzy, siłą przyzwyczajenia, jęli powtarzać ten rozkaz ledwie dosłyszalnym szeptem. Kapitan Allistoun ogarnął wzrokiem swoją czeladź, więc ten i ów beznadziejnym ruchem zgrabiałych palców usiłował rozplątać swe więzy.

— Bacność! Gotuj zwrot! — powtórzył niecierpliwie szyper — Dalejże, panie Baker, wołaj pan ludzi. Cóż tam z nimi?

— Gotuj zwrot! Słyszycie tam? — Gotuj zwrot! — zagrzmiął naraz bosman. Głos jego zdawał się zdzierać jakiś śmiertelny czar. Ludzie poruszyli się i jęli pełzać.

— Muszę mieć na przednim maszcie w mig roztoczony kliwer — wołał kapitan — jeżeli nie możecie zrobić tego stojąc, musicie to zrobić leżąc. Oto wszystko. Zaczynać!

— Dalej do roboty! Pomóżmy wstać tej dziewce — naglił bosman.

— Hej, hej! Gotuj zwrot! — powtórzyły drżące głosy.

Majtkowie, ociągając się, zbierali się, aby ruszyć naprzód. Pan Baker na czworakach chrząkał na ich czele, wskazując drogę; posuwali się za nim na pomost. Niektórzy leżeli wciąż jeszcze z niegodną nadzieją w duszy, że nie zmusi ich nikt do poruszenia się, póki nie zostaną wyratowani, albo póki nie zginą w spokoju. Po jakimś czasie można było widzieć, jak się majtkowie zjawiali na platformie baku jeden za drugim w niebezpiecznych pozycjach: zwisając z balustrady; czepiając się kotwic; tuląc się do dźwigni bratszpilu albo obejmując kabestan. Wykonywali bez ustanku jakieś dziwne zabiegi; machali rękami, przyklękali, pokładali się plackiem, wstawali, chwiejąc się na nogach — zdawali się nie zaniedbywać najkarkołomniejszych łamańców, żeby spaść w morze. Raptem nieduży skrawek białej płachty wzbil się z pośród nich, rozszerzył się i załopotał. Wąskim rogiem, w podrzutach śmigał do góry — aż wreszcie stanął rozpostarty, trójkątny, słoneczny.

— Rozwinęli go! — krzyknięto na rufie. Kapitan Allistoun puścił sznur, którym miał okręcony przegub ręki, i stoczył się, koziołkując, na stronę podwietrzną. Tam ujrano go, jak odwiązywał brasowe liny od kółków, podczas gdy nad nim chlustał przybój fal.

— Grot-reja w kant! — zawołał ku nam patrzącym nań z niemym podziwem. Staliśmy niezdecydowani. — Główny bras ciągnąć! Dalej, ludzie, hisuj! W jakikolwiek sposób. Krzyżem leż, a hisuj! — wrzeszczał tam na pół we wodzie. Nie wierzyliśmy, że grot-reja da się uruchomić, ale najsilniejsi i najmniej zniechęceni zabrali się do wykonania

rozkazu. Reszta pomagała niezbyt chętnie. Oczy Singletona błysnęły nagłym światłem, gdy ujął znów rękę, szturwał. Kapitan Alistoun przedostał się na bok pod hyzem.

— Ciągnij! Winduj! Ruszyć go, ludzie! Hisuj! — Twarz mu płonęła ogniem, jak w napadzie wściekłości. Co, Singletonie, jak tam? Czy rusza? — krzyknął.

— Ani drgnął jeszcze, kapitanie — skrzeknął stary żeglarz głosem strasznie ochrypłym.

— Pilnuj steru, Singletonie — grzmiał szyper — Ludzie, ciągnąć! Mocniej, szczyry bezsilne! Hisuj! Pracuj na chleb — sól.

Pan Creighton, ze spuchniętą nogą i twarzą bladą jak papier, leżał na wznak i mrużył oczy; zsiniałe jego usta drgały. W gorączkowym zamieszaniu deptano po nim, trącano w chorą nogę, klękano mu na piersiach. Zaciśnął zęby i leżał spokojnie, bez jęku, bez westchnienia. Zapal kapitana, krzyki tego wiecznie milczącego człowieka pobudziły nas i natchnęły. Ciągnęliśmy, pouczebiani gronami u lin. Słyszeliśmy, jak rzucił się na Donkina, który nikczemnie wylegiwał się na brzuchu:

— Rozwałę ci łeb tym kołkiem, jeżeli nie weźmiesz się do liny.

— Pan kapitan widocznie chce nas tu pomordować — kwękała tchórzliwie i pyskato ofiara ludzkiej niesprawiedliwości, chwytając za bras z nagłą rozpaczą. Czeladź robiła wrzaskliwy harmider, stękała, świstała, wysykiwała jakieś pozbawione sensu okrzyki i pomruki. Reje poruszały się, i stanęły kantem przeciwko wiatrowi, który głośno huczał u ich zakończenia, tzn. noków.

— Rusza! — krzyknął Singleton — Kapitanie, ruszył!

— Ciągnij bras! Nadaj skręt! — grzmiał szyper.

Pan Creighton, prawie bezwładny i mdlejący, zdobył się na niesłychany wysilek, i udało mu się skubnąć linę lewą ręką.

— Wszyscy razem! — rozległo się czyjeś wołanie. A on zamknął oczy, jakby tracąc przytomność, gdy my, stłoczeni u lin, patrzyliśmy wytężonym wzrokiem, co teraz okręt pocznie.

Sunął z wolna, jak gdyby znękany i niechętny, podobny ludziom swojej załogi. Folgował naciskowi lin bardzo stopniowo, tamując nam oddechy, lecz skoro tylko zacerpnął wiatru aż do tyłowych bimsów i popłynął, zatrzepotały w nas serca. Okropny to był widok tego nieomal wywróconego statku, który zmógł się do drogi, powłócząc w wodzie swym zatopionym bokiem. „Martwe oczy” bloków szargały się w pianie fal. Niższa część pokładu pełna była wirów kołowych i nurtowych krążeń; długa poręcz burty podwietrznej wynurzała się co pewien czas czarną linią ze skłębionej i zawalonej pianą roztoczy, oślepiając białej, jak śnieżne pole. Wiatr przeraźliwie jęczał między szczeblami rej, i za lada chybnieniem statku oczekiwaliśmy, że wyśliznie się nam spod pleców i bokiem pójdzie na dno. Jak gdyby w śmiertelnym strachu przed tą możliwością, okręt wykonał pierwszą zdecydowaną próbę powstania, a my, wyjąć bezładnie, dodawaliśmy mu zachęty. Olbrzymi bałwan nadleciał z tyłu rufy i przez chwilę zawisł nad nami kędzierzawym czubem; po chwili rozpękł się i rozdarł pod kontr-sztabą na dwie ogromne płachty kipiących szumowin. Poprzez ich syk usłyszeliśmy, jak ochryply Singleton skrzeczał:

— Trzyma ster!

Wraziwszy obie nogi mocno w okratowanie, trzymał rękę, lub zwalniał ją, nadając szprychom koła szybki obrót.

— Podaj wiatr na tył bakortu i trzymaj go tak! — Zawołał szyper, wyprostowując się pierwszy z naszego powalonego jeszcze grona.

— Wstaje! Wstaje! — zrywały się podniecone okrzyki.

Na oddalonym przedzie ramy widniał pan Baker wraz z innymi trzema, w stojących postawach; czarne sylwety rysowały się na jasnym tle nieba. Wymachiwali rękami i otwierali głęboko usta, jak gdyby coś ku nam jednocześnie rycząc. Statek dygotał, usiłując podnieść bok, osunął się znów, jakby rezygnując z tych bezsilnych prób wydostania się z topieli, i nagle, nieoczekiwanym targnięciem buchnął się gwałtownie i stanął pod wiatr — rzekłbyś — wyrwał się z opłotów śmierci. Wszystkie woda, którą zagarnął był pokładem, przewaliła się całą masą na sztymbork. Rozległy się głośne trzaski. Żelazne pokrywy luk odrywały się z grzmiącym, dźwięcznym łoskotem. Woda zatapiała balustradę sztymborku, szorując, jak rzeka, która zerwała tamę. Woda na pokładzie i wody po obydwu stronach okrętu łączyły się w jedno z ogłuszającym rykiem. Statek kołysał się

silnie. Co który z nas wstał, zaraz musiał padać; rzucało nas od burty do burty. Ludzie, przewracając się raz za razem, wrzeszczeli — „Morze znosi dom!” — „Okręt płaci myto!” Podbity w górę przez ton spiętrzoną, dał się jej nieść chwilowo, wypływając długie strugi wszystkimi upustami swych rannych boków. Ponieważ hyzowe brasy porwała woda lub zmyła z kołków zaczepnych, więc ciężkie belki rej przedniego masztu huśtały się w jedną i drugą stronę z zastraszającą szybkością, pod takt okrętowych kołysań. Widać było, jak na przedzie statku ludzie chyłkiem biegli tam i sam, rzucając trwożnym wzrokiem do góry — ku olbrzymim drzewcom, śmigającym nad ich głowami. Poddzierane od żagłów szmaty i pourywane kawałki sznurów otakielowania fruwały z wiatrem, podobne kosmykom włosów. W jasnym świetle dnia, poprzez zamęt i zgiełk fal, oślepy, rozczochrany statek pędził na łeb na szyję, jak gdyby uchodząc z życiem, my zaś snuliśmy się po rufie, chwiejąc się, potykając, roztargnieni i hałaśliwi. Darliśmy się wszyscy naraz piskliwym bełkotem; wyglądaliśmy jak chorzy i zachowywaliśmy się jak szaleńcy. Płonęły nam oczy, szeroko otwarte w obłądnym śmiechu; twarze nasze były zmizerowane i wybladłe, jak gdyby zakurzone pyłem wapiennym. Klaskaliśmy w ręce, tupaliśmy, gotowi byliśmy skakać i robić, co kto chce, lecz w gruncie rzeczy ledwie mogliśmy ustać na nogach. Kapitan Allistoun, krzepki i smukły, stojąc na pomoście, gestykułował z furią do pana Bakera:

— Fok-reję umocować! Umocować tam tę fokreję! Zwiń się pan, jak możesz.

Na głównym pokładzie, krzykiem tym podniecona załoga, brodząc i pluszcząc w wodzie, tłukła się tam i tam bez celu, jak te burzyny pian, sięgających im do pasa. Na odległym tyle okrętu, samotny u rudla stary Singleton zakasał sędziwej brody i rozważnie zatknął ją pod najwyższy guzik swej nieprzemakalnej oponczy. Bujając się nad ciżbą rozhukanych bałwanów, nieosłabionym latami wzrokiem panując nad całą pogruchotaną długością okrętu, który w podrzutach mknął naprzód: stary Singleton, zapomniany od wszystkich, stał baczny i nieruchomy. Przed wyprostowaną jego postacią poruszały się na krzyż dwa ramiona, z szybką i zapobiegliwą sprawnością hamując lub przyspieszając obrót szprych sterowego koła. Sterował pilnie.

IV

Żeglarzom, którym wiekuiste morze udzieliło wzdorliwej łaski przedłużenia żywota, nie pozwala ono w swej sprawiedliwości zapadać snadnie w bezruch. Arcymądrym zrzędzeniem takiej łaski nie daje ludziom czasu na wielorakie rozmyślanie o cierpkim smaku istnienia. Gotowi by sobie wszystko przypomnieć i może nawet pożałować nagrody — tego pucharu natchnionej goryczy — który tak często zbliżał się i znów oddalał od sztywniejących ust, pełnych odrazy. Że warki są darowanego im życia, muszą natychmiast dowieść temu wiekuistemu miłosierdziu, które nakłada na nich obowiązek pracy twardej i nieustannej, od świtu do zmroku i od zmroku do świtu — aż wreszcie męczące następstwo dni i nocy, skażone uporczywymi krzykami mędrców, domagających się błogości i pustych niebios — zostaje odkupione przez niezmierny, milczący mozół i pracę, przez niemy lęk i niemą odwagę ludzi ciemnych, łatwo zapominających i wytrzymałych.

Kapitan i pan Baker zetknęli się oko w oko i przez chwilę spoglądali na siebie badawczo i ze zdumieniem, jak gdyby spotkali się nieoczekiwanie po latach pełnych trosk i nieszczęść.

Głosy mieli tak zdarte, że porozumiewali się z sobą tylko szeptem.

— Brakuje kogo? — spytał kapitan Allistoun.

— Nie. Są wszyscy.

— Czy kto ucierpiał?

— Tylko drugi oficer.

— Zaraz pójde go odwiedzić. Mamy szczęście.

— Wielkie — rzekł pan Baker słabym głosem. Chwyił się za poręcz burty i wodził przekrwawionymi oczyma.

Szpakowaty człowiek zrobił wysilek, aby podnieść głos ponad posępne mruczenie i utkwiał w swym pomocniku zimny wzrok, przesywający jak dziryt — „Ożagluj pan statek!” — rzekł z rozkazującą powagą i wyrazem niezłomności na wąskich wargach — „Rozpostrzyj pan żagle, nie zwlekając, jeśli można. Dmie pełny wiatr. Natychmiast, pro-

szę. Nie daj pan ludziom namyślać się. Opadną z sił i zeszywnieją, i nigdy się nie... Trzeba pchać okręt zaraz!"... — Tu kapitan zatoczył się, a poręcz dała nurka w syczącej, połyskliwej fali. Chwycił się za jakąś płachtę żagla, odbił się i uderzył o pana Bakera — „...teraz mamy nareszcie pełny wiatr. Rozpiąć żagle!” — Głowa kiwała mu się od ramienia do ramienia. Zamrugnął powiekami. — „I do pomp — do pomp, panie Baker!” Wpatrywał się w jego twarz, którą miał o stopę od oczu, jak gdyby była na półmilowej odległości. — „Rusz pan załogę, niech się zwija!” — bełkotał ospale, jakby przed drzemką. Naraz strząsnął z siebie sennosć. — Nie ustoję — nic nie pomoże — rzekł, wymuszając z siebie uśmiech. Puścił żagiel i, gnany pochyleniem się statku, pobiegł mimowolnie drobnym krokiem na tył, aż wreszcie potknął się o skrzynkę z busołą. Tam się oparł i bez celu jął spoglądać na Singletona, który, nie zauważywszy go, wpatrywał się bacznie w koniec bukszprytu.

— Czy ster dobrze funkcjonuje? — pytał kapitan.

W gardle starego żeglarza coś zakotłowało, jak gdyby słowa te grzechotały, nie mogąc się wydostać.

— Ster chodzi... jak w czółenku — rzekł wreszcie z ochryplą czułością, nie raczywszy spojrzeć na kapitana; następnie z wielką uwagą zakręcił kołem do dołu, wstrzymał je i znów puścił ku górze. Kapitan Allistoun pozbawił się rozkoszy, jaką mu dawało wspieranie się o busołę, i ruszył dalej, chwając się, zataczając i z trudem utrzymując równowagę...

Tłoki pompy w krótkich, prostopadłych skokach wznosiły się i spadały, bijąc jak stemple, koło rozpędowe zaś toczyło się obrotem długim i niezmiernie szybkim u nasady grot-masztu; dwa przyczepione do korb grona ciał ludzkich miały się naprzód i w tył, równomiernie gwałtownym ruchem. Dawali się porywać i zataczać sobą, z drgającymi twarzami i skamieniałymi oczyma. Cieśla, sondując, od czasu do czasu wykrzykiwał machinalnie: „W górę! Trzymaj!”

Pan Baker nie mógł mówić, ale zdobywał się na krzyk. I pod bodźcem jego nawoływań ludzie imali się lin, zaciągali nowe żagle; chociaż zmęczeni do upadłego, windowali ciężkie bloki — sprawdzali mechanizm ożaglowania. Wdrapywali się ostatnim wysiłkiem po węzlicach karnatów. Doznawali zawrotu głowy przy zmianie uchwytu, puszczając się rękoma i stąpając po rejach omackiem, jak w ciemności, albo wykonywając rzuty w kierunku lin na los szczęścia, z niedbałością wyczerpanej siły. Czyhające niebezpieczeństwo upadku wcale nie przyśpieszało wolnego bicia ich serc; pomruk i posyk fal, tam w dole pod nimi szumiących, dochodził ku nim bez przerwy, lecz słabo, jak niewyraźny odgłos z innego świata; oczy ich od wiatru napęlały się łzami; silne jego dmuchnięcia próbowały ich zepchnąć z niepewnych stanowisk. Z twarzami oblanymi potem, z rozwiewającymi się włosami, huśtali się pomiędzy niebem i wodą, dla zwolnienia rąk siadając na oklep na nokach rej, łażąc po linach wiążących te noki z masztem, lub stając na szczepach łańcucha. W rozterce myśli i uczuć ważyli się pomiędzy chęcią spoczynku i pragnieniem życia, podczas gdy ich skostniałe palce szperały po kieszeniach w poszukiwaniu noża, albo z wysiłkiem czepiały się płacht żaglowych, targanych wiatrem. Porozumiewając się dziko wytrzeszczonymi oczyma, dając rozpaczliwe znaki jedną ręką, trzymając w drugiej zawieszony swe życie, spoglądali na wąski, tam w dole, skrawek zalanego pokładu, rzucałi w stronę podwietrzną okrzyki: „Zwolnij!”... „Ciąg!”... „Zmocuj!”... Ruszali ustami, wyrażali wzrokiem żądę porozumienia, ale wiatr porywał ich słowa i rozrzucał je, niedosłyszane, po burzliwym morzu. W nieznośnym natężeniu bez końca pracowali, jak gdyby wtrąceni przez jakiś zły sen w atmosferę lodu albo płomienia. Na przemian paliła ich gorączka albo też trzęsły ich dreszcze. Czuli ból w gałkach ocznych, jakoby podczas zapalenia; w głowach łupanie przy każdym krzyku. Ścisnęło im gardła, jak twardymi palcami. Za każdym kołchnięciem się statku myśleli: „No, teraz muszę spaść. Wszystkich tu nas postrąca”. I zawieszeni tak w górze, wydawali dzikie okrzyki „Uwaga tam! — chwytaj linę!... Nawłócz!”... „Blokuj!”... Rozpaczliwe potakiwania; rozwścieczone twarze... „Nie! Nie! Z dołu do góry!” Zdawało się, że są przejęci śmiertelną dla siebie nienawiścią. Żarło ich pragnienie skończyć już raz z tym wszystkim, a chęć wykonać rzecz należycie była palącą męką. Przeklinali swój los, gardzili życiem i znęcali się nad sobą dotkliwymi złorzeczeniami. Majster żaglowy, świecąc łysiną, pracował gorączkowo, niepomny swego zażyłego stosunku z tyloma admirałami; bosman, drapiąc się ku górze z zatyczkami

i ze zwojami skrętek i linewek, albo klęcząc na drągu rejowym i przygotowując się do pociągnięcia za bras-linę, miał wyraźne, przelotne widzenia; mając przy sobie obraz starej żony i młodego potomstwa, hen tam we wsi błotnistej. Pan Baker, czując się niezmiernie słabym, ślaniał się tam i sam, pochrząkując i nadając sobie wyraz człowieka ze stali. Zastępował drogę tym, którzy, po zejściu na dół, stali, łapiąc zadyszana piersią oddech. Wydawał im rozkazy, pobudzał ich do czynu, łajał.

— No, dalej — teraz do grot-mars-żagla! Bierz za linę, winduj! Nie ociągaj się tam!

— Czy już nie będzie dla nas odpoczynku? — odezwało się czyjeś mruknięcie.

Powiódł dokoła groźnym wzrokiem, czując lęk w sercu.

— Nie! Odpoczynek będzie po skończonej pracy. Pracuj do upadłego. Na to tu jesteście.

Jakiś majtek, schylony tuż obok niego, wybuchnął śmiechem:

— Pracuj albo giń! — sarknął gorzko, po czym splunął w szerokie garście, zamachnął się długimi ramionami i, chwytając za linę, zwieszając się nad głową, wydał ponury, żalony okrzyk, pobudkę do pracy zbiorowej. Fala chlusnęła na główny pokład i zmyła wszystkich ku stronie nawietrznej. Pływały czapki, hanszpugi. Spośród syczących białych pian wystawały pięści, wierzgające nogi i twarze z rozdziawionymi ustami. Pan Baker, powalony jak reszta, krzychał — „Nie puszczać tej liny! Trzymać ją! Trzymać!” Choć boleśnie poszwankowani przez brutalne uderzenie, trzymali się tak, jak gdyby od tego zależało ich życie lub śmierć. Okręt leciał rozkołysany, a białe, lśniące grzywy fal zalewały mu barkort i sztymbork. Przerwano działanie pomp. Liny brasowe zaklubiono. Na grot-maszt i fok-maszt naciągnięto po trzy żagle. Statek szybciej zapluskał po wodzie, wyprzedzając spieszny bieg fal. Groźny huk pokonanych wód rozlegał się poza nim donośniej i nappełniał powietrze strasliwym drganiem. Skołatany, sponiewierany i obolały statek, cały w pianach, biegł w kierunku północnym, jak gdyby natchniony odwagą swego wielkiego zadania...

W izbie czeladnej gościł rozpaczliwy smutek. Ludzie posępnyimi oczyma spoglądali na swój przybytek, zamulony i ociekły wilgocią. Wiatr szumiał w jego pustce, zasłanej bezkształtnymi rupieciami, niby jakaś pół zalana pieczara w nadbrzeżnej skale. Niektórzy postradali całe mienie, ale znaczna część warty sztymborku uratowała swoje skrzynki, z których jednak sączyła się woda cienkimi strumykami. Koje przemiękły; porozpościerane i o zbawczy gwóźdź pozahaczane kołdry plątały się pod nogami. Z zaśmierdłych kątów wywlekano mokre łachy i, po wyżęciu ich, rozpoznawano swoją własność. Jedni uśmiechali się sztywno, inni spoglądali wkoło bladym wzrokiem i milczeli. Rozlegały się krzyki radości na widok starej kamizelki, lub jęki zmartwienia wobec nierozpoznawalnych rzeczy, które znajdowano wśród szczątków pogruchootanych łóżek. Wydobyto jedną lampę, która zawędrowała aż pod bukszpryt. Charley trochę popłakiwał. Knowles, kulejąc, włóczył się tam i sam, węszył, badał ciemne kąty, gdzie mogło się coś ostać. Znalazł jakiś but, wylał z niego wodę i zajął się odszukaniem właściciela. Lecz ci, którzy zgnębieni swymi stratami siedzieli przy luce, oparli łokcie na kolanach a policzki na pięściach, nie raczyli nawet podnieść oczu. Podsuwał im go pod nos, mówiąc: „Oto porządny but. Czy wasz?” Odmrukiwano: „Nie. Odejdź!” Ktoś odwarknął: „Weź go i ruszaj z nim razem do piekła!” Dziwił się. „Nie chcą? Przecież to dobry but”. Ale wtem, uprzytomniwszy sobie, iż utracił sam wszystką garderobę do ostatniej szmaty, rzucił znaleziony but i zaczął przeklinać. W szarym półmroku zazgrzytały inne kłatwy. Jakiś człowiek wszedł i stanął z opuszczonymi rękami, wołając od progu: „To ci dopiero historia! To ci dopiero historia!” Niektórzy poczęli dogrzebywać się niespokojnie tytoniu w przemoczonych skrzynkach. Ciężko dysząc, krzyčili ze spuszczonej głowami: „Patrz-no, Jasiu!” „Szymek, spójrz-no tu. Mój przyodziewek odświętny całkiem na nic”. Jeden z nich, mieszając łyż i przekleństwa, demonstrował spodnie ociekłe wodą. Nikt nań nie zwracał uwagi. Kot zjawił się, nie wiadomo skąd. Powitano go owacyjnie. Wyrwano go sobie z rąk. Pieszczono go, szepcząc zdrobniałe nazwy. Snuto domysły, gdzie on to wszystko przetrwał. Sprzeczano się w tej materii. Zanosilo się na kłótnię. Wtem dwóch majtków weszło z cebrem świeżej wody, i wszyscy zaczęli się do niej cisnąć. Ale podbiegł Maciuś, chudy i miauczący, z najeżoną do ostatniego włosa sierścią; dano mu napić się pierwszemu. Kilku pobiegło na rufę poszukać oliwy i sucharów.

Potem chrupali twarde chleb w żółtym świetle lampy — odpoczywając po szorowaniu pokładu — i pocieszali się myślą, że „jakoś to będzie”. Porozumiewano się, kto ma z kim spać. Zawierano układy, tyżące się używalności butów i gumowych płaszczów. Zwracali się jeden do drugiego z wesołym „stary” i „synku”. Rozlegały się przyjazne klapsy. Żartowano. Ten i ów, rozpostarłszy mokrą koldrę, ułożył się do snu na podwiniętych rękach zamiast poduszki, a kilku, siedząc przy luce, paliło. Zza niebieskawego dymu przeglądwały zmęczone, ciche twarze i skrzące oczy. Przez uchylone drzwi bosman wetknął głowę.

— Zluzować koło — rzucił do środka — który tam z was? Jest szósta. Niech diabli porwą, toż ten stary Singleton więcej niż trzydzieści godzin na stanowisku!... Miła z was banda!

Zatrzasnął drzwi z powrotem.

— Oficerska warta na pokład! — rzekł ktoś.

— Te... Donkin, twój dyżur! — krzyknęło dwu czy trzech naraz.

On zaś, leżąc w pustej koi na mokrych deskach, nie odzywał się wcale.

— Donkin, twój ster! — Ale Donkin milczał wciąż.

— Donkin zdechł — parsknął ktoś śmiechem.

— Sprzedać do diabła jego rzeczy — krzyknął inny.

— Donkinie — zarechotał trzeci — jeżeli nie pójdziesz do tego przeklętego koła, sprzedadzą twoją garderobę.

Z ciemnej swej nory zamruczał wreszcie i zastękał żałośnie, utyskując na ból we wszystkich gnatach.

— On nie pójdzie! — zawołał czyjś głos z pogardą.

— Na ciebie kolej, Davies!

Młody majtek podniósł się z trudem, rozprostowując ramiona. Donkin wytknął głowę, która w żółtym oświetleniu wyglądała nagle i trupio.

— Dam ci funt prymki — zaskamlał pojednawczo — zaraz jak tylko ją wydostanę, dalibóg...

Davies wyciągnął ku niemu rękę, i głowa znikła.

— Pójdę — rzekł — ale ty mi za to zapłacisz. — Chwiejąc się na nogach, ale zdecydowany, ruszył ku drzwiom.

— Zapłacę — szczechnął Donkin — zapłacę, jak Boga Kocham... funt... po trzy szylingi.

Davies otworzył drzwi na rozcież.

— Zapłacisz mi tyle, ile będę chciał... gdy się wypogodzi — rzucił, odchodząc.

Jeden z majtków raptownym rzutem odpiął z siebie mokry płaszcz i cisnął mu na głowę.

— Zabierz-no to, Taffy, hyclu jeden!

— Dziękuję! — zawołał tamten z ciemności, poprzez szum toczących się bałwanów. Słychać było plusk; morze, dudniąc, waliło przez krawędzie burt.

— Używa teraz kąpieli — mruknął zgryźliwie któryś ze skorupiaków.

— Tak, tak! — wzdychali inni.

Po dłuższym milczeniu Wamibo jął wydawać jakieś szczególne okrzyki.

— Hola, co ci jest? — spytał ktoś szorstko.

— Powiada, iż on byłby poszedł zamiast Davies'a — objaśnił Archie, który był generalnym tłumaczem Finlandczyka.

— Wierzę mu! — wołano.

— Nie bój się, doczmenie, pójdziesz i ty, niedługo będzie i twoja kolej. Siedź, kiedy ci dobrze.

Umilkli i wszyscy obrócili się twarzami ku drzwiom.

Wszedł Singleton, postąpił dwa kroki i stanął, chwiejąc się cokolwiek. Morze, sycząc i rycząc, bałwanilo się, roztrącone piersią nawy, kasztel drżał, pełen ogłuszającego huku; lampa, rozbujana wahadłowo, rzucała jaskrawe błyski. Singleton w sennym i osłupiałym zapatrzeniu spozierał na nieruchomych ludzi, nie mogąc ich odróżnić od skaczących cieniów. Dookoła zrywały się biadające pomruki — „Hola, hej!... jak tam teraz na dworze, Singletonie?” Ci, którzy siedzieli u luki, milcząc, podnieśli oczy, a marynarz równie stary, jak Singleton (ci dwaj rozumieli się wzajem, chociaż nie zamienili z sobą trzech wyrazów na dzień), popatrzył z uwagą na swego przyjaciela, po czym wyjął z ust krótką pipkę

glinianą i podał mu ją bez słowa. Singleton wyciągnął po nią rękę — nie trafił. Zatoczył się i nagle padł głową naprzód: runął jak długi, zeszywniały, podobny do drzewa, któremu podcięto korzenie. Poruszyli się wszyscy. Tłoczyli się, wołając: „Ten ma dość!...” „Odwrócić go!... Rozstąpcie się tam!”

Pod tłumem wylękłych, schylonych nad nim twarzy, leżał na wznak, patrząc ku górze uporczywym, przykrym wzrokiem. Gdy wszyscy wstrzymali oddech, rzekł ochryplym szeptem wśród ogólnego milczenia — „Już mi dobrze” — i kurczowo zacisnął pięści. Podnieśli go. — „Starym już! — stary!” — mruknął z rozpaczą. — „Wcale nie!” — zawołał Belfast z odruchową uprzejmością. Podpierany ze wszystkich stron, zwiesił głowę. — „Jak tam? Czy lepiej teraz?” — pytano. Wpatrywał się w nich spod gęstych brwi ogromnymi czarnymi oczyma; na piersi rozpościerała mu się biała broda, długa, gęsta i krzaczasta. „Stary! stary!” — powtarzał głucho. Pomogli mu wejść na tapczan. Leżała tam jakaś lepka, szlamista warstwa czegoś, cuchnącego jak bajoro zamulonej plaży. Był to jego rozmiękły siennik. Wzdrygając się konwulsyjnie, przyległ doń, i za chwilę z ciemnej klitki dało się słyszeć gniewne mruczenie, jakby dzikiego zwierza, którego irytuje niewygodny barłóg klatki. — „Mała wieja... nic osobliwego... nie mogę zdzierżyć... Starym!” — Koniec końców usnął w długich swych butach i w kapuzie; dyszał ciężko, i za każdym razem, gdy się przewracał na bok, wzdychając i jęcząc, chrzęściła jego nieprzemakalna kurta gumowa. Nad śpiącym toczył się frasobliwy poszept rozmów.

— To go zważyło z nóg!

— Mocny on jak koń.

— Ba, ale już nie ten co dawniej.

Tak smętnie poszeptawszy, zostawili go w spokoju. O północy jednakże wstał do zajęcia, jak gdyby nigdy nic, i na przegładzie, podczas wywoływania nazwisk, odezwał się ponuro: „Jestem!” Więcej niż kiedykolwiek zatapiał się w samotnym rozmyślaniu i zasępiął w milczeniu jeszcze bardziej niedostępnym.

Nazwę „Stary Singleton”, którą stosowano doń przez długie lata, przyjmował do tychczas pogodnie i z zadowoleniem, jako słuszny tytuł, należny mu przez szacunek dla człowieka, który pół stulecia spędził na mierzeniu swych sił w walce z kaprysami morza. Nie powstała mu nigdy w głowie myśl o własnej śmiertelności. Żył, nie doznając szwanku, jak gdyby był niezniszczalny — posłuszny wszelkim pokusom — zwycięzca wielu burz. Prażył się w słońcu, dygotał z zimna; zasnął głodu i pragnienia i rozpusty; przeszedł wiele prób; doświadczył wszystkich szaleństw. Stary! Czuł, że go na koniec złamało. Podobny do człowieka zdradziecko skrępowanego w czasie snu, obudził się skutym długim łańcuchem lat niebaczonych. Miał teraz nagle do dźwignia ciężar całego swego życia i znajdował, że to ponad jego siły. Stary! Poruszał rękoma, wstrząsnął głową, dotknął mięśni. Zestarzał się... i co dalej?... Spojrzał na wiekuiście morze i dojmująco uprzytomnił sobie jego nieczułą moc; ujrzał je niezmiennione, czarne pienne, a nad nim wieczność badawczych gwiazd; słyszał jego niecierpliwy głos, przyzywający go z tych bezlitosnych obszarów, pełnych niepokoju, zgiełku i grozy. Patrzył w pełną udręki, ślepą dal morską, w ten lamentujący, rozwścieczony bezmiar, który rościł sobie prawo do wszystkich dni jego twardego życia, a po śmierci zechce swemu niewolnikowi zabrać i spracowane ciało...

Wichura zelała tymczasem. Obróciła się na południowschód, rozwiwała i ustąpiła miejsca niezmiennie stałej wiei, pchnąwszy nas przedtem ku północy, w radosną, słoneczną strefę pasatów. Chyży, biały okręt szybował prosto do domu, pędząc po niebieskiej roztoczy morskiej, pod błękitem nieba. Niósł na sobie udoskonaloną mądrość Singletona, cwana drażliwość Donkina i zarozumiałą głupotę nas wszystkich. Godziny trudów daremnych były zapomniane; o strachu i lęku tamtych posępnych chwil nie było już mowy w te dni słoneczne i pogodne. A jednak życie nasze było jakoby zaczęte od nowa, jak gdybyśmy powskrzesali z martwych. Cała pierwsza część podróży naszej, Ocean Indyjski po tamtej stronie przylądka — wszystko to przepadło we mgle, jak rozproszone wspomnienie jakiegoś poprzedniego bytu. Skończył się; — potem nastął szereg próżnych godzin: sina jakaś zapadłość — i znowu poczęliśmy żyć! Singleton stał się posiadaczem smutnej prawdy; pan Creighton — uszkodzonej nogi; kucharz — sławy, której prerogatyw bezwstydnie nadużywał. Donkinowi przybyło poczucie nowej krzywdy. Chodził, powtarzając uporczywie — „On mi groził, że mi łeb rozwali — czy słyszeliście? Człowieka o byle jakie głupstwo zaraz chcą zamordować!” W końcu i nam ta rzecz jęła wydawać

się straszną. A byliśmy tak wysokiego o sobie rozumienia!

Chępliśmy się swoją odwagą, swoją zdolnością do pracy, swoją energią. Wspominaliśmy naszą zaszczytną postawę w różnych przejściach: nasze poświęcenie, naszą nieprzepartą wytrwałość — i pysniliśmy się tymi cnotami, jak gdyby były własnym naszym odruchem, niewymagającym pobudki z zewnątrz. Wspominaliśmy niebezpieczeństwa minione i trudy — ale przemilczaliśmy z dyskrecją naszą przeraźliwą trwogę. Potępialiśmy oficerów — którzy byli do niczego — i słuchaliśmy bałamuctw Donkina. On bronił naszych praw, on bezinteresownie obstawał za naszą godnością i bynajmniej nie zrażał się tym, żeśmy z niego ustawicznie kpili i obrzucali go wzgardliwymi spojrzeniami. Pogarda nasza dlań nie miała granic, ale przysłuchiwalimy się z zajęciem temu skończonemu artyście. Mówił, że dobrzy z nas ludzie — „przeklęcie dobre ludzkie stado”. Kto nam dziękował? Kto uwzględniał nasze troski? Czy to nie było „psie życie nasze za dwa funty dziesięć szylingów na miesiąc?” Czy uważaliśmy tę nędzną płacę za dostatecznie wynagradzającą nam ryzyko życia i stratę ubrania? „Pozbyliśmy się ostatnich łachów” — krzyczał, nie dając nam czasu na przypomnienie sobie, że on w każdym razie nie stracił nic własnego. Młodszy z nas przysłuchiwał się, myśląc: ten Donkin to bądź co bądź tęga głowa, chociaż żaden charakter. Skandynawowie byli przerażeni jego zuchwalstwem; Wamibo nic nie rozumiał, a starzy majtkowie kiwali w zamyśleniu głowami, migocząc złotem cienkich kolczyków w mięsistych, włochatych uszach. Surowe, spalone słońcem twarze wspierano na tatuowanych rękach. Żyłaste, węzłowate pięści o kolorze brązu trzymały brudnobiałe, dymiące fajki gliniane. Siedzieli pochyleni, szerocy w barach, i przysłuchiwali się w ponurym milczeniu, niezbadani. A on mówił z zapalem — otoczony pogardą — sypiąc nieodbite argumenty. Jego malownicza i plugawa gadatliwość płynęła jak mętny strumień z zatrutego źródła. Oczkami jak paciorki rzucał na prawo i lewo, śledząc, czy nie zbliża się któryś z oficerów. Czasem pan Baker, idąc ku przodkowi, aby spojrzeć na szkoty gal-żagla, przetaczał się niezgrabnym swym chodem wśród nagłej ciszy; albo pan Creighton, kulejąc, przewłókł się mimo nas, z większą niż kiedykolwiek powagą na gładkim licu młodzieńczym, i przeszywał nas, raptem umilkłych, badawczym, jasnym wzrokiem.

Za jego plecami Donkin zezował ku nam porozumiewawczo — „Oto jeden z nich. Niektórzy z was uratowali go, obwiązali go wówczas liną. Czy wam za to podziękował? Nie pęda was gorzej niż przedtem?... Szkoda, żeście go nie wyrzucili za burtę!... Czemu by nie? Byłoby o jednego zawałdę mniej! Czemu nie?...” Nachylał się, przybierając ton poufny, cofał się w tył dla większego efektu; szeptał, podnosił głos, wymachiwał nędznymi badyłami rąk — wysuwał cienką szyję — wrzeszczał, zezował. W przestankach jego namiętnej oracji słyhać było lekkie wzdychanie wiatru wśród lin i szelest morza, o którym zapomniano, a które przypominało się ostrzegawczym szeptem wzdłuż boków okrętu. Nienawidziliśmy tego draba, a jednak nie mogliśmy zaprzeczyć oczywistej prawdzie jego słów. To było takie jasne. Przecież byliśmy dobrymi ludźmi. Zasługi nasze były wielkie, a żołd mały. Nasze usiłowania uratowały okręt, a sławę tego czynu będzie zbierał kapitan. Czegóż on dokonał? Chcielibyśmy to wiedzieć. Na pytanie Donkina: „Co on by zrobił bez nas?” nie znajdowaliśmy odpowiedzi.

Gnębiła nas ta niesprawiedliwość świata i byliśmy zdumieni, że tak długo żyliśmy pod jej uciskiem, nie zdając sobie sprawy z nieszczęśliwego położenia; smutne odkrycie naszej bezkrytycznej głupoty złościło nas. Donkin zapewniał, że przyczyną tego wszystkiego była tylko „pocziwość” naszych serc — ale to czcze rozumowanie nas nie pocieszało. Mieliśmy dość męstwa, żeby samym przyznać się do umysłowych naszych braków; jednak od tego czasu przestaliśmy go szturchać, dawać mu prztyczki w nos, albo przewracać go, niby to nieumyślnie; to ostatnie weszło w modę, gdyśmy okrążyli Przylądek. Teraz Davies przestał prowokować go mówieniem o czarnych oczach i o płaskich nosach. Charley, który od czasu burzy znacznie był spokojniejszy, już mu nie dokuczał kpinami.

Knowles uprzejmie i z chytrą miną poddawał jego sądowi kwestie w tym np. rodzaju: „Czy oficerzy i my wszyscy majtkowie nie moglibyśmy mieć jednego stołu? Czy nie moglibyśmy dotąd pozostawać na lądzie, aż nam to przyznają? A gdy to osiągniemy, czego żądać następnie?” Odpowiadał bez namysłu i z lekceważącą pewnością siebie puszył się w swoim odzieniu, które było o wiele za obszerne; wyglądał w nim jak przebrany. Były to przeważnie szaty Jimmy’ego — chociaż przyjął by wszystko od każdego; ale tyl-

ko Jimmy posiadał coś na zbyciu. Jego oddanie się Jimmy'emu nie miało granic. Tkwił bez przerwy w jego kajutce, wysługując się jego potrzebom, znosząc jego zachcianki, jego kapryśne wymagania, jego tetryczenie i często śmiejąc się z nim razem. Nic go nie mogło powstrzymać od tych miłosiernych zabiegów około chorego, zwłaszcza gdy trafiała się jaka ciężka robota na pokładzie. Pan Baker dwukrotnie wyrzucił go stamtąd uderzeniem w kark, co nas niewymownie zgorszyło. Godzi-ż się zostawiać chorego bez dozoru? Mamy-ż doznawać złego traktowania za pomoc koledze?

— Co? — ryknął pan Baker, zwracając się groźnie na ten pomruk. I całe nasze półkole, jak jeden mąż, cofnęło się krokiem w tył. — Rozpiąć wielki sztag-żagiel! Donkin, marsz na górę! Dalej — grzmiał rozkazem stanowczym — Rozwinąć płachtę, ciągnąć dołem linę. Jazda!

Po nastawieniu żagla oddalił się pan Baker na rufę i stał przez długą chwilę u busoli, stroskany, zamyślony, ciężko dysząc, jak gdyby się dławił zakalą tej złej woli, która z niewiadomej przyczyny dostała się na okręt. „Czego oni chcą? — myślał. — Nie mogę wyrozumieć tego nagłego ich zamknięcia się w sobie i tych szemrań. Dobra to załoga przecież, jak na te czasy”. Na pokładzie szła dalej wymiana gorzkich słów, podpowiadanych niedorzecznym rozjątrzeniem przeciwko jakiejś niesprawiedliwości, na którą nie ma sposobu, ale której obecność jest oczywista; poszept w tym duchu trwał wciąż, nawet kiedy Donkin przestawał już mówić. Nasz mały światek dążył swoją krętą, ściśle oznaczoną drogą, unosząc niezadowolenie i niespełnione pragnienia. Mieszkańcy tego światka zaczęli się oddawać posępnej ucieście nieskończonego rozważania i sumiennego oszacowywania swej wartości. Pod wpływem nauk Donkina, wróżącego błogostan, z entuzjazmem roili o czasach, w których każdziutki okręt będzie sobie podróżował po jasnej dali morza i będzie miał załogę składającą się z samych doskonale odżywianych, bogatych i zadowolonych żeglarzy.

Zanosilo się na długą podróż. Obszar południowowschodnich pasatów, lekkich a zmiennej, pozostał daleko w tyle; potem w okolicach równika, pod niskim, szarym niebem i przy dusznym gorącu, okręt mknął po gładkiej toni, podobnej tafli matowego szkła. Hen na widnokregu poprzyczajane taily się burze gromowe i okrążały okręt z daleka, podobne dzikim bestiom, które lęk powstrzymuje od napaści. Niewidzialne słońce wędrowało ponad wyprostowanymi masztami, prześwitując skroś chmur bezpromiennym kręgiem, którego mętny odbłask w szybie wodnej posuwał się równocześnie od wschodu na zachód, dotrzymując mu kroku. W nocy, obejmującej nieprzeniknioną czarność ziemi i niebo, zapalała się niekiedy rozległa przestrzeń bezgłośnym pałaniem; przez jedno mgnienie statek występował na jaw z masztami i ożaglowaniem, przy czym każdy żagiel i każda lina rysowały się czarno i wyraźnie na tle ognistego wybuchu, niby zwęglony szkielet okrętu, zamknięty w ognistym globie. Potem na długie godziny statek zapadał znowu w noc i milczenie. Tylko nikłe westchnienia snuły się tam i sam — jak błędne duchy — i dotykały cichych żagli, rozdygotanych w nagłym, trwożnym łopocie, a z oddali szeptał współczująco ocean posępnym, nieogarnionym szumem...

Gdy przykręcono lampę, Jimmy, obróciwszy się na poduszce, patrzył przez drzwi otwarte na oścież. Za prostą linią szczytowego żagla migały wizje bajecznego świata, złożonego z drgających płomieni i sennej wody. Błyskawice odbijały się w wielkich smutnych oczach Jimmy'ego, które lśniły — zda się — własnym, czerwonym ogniem wśród czarnej twarzy. Potem leżał znów w gęstym mroku, oślepiony i niewidzialny. Dochodził do niego stuk kroków na uciszonym pokładzie, oddech kogoś z ludzi, marudzących na progu, poskrzyp masztu, który się zakolysał, albo spokojny głos dyżurnego oficera, odbijający się głośnym i wyraźnym echem wysoko pośród nieruchomych żagli. Natężał uwagę i wsłuchiwał się z chciwością, łowiąc uchem najłżejszy szmer, który działał kojąco na jego udrękę bezsenności. Weselił go skrzyp bloków, orzeźwiał ruch poszeptującej warty, cieszyło przeciągłe ziewnięcie jakiegoś sennego i zmęczonego żeglarza, który rozkładał się powoli na deskach, by uciąć drzemkę. Życie wydawało się niezniszczalne. Toczyło się poprzez mrok i światło i sen, i snuło się przyjaźnie naokoło kłamliwej bajki o bliskiej śmierci Jimmy'ego; było jasne, jak świetlany zygzak błyskawicy, i pełniejsze tajemnic od nocnego mroku. Dawało mu poczucie bezpieczeństwa; cennym był dlań zarówno spokój wszechwładnej ciemności, jak i ruchliwe, niepokojące światło dnia.

Koło wieczora, w godzinach tzw. „psiej warty”, a nawet aż do pierwszego dyżuru nocnego, widziało się zawsze paru kolegów, dotrzymujących towarzystwa Jimmy’emu, porozmieszczanych z obu stron drzwi kajuty. W wygodnych pozach, podparci o odrzwia, z pozakładanymi na krzyż nogami, toczyli rozmowę z pogodnym zainteresowaniem, lub też w milczeniu zasiadali bądź na progu, bądź też na kufierku Jimmy’ego. Inni, zajmawszy miejsca na zapasowym maszcie u poręczy burtowej, przyjmowali w pogawędce udział milczącym zapatrzaniem się oczu i swymi prostaczymi twarzami, na które lampka z kajuty rzucała jaskrawą lunę. Ta małeńka, biało wymalowana izdebka sprawiała po nocy wrażenie jakiegoś srebrzystego *tabernaculum*, gdzie spoczywał pod kołdrą sztywny, czarny bożek, lyskający znużonym okiem i przyjmujący należną mu daninę holdów. Donkin celebrował. Minę miał taką, jak gdyby był pokazywaczem jakiegoś fenomenalnego zjawiska, jakiegoś osobliwszego, na uwagę zasługującego dziwotworu, z którego widzowie mają odnieść głęboką i wiecznotrwałą naukę.

— Tylko mu się przypatrzcie! Takiemu to wiadomo, co w trawie piszczy — nie bójcie się! — perorował od czasu do czasu, wymachując ręką twardą i kościstą jak łapa bekasa. Jimmy leżał na wznak, uśmiechając się z pobłażaniem i powściągając się od najmniejszego poruszenia. Udawał ostatnie wyczerpanie z sił, chcąc nam udowodnić, że zwłoka w wydobyciu go z owej strasznej kryjówki i potem cała noc spędzona na rufie pośród nas — egoistów niedbałych o jego potrzeby — że go to wszystko całkiem „połamało”. Lubił rozpowiadać o tym i, rzecz prosta, zawsze potrafił nas zająć. Mówił kurczowo, gorączkowymi napadami, po których następowały długie pauzy; podobne to było do chodu pijaka.

— Właśnie mi kucharz przyniósł imbryczek gorącej kawy... Postawił go tam na kufierku — zatrasnął drzwi... Poczulem, że zanosi się na duże kołysanie; ja do kawy — ratować: oparzyłem palce... i wyleciałem z tapczanu... Okręt przewrócił się tak szybko... Woda wlała się przez wentylator... Nie mogłem poruszyć drzwi... ciemno jak w mogile... próbowałem wgramolić się na koję górną... Szczury... jeden mnie ukąsił w palec, gdy już się wdrapałem na wierzch... Słyszałem, jak pode mną pływał... Myślałem, że już wcale nie przyjdziecie... żeście już wszyscy przepadli w morzu... naturalnie... Słyszałem tylko wicher... A potem wyście przyszli... szukać mojego trupa, oczywiście. Niechby cokolwiek później, a...

— Człowieku! Ależ hałasowałaś tam na potęgę — rzekł Archie w zamyśleniu.

— Ba, i wy też narobiliście piekielnej wrzawy tam na górze... Każdy by się przeraził... Nie wiedziałem, co się tam dzieje... Walał w te przeklęte deski... moja głowa... Zachowywaliście się zupełnie jak stado oszalałych głupców... w każdym razie nic mi z tego... Mógłbym równie dobrze i utonąć... Ba!

Jęczał, kłapał wielkimi, białymi zębami i obrzucał nas wzgardliwym spojrzeniem. Belfast spojrział na niego z bólem, uśmiechnął się frasobliwie i ukradkiem zacisnął pięść; niebieskooki Archie gładził powoli swoje czerwone baczki; u drzwi bosman wytrzeszczył oczy, parsknął nagle śmiechem i odszedł. Wamibo roił... Donkin pomacał rzadkie włosy, rosnące mu na jałowej brodzie i rzekł triumfująco, zerkając w stronę Jimmy’ego:

— Spójrzcie na niego! Chciałbym ja mieć połowę tego zdrowia co on, dalibóg!

Wskazał kusym palcem w tył okrętu, w stronę kajut oficerskich i szczechnął ze sztuczną wesołością:

— Tamtym na złość, tak się należy urządzać.

Jimmy rzekł dobrodusznie:

— Przestań-że błaznować!

Knowles, cochając się ramieniem o odrzwia, zauważył sprytnie:

— Wszyscy nie możemy się zameldować jako chorzy. Byłby to bunt.

— Bunt — głupstwo! — sztydził Donkin — Nie ma żadnego prawa przeciwko zachorowaniu.

— Jest sześć tygodni ciężkiego więzienia za uchYLENIE się od służby — odparł Knowles. — Pamiętam, widziałem raz w Kardyfie załogę przeladowanego statku — ostatecznie znów tak bardzo nie był przeladowany, tylko że jakiś podtusiały jegomość z białą brodą i z parasolem zjawił się na bulwarze i zaczął ludziom gadać. Okropna to rzecz — powiada — zatonać podczas zimy i po to tylko, żeby właścicielowi okrętu napędzić do kieszeni kilka funtów więcej. Użalał się nad ludźmi, omal nie płakał, rzetelnie mówię; — palto

miał niby wielki żagiel, a kapelusz jak żagiel mały górny. Chłopcy — zgoda! Powiedzieli, że nie chcą w zimę tonąć, i myśleli, że tatuś będzie za nimi przed sądem świadczył. Liczyli, że ta awantura zapewni im na dwa-trzy dni labę. A sąd skazał ich na sześć tygodni ciupy, bo okręt nie był przeladowany. Tak przynajmniej ustalono w sądzie. W całym porcie w Penarth nie było ani jednego przeladowanego okrętu. Zdaje się, że ten stary oszust był zapłacony przez jakież takie towarzystwo, żeby śledzić przeciążone okręty, ale znał się na tym jak koza na pieprzu... W gospodzie, w której mieszkuję, zmówiliśmy się w kilku, żeby tego starego łotra skąpać w doku. Tropiliśmy go, ale przepadł bez śladu, jak tylko wyslizgnął się z sali sądowej... Tak, tak. Zasądzono ich na sześć tygodni ciężkiego więzienia...

Słuchali ciekawie, przytakując surowymi, zamyślonymi twarzami. Donkin otwierał kilka razy usta, ale nic nie rzekł. Jimmy leżał cicho i obojętnie z otwartymi oczyma. Któryś majtek wyrwał się ze zdaniem, że „przekłęci sędziowie”, po tym krzycząco niesprawiedliwym wyroku, niezawodnie „poszli się upić z właścicielem na jego koszt”. Zdanie to podzielili inni. Rzecz sama przez się zrozumiała. Donkin rzekł:

— Co tam, sześć tygodni to można wytrzymać. Śpi się przynajmniej calutką noc, regularnie. Zrobiłbym tak, dalibóg.

— Jesteś do tego przyzwyczajony, co? — spytał któryś.

Jimmy raczył się zaśmiać. Wszystkim nam ten łaskawy śmiech dodał animuszu. Knowles bardzo zręcznie odwrócił swój punkt zapatrywania.

— Gdybyśmy zachorowali wszyscy, jakże byłoby z okrętem, co?

Postawiwszy to pytanie, rozglądał się wokoło, szczerząc zęby.

— Niech ginie do diabła — kpił Donkin — przecież to nie twój.

— Jakże to? Puścić go na rozbić? — odpierał Knowles, z wątpliwością w głosie.

— A tak, niech idzie na wolę wiatrów, czort z nim — przekonywał Donkin ze wspólną niedbałością.

Tamten, nie zważając na jego ton, medytował:

— Zapas żywności wyjdzie — mrucał — i co?... nigdzie nie dopłynąć... a jakże będzie z zapłatą? — dorzucił, nabierając pewności.

— Jaś lubi dzień, w którym płacą — odezwał się z proga jakiś słuchacz.

— Bo wtedy dziewczęta obejmują cię jedną ręką za szyję, a drugą sięgają ci do kieszeni, nazywając cię najmilszym. Nieprawda, Jasiu?

— Jasiu, z ciebie kat na dziewczęta.

— On ich naraz po trzy holuje, jak ten holownik Watkina o dwu kominach, który ciągnie trzy szkuńce.

— Kulawiec z ciebie, Jasiu, ale i gałgan!

— Jasiu, opowiedz nam o tej, co to miała jedno oko niebieskie, a drugie czarne. Dalej-że.

— Dziewczyn o jednym czarnym oku jest zatrzęsienie na Highway...

— Nie, taka jest tylko jedna — opowiedz nam, Jasiu.

Donkin spoglądał surowo i z obrzydzeniem; Jimmy'ego to męczyło, któryś z siwych wilków morskich potrząsał głową z cichym zadowoleniem, uśmiechając się dyskretnie znad fajki. Knowles, zbity z pantalyku, obracał się to w jedną, to w drugą stronę.

— Nie! Z wami to nigdy nie można pomówić rozsądnie...

Wycofał się wstydliwie, pomrukując, ale pochlebilo mu to. A tamci ryczeli ze śmiechu, tłocząc się w jaskrawym blasku koło tapczanu Murzyna. Zapadła jego czarna twarz poruszała się niespokojnie na białej poduszce. Zerwał się nagły powiew i zatrząsł płomieniem w lampie; tam na zewnątrz załopotał wysoko w górze żagiel, a niżej któryś szkotowy blok przedniego masztu jął uderzać z grzmiącym szczękami w żelazny pancierz burty. Przyleciał z dala okrzyk:

— Bacność ster!

I odpowiedział mu dalszy głos:

— Trzymam mocno, panie.

Załoga przycichła w oczekiwaniu.

Siwowłósy żeglarz wypukał fajkę o próg i powstał. Okręt wziął lekkie pochylenie, a senny poszum zwiastował, iż morze się ocknęło.

— Otóż i mamy wiejkę — szepnęła ktoś.

Jimmy obrócił się powoli w stronę wiatru. W ciemnościach zabrzmiał donośny, rozkazujący głos:

— Duży środkowy na maszt — ciągnij!

Zebrane u drzwi towarzystwo zniknęło z kręgu światła. Słyszeć było, jak biegli po rufie, powtarzając w różnych intonacjach:

— Duży środkowy na maszt!...

Sam tylko Donkin został przy Jimmy'm. Zapanowało milczenie. Jimmy otwierał parokrotnie i zamykał usta, jak gdyby łapiąc szeroki wiew; Donkin ruszał wielkimi palcami u bosych nóg i przyglądał im się w zamyśleniu.

— Czy nie poszedłbyś i ty zaciągnąć ten żagiel? — spytał Jimmy.

— Nie. Jeżeli sześciu chłopów nie ma dość krzepy w muskułach i nie może nasadzić tego przekłętego bezanżagla, to pal ich sześć — odrzekł Donkin głosem znużonym i głuchym, jak gdyby mówił z dna jakiegoś lochu. Jimmy ze szczególnym zainteresowaniem przypatrywał się jego stożkowej ściętej głowie o ptasim profilu; wychylił się z łóżka z badawczą i niepewną miną kogoś, co właśnie zastanawia się, jakby tu najlepiej uchwycić osobliwą gadzinę, która może ukłuć albo ukąsić. Jednakże powiedział tylko:

— Pan Baker zobaczy, że ciebie nie ma i znów będzie dogryzał.

Donkin wstał, aby pójść.

— Już ja go urządzę pewnej pięknej nocy, zobaczysz — rzucił przez ramię. Jimmy odparł natychmiast.

— Ty jesteś jak papuga, skrzecząca papuga.

Donkin zatrzymał się i z uwagą przechylił na bok głowę. Jego wielkie odstające uszy, przezrocyste i porysowane żyłkami, podobne były do cienkich skrzydeł nietoperza.

— Tak? — odpowiedział, stojąc tyłem do Jimmy'ego.

— Tak! Paplesz wszystko, co wiesz — jak... jak plugawe białe kakadu.

Donkin czekał. Słuchał, jak tamten oddycha głęboko i powoli, niby pod centnarowym na piersi ciężarem, wreszcie spytał spokojnie:

— Co ja wiem?

— Co?... To, co ja ci mówię... nie dużo. Co ty w tym masz... żeby tak ciągle mówić o moim zdrowiu?...

— Toć to wierutny szwindel! Parszywe, nędzne oszustwo pierwszej klasy. Ale ja nie dam się na to nabrać. Ja — nie!

Jimmy milczał. Donkin zagłębił ręce w kieszeniach i jednym krokiem podsunął się aż do tapczanu.

— Ja mówię — ot co. Nie ma tu ludzi z charakterem. To są owce, nad którymi można przewodzić. Ale ciebie popieram... Czemuż by nie? Dobrze ci się wiedzie.

— Owszem. Przeciwno temu nic nie powiadam.

— No więc. — Niech się uczą ode mnie męskich sposobów. Jestem mężczyzną i wiem doskonale, jak stoi twoja sprawa...

Jimmy wtulił się w poduszki, tamten zaś wysunął cienką szyję, nachylając ku niemu pasią twarz, niby dziób, gotowy do wyklucia oczu.

— Ja mam charakter męski. Woląłem wycierać się po wszystkich ciupach Kolonii, niż zrezygnować ze swoich praw...

— Jesteś kajdaniarzem — rzekł Jimmy słabym głosem.

— Tak. Jestem... i szczyć się tym. A ty co? Brak ci męstwa... i dlatego wymyśliłeś to oszukaństwo...

Zatrzymał się chwilę i, akcentując jakąś ukrytą myśl, rzekł z wolna:

— Przecież ty nie jesteś chory — prawda, że nie?

— Nie — odrzekł stanowczo. — Kilka razy w tym roku byłem niezdolny do pracy — dorzucił. I nagle sposepniał.

Donkin przymknął jedno oko z przyjacielską konfidencją.

— Robiłeś to i przedtem, nieprawdaż? — szepnęła.

Jimmy uśmiechnął się, po czym, jak gdyby nie mogąc się dłużej opanować, dał folę zwierzeniom:

— Na ostatnim okręcie — tak. W czasie podróży udałem chorego. Rozumiesz? Łatwa rzecz. W Kalkucie wyplacono mi lon, a szyper nie zrobił o to żadnego kramu...

Otrzymałem swoje pieniądze, jak się należy. Pięćdziesiąt ośm dni przeleżałem w łóżku! Głupcy! O Boże! Co za głupcy! Zapłacili mi rzetelnie!...

Zaśmiał się kurczowo. Chichotał i Donkin. Jimmy silnie zakaszał.

— Jest mi tak dobrze jak nigdy — rzekł, gdy znowu mógł oddychać.

Donkin zrobił szyderczy gest.

— To się rozumie — rzekł głębokim tonem. Każdy to przecież widzi.

— Ale nie oni — odparł Jimmy, zipiąc jak ryba wyjęta z wody.

— Oh, oni wszystko biorą za dobrą monetę — upewnił Donkin.

— Nie trzeba za bardzo w to wierzyć — upominał Jimmy głosem znękanym.

— W twoją komedijkę wierzyć? Hę? — uzupełnił Donkin jowialnie... I dodał z nagłym wstrętem:

— Ty myślisz tylko o sobie, dopóki ci szczęście służy...

Wobec tego zarzutu samolubstwa, Dżems Wait podciągnął koldrę do brody i chwilę leżał cicho z grymasem na czarnych, wydatnych wargach.

— Dlaczego ciebie tak podrywa do kłótni? — spytał bez wielkiego zainteresowania.

— Bo to jest skończone świństwo. Nabrali nas... życie podłe, płaca podła... Chciałbym, żeby się tak zdarzył jaki porządny rozruch — jakaś taka wściekła, diabelna ruchawka, żeby ją popamiętano! Roztrącać ludzi... Po łbie walić... A jakże! Czy jesteśmy bydłem, czy ludźmi?

Płonął cnotliwym oburzeniem. Nagle rzekł najspokojniej:

— Rozwiesiłem twoje rzeczy dla przewietrzenia.

— Dobrze — rzekł Jimmy zmęczonym głosem. — Przynies je tu.

— Daj mi klucz od kuferka, poukładał ci je — mówił Donkin z przyjacielską skwapliwością.

— Przynies je tutaj, sam poukładał — rzekł Jimmy surowo.

Donkin spuścił oczy w ziemię i coś pomrukiwał...

— Co mówisz? Co takiego? — zaniepokoił się Jimmy.

— Nic. Sucha noc. Niech tam sobie powiszą do rana — powiedział Donkin jakimś dziwnie drżącym głosem, jakby powstrzymywał śmiech, czy też wściekłość. Jimmy'ego, zda się, ta odpowiedź zadowoliła.

— Nalej mi trochę wody do dzbanka na noc — powiedział.

Donkin wyszedł za próg.

— Nalej sobie sam — wygłosił szorstko — możesz to zrobić, jeżeli nie jesteś *naprawdę* chory.

— Rzeczywiście, mogę to zrobić — rzekł Wait — tylko że...

— A więc zrób — rzucił Donkin złośliwie — ponieważ możesz doglądać swego ubrania, możesz doglądać i samego siebie.

Wyszedł na pokład i wcale się nawet nie obejrzał. Jimmy sięgnął po dzbanek. Ani kropli. Postawił go z wolna, westchnął cicho i przymknął oczy. Myślał:

— Wody mi przyniesie ten wartogłów Belfast, jeśli zażądam. Głupiec. Bardzo mi się chce pić...

Było niezmiernie gorąco w kajucie, która zdawała się wykonywać powolny obrót, oddzielać się od okrętu i unosić lekko w jasnym, powietrznym obszarze, oświetlonym jaskrawymi blaskami jakiegoś szybko wirującego, czarnego słońca. Obszar bez wody. Bez kropli wody. Jakiś policjant z twarzą Donkina siedzi na cembrowinie pustej studni i pije szklankę piwa; nagle zamachał wielkimi skrzydłami i odfrunął. Jakiś okręt o masztach wbitych w niebo i tam ginących, wyładowuje zboże; wiatr rozmiata suche plewy tumanem wzdłuż kamiennego wybrzeża portu, gdzie nie ma ani kropli wody. Jimmy kręci się na wietrze razem z tymi plewami — czuje zmęczenie i jakąś dziwną lekkość. Jest bez wnętrzości. Czuje się lżejszym i suchszym od plew. Rozszerzył wdech pustą klatkę piersi. Wdął w siebie z powietrzem całą masę osobliwych rzeczy, coś jakby drzewa, domy, ludzi, słupy latarni... Już nie ma nic! Nie ma więcej powietrza — a on jeszcze nie skończył swojego długiego wdechu. Ależ on w celi więziennej! Zamykają go właśnie. Jakieś drzwi się zatrasły. Zgrzytnął klucz dwukrotnym spustem, i chluśnięto na niego kubelkiem wody. Och! Po co to?...

Otworzył oczy i pomyślał sobie, że upadek był za ciężki, jak na niego, człowieka pustego — całkiem pustego w środku. Znajdował się w swojej kajucie. — A! kajuta —

doskonale! — Był zlany potem, ręce ciążyły mu jak ołów. Zobaczył, że kucharz stoi we drzwiach, trzymając w jednej ręce klucz mosiężny, a w drugiej — lśniący czajnik cynowy z pałąkiem.

— Zamykałem na noc — oznajmił kucharz, promieniejący zadowoleniem — Dopiero co wybiła ósma. Przynoszę ci garnek zimnej herbaty, żebyś na noc miał co do picia. Osłodziłem ją nawet białym cukrem od święta. Co tam — okręt od tego nie utonie.

Wszedł, powiesił czajnik u węgła koi.

— Co słyszeć? — rzekł ceremonialnie, po czym siadł na kufunku.

— Hm — odburknął Wait niezbyt gościnnie.

Kucharz obtarł sobie czoło jakimś brudnym łachem bawełnianym, który następnie związał sobie na szyi.

— Tak robią palacze na parowcach — rzekł wesoło, niezwykle rad z siebie — Moja praca jest przynajmniej tak ciężka jak ich — sądzę — a godzin mam więcej. Czyś kiedy widział ich w kotłowni? Wyglądają jak szatani, niecący ciągle ogień — ogień — ogień, tam na dnie.

Wskazał palcem na pokład. Jakaś posępna myśl zachmurzyła mu lice i przemknęła po nim jak cień błędnej chmury po spokojnym morzu. Zluzowana warta wracała z tupotem na przodek statku i zwartą grupą mijala oświetlony obręb przy drzwiach. Niektórzy wołali:

— Dobranoc!

Belfast przystanął na chwilę, aby zajrzeć do Jimmy'ego i stał drżący i niemy, jak gdyby opanowując wzruszenie. Zamienił z kucharzem bolejąco-porozumiewawcze spojrzenie i ulotnił się. Kucharz odchrząknął. Jimmy spoglądał w sufit i zatopił się w milczeniu.

Noc była widna, z lekkim wiatrem. Okręt, nieco bokiem pochylony, ślizgał się gładko po ciemnej toni, dążąc po niedościgłej wspaniałości widnokregu, usianego migotliwymi punkcikami gwiazd. Wysoko ponad iglicowatymi wierzchołkami masztów przewijał się po niebie szlak drogi mlecznej, podobny do triumfalnego łuku wiekuiestej światłości, rozpiętego nad mrocznym torem ziemi. Na górnym pokładzie baku, nad kasztelelem, któryś z majtków głośno i z precyzją gwizdał skoczną nutę ulubionego płasu, a drugi szurał w takt nogami i przytupywał. Od przodu dolatywała gwarna mieszanka rozmów — śmiechów — urywanych dźwięków pieśni. Kucharz pokiwał głową, zerknął ukosem w stronę Jimmy'ego i począł zrzędzić.

— Oj, oj! Taniec i śpiew. Tylko to im w głowie. Podziwiam Opatrzność, że jest na to cierpliwa... Niepamiętni dnia, który na pewno przyjdzie... Ale ty...

Jimmy łknął herbaty pośpiesznie, jakby ukradkiem, zakopał się pod kołdrą i przycisnął do samej ściany. Kucharz wstał, zamknął drzwi, po czym znowu siadł i zaczął perorować:

— Za każdym razem, gdy rozniecam w kambuzie ogień, myślę o was, towarzysze — wy przeklinający, kradnący, łżący i czyniący jeszcze gorzej — tak, jak gdyby nie istniało nic z tego, co się nazywa tamtym światem... A chłopcy skądinąd nieźle do pewnego stopnia — dodał powoli i po chwili smętnego rozmyślenia ciągnął dalej z rezygnacją — No, no! Będzie im kiedyś ciepło. Ciepło rzekłem? Żar paleniska na jakimś parowcu White Star jest wobec tego niczym.

Zamilkł i siedział przez chwilę nieruchomo. W jego mózgu kotłowało się; przesuwaly się widziadła o świetlanych zarysach; dźwięczały bezładnym chórem pobudzające pieśni wraz z jękami udręczeń piekielnych. Cierpiał, rozkoszował się, podziwiał, pochwalał. Był zachwycony, przejęty strachem i uniesieniem — podobnie jak w on pamiętny wieczór (jedyne raz w życiu — przed dwudziestu siedmiu laty; z przyjemnością zaznaczał cyfrę lat), kiedy to, będąc młodzieńcem i dostawszy się w złe towarzystwo, upił się w pewnym tingel-tangu we wschodniej dzielnicy. Fala nagłego uniesienia porwała mu duszę. Uleciał ku wyżynom. Spozierał w tajemnicę zaświata, odczuwał jego niewypowiedzianą doskonałość; kochał go, kochał siebie, wszystkich towarzyszy, Jimmy'ego. Serce rozsadała mu tkliwość, wyrozumiałość, wścibstwo, niepokój o duszę tego czarnego, pycha z zapewnionych na wieki niebios i poczucie swej mocy. Porwać tego Murzyna w ramiona i cisnąć w sam środek zbawienia... Czarna dusza... jeszcze czarniejsze ciało... rozkład... Szatan. Nie! Co innego: moc... Samson... W uszy bił mu dźwięk cymbałów; miał wrażenie, że przewija się jak błyskawica przez gmatwaninę promiennych twarzy, lilii, modlitewników, nadziemskich uciech, białych koszul, harf złotych, czarnych surdutów, skrzydeł. Widział

powiewne szaty i gładko wygolone twarze; morze światła i jezioro smoły. Czuł słodkie wonie i zapach siarki — miał wizję płomienistych języków, liżących mglistą białość. Wtem zagrzemiał jakiś straszliwy głos! Wszystko to trwało trzy sekundy.

— Jimmy! — krzyknął w natchnieniu. Ale zawahał się jeszcze. Iskierka ludzkiego miłosierdzia tliła się w jego duszy, prześwitując wskroś piekielny tuman zarozumiałości, wyśrubowanej do najwyższego stopnia.

— Co? — odezwał się niechętnie Dżems Wait. Nastąpiło milczenie. Obrócił się cokolwiek i błysnął ukradkowym spojrzeniem. Wargi kucharza poruszały się nieme; twarz miał wniebowziętą, oczy skierowane wwyż. Zdawał się zasylać modły ku belkom, ku brązowemu wieszakowi lampy, ku dwom karaluchom.

— Słuchaj-no ty — rzekł Wait — chciałbym już spać. Zbiera mi się na sen.

— Nie pora spać teraz! — wypowiedział kucharz donośnym głosem. Modlitwa wyzła go z resztek człowieczej słabości. Był już tylko głosem — czymś bezcielesnym i podniosłym — jak owej pamiętnej nocy, kiedy to kroczył po falach morskich, ażeby sporządzić kawę dla ginących grzeszników.

— Nie pora spać teraz! — powtórzył z godnością — *Ja* spać nie mogę.

— To mnie diabelnie mało obchodzi — rzekł Wait, siłąc się na ton energiczny — chce mi się spać. Ruszaj stąd do licha!

— Przekleństwo... W samej czeluści piekielnej!... W samej czeluści! Azali nie widzisz płomienia... nie czujesz go? Zaślepiony, zatwardziały grzeszniku! Ja czuję go za ciebie. I nie mogę tego znieść. Słyszę głos, wołający mnie na twój ratunek. Dniem i nocą. Jimmy, pozwól mi cię zbawić!

Zaklęcia i groźby wybuchnęły z niego rwącym potokiem. Karaluchy uciekły. Jimmy, zlany potem, wił się ukradkiem pod koldrą. Kucharz wrzeszczał:

— Dni twoje policzone!...

— Won stąd! — krzyknął Wait odważnie.

— Módl się wraz ze mną!

— Nie chcę!...

Mała kajutka, gorąca jak piec, ogarniała w tej chwili ogrom lęków i bólów; krzyków i jęków; modlitw, wygłaszanych tonem przekleństw, i klątw, szeptanych jak modlitwy. Charley z oznakami najwyższego zachwyty obwieścił wszystkim, że w celce Jimmy'ego dzieją się nadzwyczajne rzeczy, więc brać marynarska tłoczyła się u zamkniętych drzwi, zbyt oszołomiona, ażeby je otworzyć. Cisnęła się tu cała załoga. Ludzie z dolnej warty powyskakiwali w koszulach na pokład, jakby w czasie jakiejś katastrofy. Ci, którzy przybyli ostatni, nuż wypytywać:

— Co tam takiego?

— Słuchajcie — wołali inni.

Stłumiony wrzask rozlegał się ciągle:

— Na kolana! Na kolana!

— Milcz!

— Nie! Mam cię w swojej pieczy... Życie twoje uratowane... Opatrzność... Miłosierdzie... Żałuj za grzechy...

— Jesteś postrzelony głupiec.

— Ty jesteś na mojej odpowiedzialności... ty... Nie będę miał na tym świecie spokojnego snu, jeżeli...

— Wynoś się!...

— Nie!... palenisko ogniem ziejące... tylko pomyśl!...

Tu dała się słyszeć roznamietniona, wrzaskliwa paplanina, w której wyrazy sypały się jak grad.

— Nie! — krzyczał Jim.

— Tak! Jesteś! Nic nie pomoże. Wszyscy to mówią.

— Łżesz!

— Widzę, że umierasz... w tej chwili... w moich oczach... jesteś już martwy...

— Ratunku! — krzyknął przenikliwie Jimmy.

— Nie na tej dolinie leż... wznies się oczyma wwyż — darł się tamten.

— Precz! Morderco! Na pomoc! — ryczał Jimmy.

Głos mu się nagle załamał. Dolatywały jęki, ciche mamrotanie, westchnienia.

— Co się tu dzieje? — spytał głos, który rzadko dawał się słyszeć.
— Rozstąpcie się! Dalej w tył! — zakomenderował ostro pan Creighton, przeciskając się przez ciżbę.

— Idzie stary — szepnął ktoś.

— Tam jest kucharz, proszę pana — wykrzyknęło kilku, ustępując z drogi.

Odemknięto drzwi z trzaskiem; szeroki strumień światła trysnął na osłupiałe twarze; dmuchnęło prądem ciepłego zaduchu. Dwaj oficerowie więcej niż o głowę przewyższali tego nikłego, siwego człowieczka, który zjawił się nagle pomiędzy nimi, odziany niepo-
częśnie, sztywny, kanciasty, podobny do wyciosanej z drzewa figurki, z twarzą szczupłą i spokojną.

Kucharz powstał z klęczek. Jimmy siedział na wyższym tapczanie, objąwszy rękami podwinięte golenie. Chwast niebieskiej jego szlafmicy drżał prawie nieuchwytnie nad kolanami. Patrzali zdumieni na długą, w pałąk wygiętą linię jego pleców, a on spojierał ku nim błędnym okiem. Bał się odwrócić głowę, kulił się ze strachu; jakiś dziwny, bydlęcy rys przejawiał się w jego nieruchomej, wyczekującej, bezmyślnej pozie, którą nakazał mu przybrać instynkt spłoszonego, dzikiego zwierza.

— Co tu robisz? — spytał szorstko pan Baker.

— Spełniam swój obowiązek — odpowiedział kucharz z przejęciem.

— Swoj... co takiego? — zachnął się pan Baker. Kapitan Allistoun trącił go lekko w ramię.

— Znam jego maniactwo — rzekł po cichu i dodał na głos rozkazującym tonem:

— Wyjdź stąd, Podmore!

Kucharz załamał ręce, podniósł pięści i trząsł nimi nad głową, aż wreszcie ramiona mu opadły, jak gdyby były za ciężkie. Chwilę stał tak zbity z tropu, bez słowa.

— Nigdy! — wykrztusił — Ja... on... Ja...

— Co — ty — po — wia — dasz? — przeciągnął kapitan Allistoun — Wychodź stąd natychmiast — bo inaczej —

— Już wychodzę — rzekł kucharz z nagłą i ponurą rezygnacją. Przystąpił stanowczo próg, zawahał się — odszedł jeszcze kilka kroków. Przyglądano mu się w milczeniu.

— Składam na was odpowiedzialność — krzyknął z rozpaczą, wykonując pół obrotu w tył. — Ten człowiek umiera. Składam na was...

— Jeszcześ tu? — zawołał groźnie kapitan.

— Już mnie nie ma — pośpieszył odrzec.

Bosman wziął go pod ramię i wyprowadził; kilku majtków śmiało się; Jimmy podniósł głowę, spojrział ukradkiem i najniespodziewaniej wyskoczył z łóżka. Pan Baker zręcznie go pochwycił, widząc, że ledwie trzyma się na nogach; w grupie u drzwi rozległy się zdziwione pomruki.

— On kłamie — zapał Wait — napłótl mi o czarnych diabłach — on sam diabeł — biały diabeł. Ja jestem zdrow.

Wyprostował się, a pan Baker puścił go z rąk, dla próby. Zataczając się, zrobił dwa-trzy kroki; kapitan Allistoun przyglądał mu się uważnie badawczym wzrokiem; Belfast podbiegł, aby go podtrzymać. Murzyn zdawał się nie dostrzegać przy sobie nikogo; przez chwilę stał milczący, zmagając się o własnych siłach z legionem strasznych mar beziemiennych, samotny wśród podnieconych ciekawością spojrzeń ludzkich, ciśnięty na żer własnym niedocieczonym lękiem. W ciemności słyhać było ciężkie oddechy. W ściekach burtowych bulgotała woda, gdyż okręt pod naporem przelotnej wiei zatoczył się bocznym kołysaniem.

— Trzymajcie go z daleka ode mnie — przemówił nareszcie Dzems Wait dźwięcznym barytonem, obciążając kark Belfasta całą wagą swej osoby — Było mi już lepiej w ostatnim tygodniu... Jestem zdrow... Powracam do zajęć... jutro — zaraz, jeśli pan kapitan sobie życzy.

Belfast prężył ramiona, aby móc go utrzymać.

— Nie — odrzekł zwierzchnik i przyglądał mu się uważnie.

Spod pachy Jimmy'ego wyglądała kłopotliwie czerwona twarz Belfasta. Szereg błyszczących oczu wpatrywał się w nich z natężeniem. Ludzie trącali się łokciami, kręcili głowami, szeptali. Wait zwiesił głowę na piersi, i spod przymkniętych powiek rzucał nieufne

spojrzenia. — Dlaczego by nie? — odezwał się z półcienia czyjś głos — Ten człowiek jest zupełnie zdrow, proszę pana.

— Tak, jestem zdrow — potwierdził Wait żywo — Chorowałem... teraz lepiej... do roboty...

Westchnął.

— Matko Święta! — zawołał Belfast, prężąc ramiona — wyprostuj-że się, Jimmy.

— A więc idź sobie precz ode mnie — rzekł Wait, odepchnął z niechęcią Belfasta i, zatoczywszy się, oparł o odrzwia. Kości policzkowe świeciły mu, jakby powleczone werniksem. Zerwał z głowy szlafmycę, wytarł nią twarz i cisnął ją na pokład.

— Wychodzę — rzekł, nie ruszając się z miejsca.

— Nie. Nie wyjdiesz — rzekł krótko kapitan.

Zaszurały boscie nogi, pomruk niezadowolenia przebiegł wokoło; kapitan, jakby nie słysząc tego, mówił:

— Przeprończycyłeś nieomal całą podróż, a teraz chcesz się wykpić byle czym. Myślisz sobie, że stolik do wypłaty już blisko. Zalatuje cię zapach wybrzeża, hę?

— Byłem chory... teraz mi lepiej — bąkał Wait, zapatrzony w płomień lampy.

— Udawałeś chorobę — odparł kapitan Allistoun surowym głosem — Przecież... — tu zrobił przestanek mniej niż półsekundowy — Przecież to widoczne dla każdego. Nic ci nie jest, ale wolałeś się wylegiwać, bo tak ci się podobało — a teraz mnie się podoba, żebyś się wyleżał. Panie Baker, rozkazuję, żeby temu człowiekowi nie pozwalano wychodzić na pokład aż do końca podróży.

Rozległy się okrzyki zdziwienia, triumfu, oburzenia. Ciemna grupa ludzi przesunęła się przez światło.

— Dlaczego?

— Mówiłem wam, że tak będzie.

— To wstyd haniebny!

— Mielibyśmy i my coś o tym do powiedzenia — krzyczał z tyłu Donkin.

— Nie bój się, Jim — dojdziemy z tym do ład — oświadczyło kilku naraz.

Starszy wiekiem żeglarz wystąpił przed front.

— Czy pan kapitan chciał przez to powiedzieć — rzekł złowrogo — że choremu towarzyszowi nie wolno tu na tym pudle wyzdrowieć?

Z tyłu Donkin wśród zagapionego tłumu szeptał coś podjudzająco, ale nikt jakoś nie zwracał nań uwagi, zaś kapitan Allistoun potrząsnął groźnie palcem przed brązową, gniewną twarzą mówcy:

— A tobie radzę trzymać język za zębami — rzekł ostrzegawczo.

— Tak się nie postępuje — krzyczało dwu-trzech z młodzieży.

— Czy jesteśmy maszynami? — wrzasnął Donkin piskliwie i zaraz dał nura pod łokcie frontowego szeregu.

— Potrafimy go przekonać, że nie jesteśmy dziećmi...

— Człowiek jest człowiekiem, chociaż i czarny.

— Nie będziemy tego przeklętego statku obsługiwać ze zmniejszoną załogą, jeżeli temu negrowi nic nie brak...

— Sam on powiada, że nic.

— A zatem chłopcy: strajk — strajk!

— Oto najlepsze hasło!

Kapitan Allistoun rzucił drugiemu oficerowi krótkie — „Zachować spokój, panie Creighton” — i stał spokojnie wśród tumultu, przysłuchując się z wielką uwagą tej skłębionej zawierusze szemrań i krzyków; dawał baczenie na każde głośniejsze słowo i na każdy wybuch przekleństw.

Ktoś zatrzasnął kopnięciem drzwi kajuty; ciemność, groźna poszeptem i porykiem głosów, pochłonęła nagle wąski rąbek światła, przeobrażając ciżbę ludzką w tłum gestykulujących, ryczących, gwizdzących i rechoczących w szale cieniów.

Pan Baker szepnął:

— Niech pan kapitan stąd odejdzie.

Duża postać pana Creightona górowała w milczeniu nad nikłą figurką zwierzchnika.

— Przez cały kurs pokazywali, co umieją — burknął czyjś głos — ale teraz przebrała się miarka.

— To nasz towarzysz.

— Czy nie traktują nas jak gromadę cieląt?

— Warta bakburty odmawia posłuszeństwa.

Charley, porwany sentymentem, zagwizdał przeraźliwie i wrzasnął:

— Oddajcie nam Jimmy'ego!

To wprowadziło nowy ton do zamieszki. Buchnęła wrzawa ze świeżą energią. Zaraz zawiązały się kłótnie.

— Tak.

— Nie.

— Wcale nie był chory.

— Co tu gadać? Jazda na nich!

— Stulcie gęby, młodzież! To rzecz nasza — ludzi poważnych.

— Czyżby?... — mruknął z goryczą kapitan Allistoun. Pan Baker pochrząkiwał:

— Hm! Powariowali. Przez cały miesiąc już coś knuli.

— Widziałem to — odrzekł kapitan.

— A teraz kłócą się pomiędzy sobą — rzucił wzgardliwie pan Creighton — Lepiej niech pan oddali się, panie kapitanie. My ich uspokoimy.

— Nie trać pan równowagi, panie Creighton — rzekł kapitan.

I trójka starszyny ruszyła z wolna ku drzwiom kajuty.

W cieniu ożaglenia przedniego masztu kłębił się czarny tłum, falował, tupotał, wzbierał, odpływał. Huczały słowa wymówek, podjudzań, niedowierzania, klątw. Starsi majtkowie, zakłopotani i rozłoszczeni, oświadczyli mrukliwie swój zamiar wytrwania jakkolwiek bądź do końca; ale wybujała młodzież roztaczała swoje oraz Jimmy'ego krzywdy w harmidrze krzykliwych argumentów i zbijających się wzajemnie dowodzeń. Cisnęli się dokoła tej ruiny człowieczej, ośrodka i symbolu swoich poczynań i, podniecając się wspólnie, dreptali na miejscu i wrzeszczeli, że nie dadzą się „nabrać”.

W kajucie Belfast pomagał Jimmy'emu wejść na tapczan, dygotał z chętki nieprzeoczenia żadnego szczegółu tej awantury i z trudnością powstrzymywał od łez czułości i swój temperament. Dżems Wait leżał na wznak pod kołdrą i jęczał.

— Już my staniemy za tobą, nie bój się — zapewniał go, otulając mu nogi.

— Jutro rano przystąpię do służby — spróbuję — a wy, chłopcy, musicie mi... kapitan czy nie kapitan. Jutro rano wychodzę.

Podniósł z trudnością ramię i musnął dłonią po twarzy.

— Nie puszczaj tu kucharza...

Ledwie dyszał.

— Nie, nie — rzekł Belfast, odwracając się plecami do łóżka — Będzie miał ze mną sprawę, jeśli się zbliży do ciebie.

— Zbiję mu pysk na kwaśne jabłko — rzekł Wait słabym głosem z bezsilną wściekłością — Nikogo nie chcę zabijać, ale...

Zaczął dyszeć szybko, jak zziąjany pies, który biegł w słonecznym żarze. W tej chwili ktoś krzyknął za drzwiami: „Taki on chory, jak i każdy z nas”. Belfast położył rękę na kłance.

— Słuchaj no! — zawołał Dżems pośpiesznie, głosem tak donośnym i czystym, że Belfasta aż poderwało. Tamten leżał w oślepiąco białym świetle, czarny i podobny do trupa. Odwrócił głowę na poduszce i wpatrywał się w Belfasta błagalnie i z bezczelnością.

— Zesłałem od tego długiego leżenia — rzekł wyraźnie.

Belfast przytaknął gestem.

— Teraz całkiem mi dobrze — twierdził Wait.

— To prawda. Widziałem, że ci lepiej w tym... ostatnim miesiącu — przyznał Belfast, spuszczać oczy. — Hola! Co to jest? — krzyknął i wybiegł z kajuty.

Zaraz potknął się o dwa jakieś ciała, które przytoczyły go do ściany kasztelu. Odbiła się widać jakaś ogólna bijatyka.

Uwolniony się z tej opresji, zobaczył trzy niewyraźnie zarysowane postacie, stojące pod dolną krawędzią wielkiego żagla, który wzdymał się nad ich głowami, jak brzuchata nadmurówka wysokiego gmachu.

Donkin syczał:

— Hajda na nich... jest ciemno!

Tłum pchnął się całym cielskiem ku przodowi — nagle stanął. Donkin zwinnie wyśliznął się z kupy i, wywijając prawym ramieniem, jakby wiatrakowym skrzydłem, zatrzymał je raptem, wycelowane sztywno w kierunku trzech głów. Dał się słyszeć furkoczący polot jakiegoś ciężkiego przedmiotu; pocisk przeleciał między dwiema głowami oficerów, odbił się twardo kilka razy o pokład i z grzmiącym łoskotem rąbnął o zasuwę tylnej luki.

Z mroku wyłoniła się masywna postać pana Bakera.

— Ludzie, opamiętajcie się! — krzyknął, idąc na nieruchomo zwarte pospólstwo.

— Wróć się pan, panie Baker — zawołał spokojny głos zwierzchnika.

Uśluchał pomimo woli. Przez chwilę panowała cisza, po czym rozległ się ogłuszający zgiew, nad który wybił się energiczny głos Archiego:

— Jeżeli jeszcze raz to zrobisz, powiem!

— Daj spokój! — rozlegały się krzyki.

— Rzuć to!

— My nie z tego gatunku!

Czarna ciżba skłębionych kształtów ludzkich zatoczyła się aż do burty i z powrotem uderzyła o ścianę „domu”. Ciemne postacie chwiały się, padały i podnosiły w skok. Dzwoniły kółka klubek, trącane potykającymi stopami.

— Rzuć to!

— Puść mnie!

— Nie!

— Do kroćset! — ach!

Tu odgłos, jakby uderzenia w twarz; kawałek żelaza stuknął o pokład; szamotanie się krótkie — i cień czyjegoś ciała zniknął w otworze głównej luki, przed cieniem czyjegoś kopnięcia. Rozległ się rozwścieczony głos, skowyczący najplugawsze kłatwy.

— Ciskać sprzętami — na miły Bóg! — chrząkał przerażony pan Baker.

— To we mnie godziło — rzekł spokojnie kapitan — Czulem przy twarzy prąd powietrza; co to był za przedmiot — czy nie balas?

— Na Boga — mruknął pan Creighton.

Splątane głosy rozmów ze środka okrętu biegły, mieszając się z gwarem fal, podnosiły się ku milcząco rozpostartym żaglom — zdawały się płynąć w dal nocy — aż poza horyzont i hen ponad niebo. Ciche gwiazdy płonęły nad wierzchołkami pochylonych masztów. Smugi światła, leżące na wodzie, łamały się pod sunącym kadłubem statku, a gdy je przeorał, drżały długi czas jeszcze, jakby ze strachu przed szemrzącym morzem.

Tymczasem sternik, wiedziony ciekawością, co by znaczyła ta wrzawa, porzucił koło i, zgięty we dwoje, długimi krokami pędził chyłkiem ku rufie. Pozostawiony sobie Narcyz wykręcił się powoli z wiatrem, zanim ktokolwiek to zauważył. Szedł, kołysząc się z lekka; śpiące żagle ocknęły się naraz i z wielkim łopotem uderzyły jednocześnie o maszty; następnie jęły znów, jeden po drugim, obrzękać, trzaskając głośnie na wyżach rej, aż wreszcie główny żagiel rozparł swoje płótnisko na ostatku jednym, gwałtownym rzutem. Okrę; zadygotał od flagowych czopów, aż do bierwion kilut łoskot żagli trwał wciąż, jakby jakaś kanonada; liny łańcuchowe — szkoty i luźne ich obrączki, tzw. szykle, pobrzękiwały w górze lekkim szczękiem; pogrzmiwały bloki windug. Niewidzialna, zda się, gniewna jakaś ręka zatrzęsała okrętem, by przywieść jego załogę do poczucia rzeczywistości; przypomnieć jej czujność i obowiązki.

— Do rudła! — krzyknął ostro kapitan — Biegnij no pan na rutę, panie Creighton, zobacz, gdzie się ten głupiec zapodział.

— Ściągnąć kliwer! Brasy hyzowe luźno! — grzmiał pan Baker.

Wystraszeni majtkowie sygnęli się hurmem, powtarzając komendę. Warta wolna, widząc się nagle osamotnioną przez wartę czynną, powlokła się samowtór i samotrzeć do izby kasztelu, rozprawiając głośnie po drodze.

— To się rozstrzygnie jutro! — wołał donośnie czyjś głos, chcąc osłonić tą pogroźką niechwalebny odwrót. I już nic innego nie było słyszeć prócz rozkazów, łomotu spadających zwojami lin i klekotu bloków. Głowa Singletona bielila się tam i sam pośród nocy, wysoko nad pokładem, jak duch jakiegoś ptaka.

— Chwycił wiatr, kapitanie! — wołał pan Creighton z rufy.

— Folguj jeszcze!

— Dobrze!

— Popuścić szkotów skośnego żagła. Brasy wystarczą. Zmotać liny! — pochrząkiwał pan Baker, uwijając się rażno.

Hałaśliwa tupanina i wrzawa głosów ucichły stopniowo; oficerowie zeszli się na tylnym pokładzie i omawiali zdarzenia. Pan Baker dziwił się i chrząkał; pan Creighton tłumił w sobie wściekłość, a kapitan Allistoun był spokojny i zamyślony. Słuchając mrukliwych dowodzeń pana Bakera, przeplatanych surowymi uwagami pana Creightona, spuścił oczy na pokład i ważył w ręce żelazny balas w kształcie wielkiego gwoźdźca — ów pocisk, który chybił jego głowę — jak gdyby to był jedyny dotykalny fakt z całego zajścia. Kapitan należał do tych wodzów, którzy mówią mało, zdają się nic nie słyszeć, na nikogo nie patrzeć, ale wiedzą o wszystkim, słyszą każdy szmer i chwytają najlżejszy odcień okrętowego życia. Dwaj silnie zbudowani oficerowie przerastali jego szczupłą, drobną postać; rozmawiali mu nad głową; byli skłopotani, oszołomieni, gniewni; zaś pośród nich ten spokojny człowieczek wyglądał jak ktoś, co na dnie głębokiego doświadczenia odnalazł milczącą pewność siebie.

W kasztele płonęły światła. Od czasu do czasu buchała stamtąd salwa głośniejszej wrzawy, przelatywała nad pokładami i cichła, zamierając; sprawiało to wrażenie, jak gdyby nieświadomy okręt, sunący z wolna przez wielki spokój morza, zostawiał poza sobą raz na zawsze wrzaskliwość i burzliwość człowieczą. Ale odradzała się raz po raz. Wymachujące ramiona, profile głów z otwartymi ustami pojawiały się na chwilę w oświetlonych drzwiach; czarne pięści wysuwały się i znikaly...

— Tak. Najgorsza rzecz w tej przeklętej zamieszce, że zwała się człowiekowi na kark ni z tego, ni z owego — przyznawał kapitan...

Z obrębu światła buchnęły wrzaski, raptem ustały... Kapitan ciągnął dalej: „Zdaje się, że już nie będzie więcej zamieszek...” Zadzwoił dzwon na rufie, z juty odpowiedział mu drugi dzwon głębszym tonem, i dźwięczne brzmienie metalu osnuło okręt wibrującymi kręgami, które odpływały hen, w bezmiar nocy i w pustynność morza... Kapitan znał tych ludzi na wylot. I jak jeszcze! Przez długie lata. I lepszego pokroju. Ludzi na schwał, gotowych stanąć mężnie u boku. Czasem gorszych niż diabli — po prostu diabły rogate. Ba! Ci tutaj — to nic. Chybiecie o cal warte chybiecie o milę... Zmiana u rudla odbyła się jak zazwyczaj.

— Równy chód i bacność! — odnośnie zawołał odchodzący sternik.

— Równy chód i bacność! — powtórzył jego następcę, ujmując koło.

— Ten wiatr przeciwny to moje utrapienie — w nagłym porywie gniewu krzyknął kapitan, tupiąc nogą — Przeciwny wiatr! Reszta to głupstwo.

Lecz natychmiast opanował się i uspokoił:

— Przez tę noc trzymać załogę w ruchu, proszę panów. Dać im uczuć, że bynajmniej nie straciliśmy kontenansu, rozumiecie. I spokojnie! Żadnych awantur, panie Creighton. Jutro przemówię do nich po ojcowsku. Banda kiepskich fuszerów! Tak, fuszerów! Żeglarzy wśród nich, którzy by cośkolwiek byli warci, mógłbym policzyć na palcach jednej ręki. Pracować im się nie chce, wolą brykać — oczywiście.

Tu zrobił przestanek.

— Panie Baker, pan pewno myśli, że dostałem bzika, co?

Postukał się w czoło, roześmiał i, nie czekając odpowiedzi, mówił dalej:

— Kiedyś go zobaczyłem stojącego przede mną — martwy był prawie i taki przerażony — czarny wśród stada tych gapiów — bezsilny wobec tego, co nas wszystkich czeka — wiedziałem od razu, co powiedzieć, zanim jeszcze zdążyłem zebrać myśli. Żał mi go — tak samo byłoby mi żał chorego zwierzęcia. Trudno wyobrazić sobie stworzenie do tego stopnia lękające się śmierci! Pomyślałem: trzeba, żeby sobie spokojnie dobrnął do końca. Coś pchnęło mnie do tego. Ani mi przez myśl nie przemknęło, że ci głupcy... Hm! A teraz będę przy tym obstawał — oczywiście.

Wetknął żelazny klocek do kieszeni, jakby wstydząc się samego siebie, i rzekł ostro:

— Gdy zobaczycie, że Podmore wyprawia swoje sztuki, powiedzcie mu, że każe go pod pompę... Szkoda, że tego nie zrobił wcześniej. Od czasu do czasu ma takie zaćmienia. Dobry kucharz poza tym.

Szybkimi krokami skierował się ku zejściu. Obaj oficerowie powiedli za nim w świetle gwiazd zdumionym wzrokiem. Na czwartym stopniu przystanął i, zmieniawszy ton, rzekł z głową tuż nad pokładem:

— Dziś w nocy będę czuwał, na wszelki wypadek. Zawołajcie mnie, gdyby co... Czy widział pan oczy tego chorego Murzyna, panie Baker? Zdawało mi się, że mnie o coś błaga. O co? Daremna wszelka pomoc. Ten czarny nieborak taki opuszczony, samotny wśród nas i patrzył na mnie, jakby już jedną nogą był w piekle. No a ten nędzny Podmore! Niechże biedak umiera w spokoju. Ostatecznie ja tu wydaję rozkazy. Moje słowo jest wolą. A zatem niech tak będzie. Dajmy mu spokój. I on może był kiedyś kawałkiem człowieka... Czuwajcie pilnie.

To powiedziawszy, kapitan znikł w zejściu, a jego podwładni stali, spoglądając jeden na drugiego z większym zdumieniem, niż gdyby ujrzeli nagle statwę kamienną, która ocieka żywymi łzami, bolejąc nad niepewnością życia i śmierci...

W niebieskawej mgłę, powstałej ze spiralnych włókien dymu sterczących z fajek, kasztel zdawał się być rozległą halą. Pod powałą, między belkami, dym zgęstniał w chmurę; lampy, okolone aureolami, tliły się jak dwa martwe, bezpromienne ogniki w otoczech z szkarłatnego żaru. Ludzie w pozycjach niedbałych porozwalali się na podłodze, lub stali, zgiąwszy jedno kolano, przyparci ramieniem do ściany. Poruszały się usta, błyskały oczy, gestykulujące ręce żłobiły wiry w dymie. Wrzawa głosów piętrzyła się, rosnąc wyżej i wyżej, jak gdyby wąskość drzwi tamowała jej szybki odpływ. Ludzie z dolnej warty, w koszulach, migali długimi, białymi nogami, podobni bredzącym lunatykom; od czasu do czasu ktoś z dyżurujących na pokładzie wpadał na chwilę — odbijając rażąco swym całkowitym przyodzianiem — posłuchał, co mówią, rzucił w ten harmider własne jakieś zdanie i wybiegał z powrotem; niektórzy wszakże trzymali się blisko drzwi, jak przykuci, z uchem zwróconym w stronę pokładu.

— Bądźmy za jedno, chłopcy — ryczał Davies, Belfast usiłował przekrzyknąć wrzawę. Oszołomiony Knowles szczyrzył zęby w uśmiechu. Jakiś przysadkowaty marynarz z gęstą brodą wrzeszczał raz po raz — „Kto się boi? Kto się boi?” Inny majtek o rozognionych oczach wstał raptem, wyzionął potok klątw bez związku, po czym siadł najspokojniej. Dwaj uczestnicy poufalego jakiegoś sporu trącali się nawzajem w pierś, wbijając jeden drugiemu swoje rozumowania. Trzej inni, zetknięci głowami, zwierali się sobie jednocześnie i na cały głos. W tym burzliwym chaosie niektóre zrozumialsze urywki wypryskiwały na wierzch i wpadały w ucho. Słyszać było:

- Na ostatnim okręcie...
- Co to kogo obchodzi? Spróbuj na którym z nas, czy...
- Zgnieść pod obcasami...
- Powiada sam, że zdrow...
- Zawsze myślałem...
- Wszystko jedno...

Donkin, skulony pod bukszprytem, z szyją wtuloną w kabłąkowate plecy, ze zwieszonym jak dziób nosem, podobny był do schorzałego sępa o starganym upierzeniu. Belfast z rozkraczonymi nogami, z zaczerwienioną od wycia twarzą i z wyciągniętymi w poprzek ramionami, wyglądał niby krzyż maltański. Dwaj Skandynawowie przycupnęli w kątku, oszołomieni i zestrachani, jak wobec przewrotowego kataklizmu. A poza obrębem światła stał w dymie Singleton, posągowy, głową dotykający belek sufitu, jakoby jakaś statua o bohaterskich rozmiarach, zarysowująca się w mroku krypty. Postąpił naprzód, obojętny i potężny. Gwar ustał, jak załamująca się fala. Tylko Belfast, podnosząc ręce, zawołał raz jeszcze:

— Mówię wam, że ten człowiek umiera!

Rzekłszy to, siadł na pokrywie luki i zakrył twarz rękoma. Teraz przedmiotem wszystkich spojrzeń stał się Singleton. Patrzano nań z podłogi, wyczierano z ciemnych kątów, z ciekawością obracano ku niemu głowy. Przycichli w oczekiwaniu, jak gdyby ten starzec, nie patrzący na nikogo, posiadał tajemnicę ich niepokojów, oburzeń i pragnień — sekret bystrzejszego na rzecz poglądu, czystszej wiedzy. Jakoż, stojąc tak pośród nich, miał obojętny wygląd człowieka, który znał mnóstwo okrętów, przysłuchiwał się po wielokroć podobnemu rozpętaniu głosów i widział już wszystko, co może się wydarzyć na dalekich morzach. Usłyszeli gruchot głosu w szerokiej jego piersi, jak gdyby słowa toczyły się ku

nim szlakiem twardej przeszłości.

— Jak zamierzacie postąpić?

Nikt nie odpowiedział. Jeden Knowles tylko odmruknął:

— Hm, to jest...

I któryś inny dorzucił po cichu:

— To jest haniebną rzecz.

Singleton przeczekał chwilę i rzekł powoli ze wzgardliwym gestem:

— Wielu z was jeszcze nie było na świecie, gdy brałem udział w buntach okrętowych — czy było o co, czy też nie było — ale nigdy z takiego powodu.

— Mówię wam, że ten człowiek dogorywa — powtórzył żałośnie Belfast, siedząc u nóg Singletona.

— A to jeszcze Murzyn w dodatku — ciągnął sędziwy żeglarz — Widywałem ich padających jak muchy...

Urwał i zadumał się, jak gdyby wywołując straszne wspomnienia, okropne szczegóły, hekatombę murzyńskie. Wlepiano w niego oczy. Był dość stary na to, ażeby pamiętać handlarzy niewolników, krwawe rzezie, a bodajże i korsarzy; kto wie, z jakimi przerażającymi gwałtami i okropnościami zdarzyło mu się ongi zetknąć! Co też on powie? Rzekł:

— Nie możecie mu nic poradzić: musi umrzeć.

Znowu przerwał. Ruszał brodą i wąsami. Meł słowa, mrucał pod siwym, rozwichrzonym zarostem, niezrozumiały i niepokojący, jak wyrocznia za zasłoną...

— ...zostać na łądzie — chory. — Zamiast tego — sprowadził te przeciwne wiatry. Boi się. Morze chce wziąć swoją daninę. — Umrze niedaleko od brzegu. Zawsze tak. Oni to wiedzą — długi kurs — więcej dni, więcej dolarów... Siedźcie cicho. O co wam chodzi? Nie możecie mu nic pomóc...

Wyglądał, jakby się budził ze snu.

— Wy i sami sobie nie umiecie radzić — rzekł surowo. — Kapitan nie jest głupcem. Ma on coś na myśli. Strzeżcie się — słyszycie! Ja ich znam!

Wpatrzony przed siebie, jał obracać głowę to w prawo, to w lewo, jak gdyby lustrował długi szereg przebiegłych szyprów.

— Powiedział, że mi łeb rozwali! — krzyknął Donkin rozdzierającym głosem.

Singleton spojrział w dół kłopotliwie i uważnie, jakby się go próżno doszukiwał.

— Niechże cię diabli! — mruknął, dając za wygraną.

Promieniowała z niego mądrość niewypowiedziana, twarda obojętność i chłodne tchnienie rezygnacji. Otaczający go słuchacze poczuli wielką ulgę w swym rozczarowaniu; przeciągali się i wałęsali niedbale, milcząc jak ludzie, którzy zdają sobie dokładnie sprawę z nieodwołalnego biegu życia. A Singleton, nieświadom swej głębokiej mądrości, machnął ręką i bez słowa oddalił się na pokład.

Belfast zatopił się w okrągłookiej zadumie. Ten i ów dźwignął się na górny tapczan i, ległszy, westchnął głęboko; niektórzy zanurzali się szybko w głąb niższych koj głową naprzód i odwracali się natychmiast, jak zwierzęta wchodzące do legowisk. Słychać było zgrzyt ostrza o wypaloną glinę. Knowles przestał szczerzyć zęby. Davies rzekł z najwyższym przekonaniem:

— A więc nasz kapitan to łajdak.

— Ręczę, że jeszcze coś o tym usłyszymy — bąknął Archie.

Rozległy się cztery uderzenia dzwonu.

— Pół warty w łóżku przepadło! — krzyknął Knowles przerażonym głosem. Ale zaraz się zreflektował, pocieszając — No, i dwie godziny snu zawsze coś warte dla strudzonego człowieka.

Niektórzy udawali już, że śpią. Charley wymamrotał coś przez sen arbitralnym tonem.

— Ten przeklęty chłopak ma robaki — zauważył pouczająco Knowles spod koldry.

Belfast wstał i zbliżył się do koi Archiego.

— Wyratowaliśmy go — szepnął smętnie.

— Kogo? Co? — zagadnął ów, niezadowolony i senny.

— A teraz musimy go wrzucić do morza — ciągnął Belfast drżącymi wargami.

— Co wrzucić? — spytał Archie.

— Biedaka Jimmy'ego — westchnął Belfast.

— Niech go cholera — rzekł Archie z udaną brutalnością i siadł w swej kojce:

— Wszystko to przez niego. Gdyby nie ja, byłoby na tym okręcie morderstwo.

— Przecież on temu nie winien, prawda? — rzekł Belfast półgłosem — Kiedy kładłem go do łóżka, nie był cięższy od pustej baryłki po mięsie — dodał ze łzami w oczach.

Archie spojrział nań spokojnie i z determinacją odwrócił się nosem do ściany. Belfast jął błąkać się po ciemnej izbie, aż potknął się o Donkina. Przez chwilę przypatrywał mu się z góry.

— Dlaczego nie kładziesz się spać? — rzekł. Donkin spojrział nań z podłogi i beznaściejnie zaszeptał:

— Ten niegodziwiec Szkot, ten psi syn kopnął mnie!

— I dobrze zrobił — rzekł Belfast, ciągle jeszcze strapiiony — Ty, kochanku, byłeś diabelnie bliźniutko stryczka dzisiejszej nocy. A z moim Jimmym ty swoich zabójczych kawałów zaprzestań! Nie przyłożyłeś ręki do jego wydobycia. To sobie zapamiętaj. Bo jeżeli ja wezmę się do ciebie łać — tu cokolwiek się rozchmurzył — jeżeli ja wezmę się do ciebie, to już ja ci policzę kosteczki po amerykańsku!

Stuknął go z lekka knykciami w pochyloną głowę.

— To sobie zakonotuj, mój chłopcze — kończył wesoło.

Donkin nie stawiał oporu.

— Czy mnie nie wyspiclują aby? — spytał trwożliwie.

— Kto — szpicluje? — syknął Belfast i przysunął się o krok — Zaraz jabym tu poszpiclował na twoim pysku, gdyby mi nie było pilno zajrzeć do Jimmy'ego! Za co nas masz?

Donkin wstał i patrzył za Belfastem, wymykającym się przez wąskie drzwi kasztele. Dookoła słychać było miarowe oddechy śpiących. W tym zaciszu Donkin zdawał się znów nabierać odwagi i wściekłości. Z jadowitym wyrazem na chudej twarzy stał w obszernym, pożyczonym odzieniu i wodził wściekłym wzrokiem, jakby wypatrując, co by tu zdruzgotać. W wąskiej piersi galopowało mu serce. Śpią! Chwytała go żądza, aby poprzetrzącać im karki, powydłubywać im oczy, napluć w twarz. Potrząsał parą brudnych, chudych pięści w kierunku kopających lamp.

— Tacy to z was mężczyźni! — wybuchnął zduszonym krzykiem.

Nikt się nie poruszył.

— Tyle w was męstwa, co i w myszy!

Podniósł głos do chrapliwego skrzeczenia. Wamibo wytknął rozczochrany łeb i spojrział dziko.

— Jesteście śmieciem okrętowym. Spodziewam się, że wszyscy zejdziecie na psy, zanim pozdychacie.

Wamibo mrugał powiekami z zainteresowaniem, nie rozumiejąc o co chodzi. Donkin usiadł bezwładnie na ziemi; gorączkowym oddechem latały mu nozdrza, kłapał i zgrzytał zębami i z wciśniętym w pierś podbródkiem wyglądał, jak gdyby chciał wgryźć się we własne wnętrzności i dokąsać aż do serca...

Nazajutrz rano okręt, zaczynając nowy dzień swego tułactwa, przyoblókl się w glorię świeżości, która przypominała wiosnę ładową. Poszorowane deski pokładu lśniły długimi, czystymi pasami; wczesne promienie słońca igrały olśniewająco na mosiądzu okuć, połyskiwały na sztangach złotymi liniami, a drobne cząsteczki słonej wody, zapomniane tu i owdzie na burcie, świeciły przezroczo jak krople rosy, połyskując migotliwiej od rozsypanych brylantów. Żagle spały, kołysane lekkim powiewem. Wstępujący na błękitny nieba samotny majestat słońca ujrzał równie samotny okręt, sunący po lazurowym morzu.

Załoga ustawiła się trzema rzędami obok głównego masztu, na wprost drzwi do kajuty kapitana. Ludzie przestępowali z nogi na nogę, popychali się i mieli niezdecydowane, ogłupiałe miny. Za lada ruchem szeregu Knowles utykał ciężko na swoją krótką nogę. Donkin przesmykiwał się na tyłach, niespokojny, jak gdyby węszył jakąś zasadzkę. Wtem nadszedł kapitan Allistoun. Przemaszerał raz i drugi wzdłuż frontu, siwiejący, drobny, zwinny, w ubraniu wytartym, co znać było przy świetle dnia, i twardy, jak diament. Trzymał prawą rękę w bocznej kieszeni kurtki, a w niej jakiś ciężki przedmiot, fałdujący połę. Ktoś w szeregu odchrząknął znacząco.

— Aż do tej chwili nie miałem względem was, moi ludzie, najmniejszego zarzutu — przemówił kapitan i zamilkł. Ogarnął ich zmęczonym, stalowym spojrzeniem, które, na mocy powszechnie wiadomej gry optycznej, choć zwrócone do tych dwudziestu par oczu zbiorowo, patrzyło wprost w każdą oddzielną parę. Z tyłu za nim pan Baker, nachmurzony, byczo-karczysty, głucho pochrząkiwał. Pan Creighton, wyświeżony, rumiany, stał w zdecydowanej gotowości.

— I teraz nie robię wam zarzutu — podjął kapitan — Lecz jestem kierownikiem tego statku i mam powinność czuwać nad sprawowaniem się załogi, od pierwszego majtka do ostatniego. Gdybyście znali swój obowiązek tak, jak ja swój, nie byłoby żadnych nieporozumień. Ryczełicie w nocy, iż coś tam jakoby macie „jutro zobaczyć”. Doskonale. Teraz mnie widzicie, jestem. Czego żądacie?

Czekał, chodził szybko tam i z powrotem, rzucając na nich badawcze spojrzenia.

Otóż to: czego oni mają chcieć? Przeszłi się z nogi na nogę, kiwali się w tył i naprzód; niektórzy, zesunawszy czapki, drapali się za uchem. Czegóż to chcieli? O Jimmym zapomniano, nikt o nim nie myślał, podczas gdy on, samotny w swej kajucie, walczył ze strasznymi cieniami, czepiał się beczelnych kłamstw, chichotał boleśnie nad swymi zawodami. Tak, Jimmy był zapomniany bardziej niż gdyby był umarł. Im chodziło o rzeczy wielkie. I spostrzegli naraz, że to wszystko, co chcieli prostymi wyrazić słowami, zaprzepaściło się gdzieś w bezmiarze ich niewyraźnych, gorących pragnień. Wiedzieli, czego im trzeba, ale nie mogli znaleźć wyrazów, które by warto było wypowiedzieć. Tłoczyli się w miejscu, gibocząc muskularnymi ramionami, u których zwieszały się zasmolone ręce o zakrzywionych palcach. Szept uchł.

— O cóż tedy chodzi? O wikt? — spytał kapitan: Przecież wiecie, że prowizja zepsuła się jeszcze na Przylądku.

— O tym my wiemy — rzekł jakiś brodac w pierwszym szeregu.

— Praca za ciężka — hę? Ponad wasze siły? — znów spytał. W odpowiedzi nastąpiło urażone milczenie.

— Wolelibyśmy nie pracować przy zmniejszeniu rąk roboczych — rzekł wreszcie Davies niepewnym głosem — a ten Murzyn...

— Dosyć! — krzyknął kapitan. Mierzył ich przez chwilę oczyma, stąpnął kilka kroków tam i na powrót i zaczął miotać w nich zimne, ucinkowe zdania, siekące jak lodowaty wicher mórz które znał w swej młodości.

— Powiedzieć wam prawdę? Oto zadzieracie nosa wyżej uszu. Myślicie, żeście diabelnie dużo warci. Na robocie waszej znacie się po łebkach. Obowiązek spełniacie, aby zbyć. Gdybyście pracowali dziesięć razy więcej, i tego byłoby nie dosyć.

— Robiliśmy co można, panie — zawołał ktoś drżącym, rozdrażnionym głosem.

— Co można! — piorunował dalej kapitan — Słuchaliście bajd, które wam plotą na łądzie, nieprawdaż? Ale te bajdy nie powiedziały wam, że tym, co potraficie, lepiej się nie chwalić. Oświadczam wam, że źle pracujecie. Nie jesteście zdolni do czegoś więcej? Wiem o tym i nic nie mówię. Ale dosyć już tych wybryków, bo inaczej ja sam im kres położę. Jestem na to przygotowany. Dosyć tego!

Pogroził tłumowi palcem.

— A co zaś do tamtego człowieka — podniósł głos do najwyższego tonu — co zaś do tamtego człowieka, to jeśli wylezie mi na pokład bez mojej wiedzy, każę go okuć i sprawa skończona.

Kucharz, usłyszawszy ten podniesiony głos, wybiegł z kuchni, podniósł ramiona ze zgrozą, zdumieniem i niedowierzaniem, i zaraz się schował. Nastąpiła chwila głębokiego milczenia, podczas której jakiś krzywonogi majtek odszedł na stronę i splunął przyzwoicie w korytko odpływowe, w tzw. szpejgat.

— Ale jest coś innego — rzekł spokojnie kapitan. To mówiąc, zrobił szybki ruch, sięgnął do kieszeni i wydobyl nagle żelazny balas — To!

Ten ruch był tak niespodziewany, że cała załoga zachnęła się w tył. Kapitan wodził przesywającym wzrokiem po twarzach: na niektórych pojawił się wyraz zdumienia, jak gdyby nigdy żelaznego kolka nie widzieli. Trzymał go wysoko nad głową. — To jest moja rzecz. Nie indaguję was o to, ale wszyscy o tym wiecie; niech to wróci tam, skąd przyszło.

W oczach błysnął mu gniew. Ludzie poruszali się z zakłopotaniem, odwracali oczy od tego kawałka żelaza, byli zmieszani, zalęknieni, oburzeni, jak na widok czegoś strasz-

nego i skandalicznie zdroźnego, co nie powinno było wychodzić na jaw przy świetle dnia, zakłócając ogólnie przyjętą zasadę obyczajności. Kapitan wpatrywał się w nich uważnie.

— Donkin! — zawołał krótko i ostro.

Donkin przycupnął za jednym, potem za drugim towarzyszem, ale ci, obejrzawszy się przez ramię, odstąpili na bok. Szeregi otwierały się przed nim i zwierały za nim, tak że nareszcie stanął odosobniony przed zwierzchnikiem, jak gdyby wynurzył się spod pokładu. Kapitan zatrzymał się tuż przed nim. Byli prawie jednego wzrostu. Stali oko w oko; kapitan utkwiał nieubłagany wzrok w paciorkowatych ślepkach, które jęły biegać niespokojnie.

— Czy znasz to? — spytał kapitan.

— Nie, nie znam — odrzekł tamten ze struchlałą czelnością.

— Jesteś kundel. Weź to — rzekł rozkazująco kapitan.

Zdawało się, że ręce Donkina przylepiły się do ud; stał wyciągnięty jak na paradzie, z oczyma w ślup.

— Weź to! — powtórzył kapitan, przysuwając się bliżej; czuli nawzajem swoje oddechy.

— Weź to! — rzekł znowu kapitan z groźnym gestem.

Donkin oderwał rękę od boku.

— Czego się pan mnie czepia? — wymiamał niewyraźnie, jak gdyby miał gębę zatkaną ciastem.

— Jeżeli nie weźmiesz... — zaczął kapitan. Donkin schwycił nagel, jak gdyby chciał z nim uciec, i stał przygwożdżony do miejsca, trzymając żelazny kołek, jak świecę.

— Wetknij go tam, skąd go wyjąłeś — rzekł kapitan Allistoun, patrząc mu srogo w twarz.

Donkin cofnął się krokiem w tył, robiąc wielkie oczy.

— Ruszaj, ty łotrze, bo cię pognam! — krzyknął kapitan, nacierając groźnie i zmuszając go do cofania się. Donkin skulił się, wznosząc nad głowę kołek, jak gdyby osłone od grożącej mu pięści.

Pan Baker przestał na chwilę chrząkać.

— Dobrze! Do pioruna! — mruknął pan Creighton pochwalnym tonem znawcy.

— Proszę mnie nie dotykać — warczał Donkin, cofając się.

— To ruszaj! Prędzaj!

— Proszę mnie nie bić!... Ja pana zaskarżę przed sądem... Ja pokażę panu...

Kapitan Allistoun posunął się o krok; Donkin odwrócił się, przebiegł kilka kroków, stanął i z poza ramienia wyszczerzył spróchniałe zęby.

— Dalej, tam — otakelunek przedniego masztu! — naglił kapitan, wskazując ręką.

— Stoicie tu i gapicie się, jak maltretują towarzysza — zajazgotał Donkin, zwracając się do załogi, która przypatrywała się w milczeniu. Kapitan Allistoun natarł żwawo. Donkin uskokzył znów, podbiegł ku wieżbie linowej fokmasztu i, wściekając się ze złości, osadził nagel w odpowiednim wydrążeniu.

— My się jeszcze porachujemy — wrzasnął na cały okręt i znikł po tamtej stronie fok-masztu.

Kapitan Allistoun wykręcił się na pięcie i odszedł obojętnie w kierunku rufy, jak gdyby już zapomniał o całym zajściu. Ustępowano mu z drogi. Nie patrzył na nikogo.

— Rzecz załatwiona, panie Baker. Każ pan ludziom odstąpić — rzekł spokojnie. — A wy, chłopcy, starajcie się nadal zachowywać uczciwie — dorzucił równym głosem. Zamyślonymi oczyma odprowadzał przez chwilę skonfundowaną, rozchodzącą się załogę.

— Stewart, śniadanie! — zawołał z ulgą przez drzwi kajuty.

— Nie podobało mi się to — hm! — gdy pan oddawał nagel temu drabowi — zauważył pan Baker — toż on byłby mógł panu — hm! — roztluc głowę jak skorupę jajka.

— On? Co znowu? — odmruknął szyper, jakby myśląc o czym innym — Ciekawa banda — rzucił półgłosem: Myślę, że już się tam uspokoiło. Chociaż dziś nigdy nie wiadomo z takimi... Raz przed laty, byłem wtedy początkującym kapitanem — w czasie podróży do Chin miałem bunt, prawdziwy bunt panie Baker. I ludzi miałem nie takich, jak ci. Wiedziałem, do czego zmierzają; chcieli napocząć ładunek i dostać się do lekarów. Po prostu... Ganiałiśmy ich przez dwa dni, a kiedy już mieli dosyć, spokornieli jak

baranki. Dobra załoga. I odbyłem przejażdżkę aż miło.

Spojrzał w górę ku rejom, zanadto przyciągniętym brasami.

— Dzień za dniem wiatr naprzeciw — zawołał gorzko — Czy już nigdy nie powieje z boku, jak należy?

— Gotowe, proszę pana — oznajmił steward, pojawiając się wśród nich jak czarodziej, z poplamioną serwetą w ręku.

— A doskonale. Chodź pan, panie Baker. — Te głupstwa zabrały nam dużo czasu — późno już.

V

Ciężka atmosfera przygniatającego spokoju zawisała nad okrętem. Po południu majtkowie zabrali się do prania odzieży i rozwieszali ją, gwoli wyschnięciu, w powiewie przeciwnego wiatru, krzątając się powoli z zadumą rozczarowanych filozofów. Nie chciało się im rozmawiać. Zagadnienie życia nie mieściło się snąć w wąskich granicach ludzkiej mowy i za wspólną zgodą pozostawiono je do rozwiązania niezmiernemu morzu, które od samego początku ogarnęło je ogromem swego uchwytu; temu morzu, które wie wszystko i — gdy czas nadejdzie — odsłoni przed każdym mądrość skrytą we wszystkich pomyłkach, pewność czającą się w zwątpieniach, krainę bezpieczeństwa i spokoju za granicami smutku i trwogi. Z mętnego potoku bezpłodnych myśli, płynących bezustannie przez ich dusze, wylaniał się Jimmy, przykuwając uwagę jak czarna pława, przytwierdzona do dna błotnistej strumienia. Fałsz triumfował. Odnosił zwycięstwo nad powątpiewaniem, głupotą, litością i sentymentalizmem. Umacnialiśmy go sami przez nasze współczucie, przez lekomyślną bez troskę i pociąg do zabawy. Uporczywość, z jaką Jimmy trwał w nieszczerym stosunku do nieuniknionej prawdy, stanowiła jak gdyby olbrzymią jakąś zagadkę, przejaw czegoś wielkiego i niezrozumiałego, co przejmowało chwilami podziwem i zgrozą; dla niektórych zaś było coś niezmiernie zabawnego w tym bałamuceniu Jimmy'ego zgodnie z jego własną wolą. Egoizm, utajony w czułości dla chorego, wyjrzał poprzez wzmagającą się trwożną niechęć, żeby nie patrzeć na jego konanie. Upór Jimmy'ego, nie uznający tej jedynej pewności, która dzień po dniu najwidoczniej się zbliżała, wytrącał nas z równowagi, jak coś przeciwnego naturze. Jego ocena własnego stanu tak dalece odbiegała od rzeczywistości, że można go było podejrzewać o dostęp do źródeł jakiejś nadnaturalnej wiedzy. Głupota jego sięgała natchnienia. Był wyjątkowy i działał na nas jakimś nadludzkim czarem; zdawało się, że krzyk jego sprzeciwu biegnie ku nam już zza tamtej, straszliwej granicy. Odcielesnił się, jak widmo; kości policzkowe wystawały mu coraz bardziej, czoło się cofnęło; cała twarz była pokryta wklęsłymi plamami cienia; głowa, pozbawiona ciała, podobna była do odkopanej, czarnej czaszki, w której oczodołach osadzono dwie ruchome, srebrne kule. Demoralizował nas. Staliśmy się przez niego wysoce humanitarnymi, czułymi, skomplikowanymi dekadentami; odczuwaliśmy subtelność jego lęków, rozumieliśmy wszystkie jego wstręty, wzdrygnięcia się, wybiegi, kręctwa i ułudy — jak gdybyśmy byli przycywilizowanymi, strupieszalymi schyłkowcami, pozbawionymi istotnej wiedzy życia. Mieliśmy pozór ludzi wtajemniczonych w jakieś haniebne misteria; zamienialiśmy ze sobą konspiracyjne, tajemne znaki, spojrzenia porozumiewawcze, znaczące półsłówka. Byliśmy niewymownie podli i nadzwyczaj z siebie zadowoleni. Łgaliśmy przed nim poważni, wzruszeni, uroczyści, jak gdyby sprawując jakiś obrządek moralny, za który mieliśmy otrzymać wieczną nagrodę. Stanowiliśmy chór, potakujący jego najdzikszym twierdzeniom, tak jak gdyby był milionerem, działaczem politycznym lub reformatorem — a my ciżbą ambitnych matolek. Gdy ośmielaliśmy się poddawać dyskusji jego twierdzenia, czyniliśmy to na sposób płaszczących się pochlebców, tak, aby różniąc się w zdaniu, uwydatnić, że on ma słuszność, i zwiększyć jego sławę. Nadawał moralny ton naszemu światkowi, jak gdyby posiadał moc rozdawania zaszczytów, skarbów lub udręczeń; a nie miał do rozdania nic, prócz pogardy. Była ona niezmierna; zdawało się, że przybywa jej coraz więcej, w miarę ubytku jego ciała, które dzień za dniem nikło w oczach. Ta pogarda — była to jedyna rzecz w nim — naokoło niego — sprawiająca wrażenie trwałości i siły. Żyła w nim niegasnącym życiem; przemawiała z jego czarnych, zawsze wydętych warg; wyzierała niesłychanie impertynencko z wielkich oczu, które wylupiał ku nam na kształt gałek ocznych kraba. Wpatrywaliśmy

się w nie z natężeniem. Nic więcej w nim się nie poruszało. Wykonywał niechętnie jakikolwiek ruch, jakby nie dowierając swej konsystencji cielesnej. Najłżejszy gest objawiał mu snąc (i nie mogło być inaczej) upadek ciała i przeobrażał się w dojmującą duchową udrękę. Oszczędzał poruszeń. Leżał wyprostowany, z podbródkiem na koldrze, w pewnego rodzaju chytrze obmyślonym, ostrożnym bezruchu. Tylko oczy jego błąkały się po naszych twarzach; te oczy pełne wzgardy, przenikliwe i smutne.

W tym właśnie czasie poświęcający się dlań — i zarazem wojowniczy — Belfast zdobył sobie ogólny szacunek. Każdą swobodną chwilę, których nie miał nadto, przepędzał w kajucie Jimmy'ego. Pielęgnował go, bawił rozmową; był łagodny jak kobieta, tkliwie rozweselający jak stary filantrop, serdecznie dbały o swego Murzyna jak idealny władca niewolników. Ale poza kajutą był skłonny do irytacji, zapalny jak proch, zasępioń, podejrzliwy, i tym brutalniejszy, im więcej był stroskany. Miał na pogotowiu łzę lub kułak; łzę dla Jimmy'ego, kułak dla każdego, kto niezbyt prawowiernie przyznawał słuszność Jimmy'emu. O niczym innym nie było wśród nas mowy. Nawet dwaj Skandynawowie rozważali ten wypadek — chociaż nie wiadomo w jakim duchu, ponieważ toczyli spór w swojej rodowitej mowie. Belfast posądzał jednego z nich o brak uszanowania i wskutek tej niepewności w wyborze postanowił zwalczać obu. Tak ich okropnie zastraszył, że odtąd żyli pośród nas w odosobnieniu, jak para niemych. Wamibo nie wyrażał się językiem zrozumiałym, lecz ponieważ nigdy się nie uśmiechał — tak jak zwierzę — i zdawał się rozumieć z tego wszystkiego mniej od kota — w rezultacie wyszedł z tej sprawy cało. Zresztą należał przecież do wybrańców, którzy uratowali Jimmy'ego, i podejrzania nie mogły go się czepiać. Archie, który był w ogóle milczący, siedział często u Jimmy'ego godzinę albo i więcej, rozmawiając z nim spokojnie tonem jakoby właściciela. Nie było chwili w dzień, a nieraz i w nocy, ażeby ktokolwiek nie siedział w klitce Jimmy'ego. Wieczorem, od szóstej do ósmej, kajuta była przepelniona, a koło drzwi tłoczyła się jeszcze gromadka ciekawych. Każdy wpatrywał się w Murzyna.

A on wygrzewał się w ciepłe naszych zabiegów. Oczy połyskiwały mu ironicznie, gdy słabym głosem zarzucał nam tchórzostwo. — „Gdybyście byli — mawiał — mocno przy mnie stali, dziś chodziłbym był po pokładzie”. Zawieszaliśmy głowy. — „Tak, ale jeżeli przypuszczacie, że dam im się okuć dla waszej przyjemności... Otóż nie... To leżenie zabójcze jest dla mojego zdrowia. Ale wam to wszystko jedno”.

Czuliśmy się zawstydzeni, jak gdyby to była prawda. Ten jego wzgardliwy bezwstyd górował nad wszystkim. Nie mieliśmy odwagi oponować. I w gruncie rzeczy nie chcieliśmy. Jednego tylko pragnęliśmy: niechby żył do powrotu na ląd — do końca podróży.

Singleton, jak zazwyczaj, trzymał się z dala; zdawał się traktować z pogardą drobne wydarzenia przekreślonego życia. Raz tylko jeden przyszedł niespodzianie i stanął we drzwiach. Z głębokim milczeniem przypatrywał się Jimmy'emu, jakby chcąc wcielić jego czarny wizerunek do tłumy widm zaludniających jego pamięć. Zapanowało głębokie milczenie. Singleton stał tak przez długą chwilę: zdawało się, że przyszedł do któregoś z nas z określonym żądaniem, albo że chce zbadać ważny jakiś fakt. Dzems Wait leżał zupełnie bez ruchu i, na pozór, nie dostrzegł tego wpatzonego weń uporczywie, badawczego i wyczekującego wzroku. Czuć było walkę w powietrzu. Siedzieliśmy w napięciu widzów, gdy się zanosil na bójkę. W końcu Jimmy, z widoczną obawą, odwrócił głowę na poduszce.

— Dobry wieczór — rzekł pojednawczo.

— Hm — odmruknął stary marynarz. Chwilę jeszcze mierzył Jimmy'ego surowym wzrokiem, po czym odszedł szybko. Sporo czasu upłynęło, nim ktokolwiek przemówił, chociaż po jego odejściu zaraz odetchnęliśmy swobodniej, jak się oddycha po niebezpieczeństwie, którego się uniknęło. Pogląd starca na sprawę Jimmy'ego był nam wszystkim wiadomy i nikt nie śmiał go zwalczać. Nie godził się z naszym, sprawiał nam przykrość i, co gorsza, mógł być, pomimo wszystko, prawdziwy. Raz tylko Singleton raczył wytłumaczyć nam, co o tym myśli; uczyniło to na nas trwale wrażenie. Powiedział, że to Jimmy był powodem przeciwnego wiatru. Ludzie śmiertelnie chorzy — mówił — kwękaają i wloką żywot swój dotąd, póki im z daleka nie zamajaczeje ląd; wtedy umierają. Jimmy wie, że ląd wyciągnie zeń resztki życia. Tak jest na każdym okręcie. Czyż o tym nie wiemy? zapytywał nas z pogardliwą szorstkością: więc cóż my wiemy? Jakież wątpliwości jeszcze nas dręczą? Pragnienie Jimmy'ego, podsycane przez nas i wspomagane

przez czarnoksiężskie praktyki Wamibo (przecież to Fin — nieprawdaż? No więc!) oto co zatrzymało okręt tak długo na pełnym morzu. Trzeba być patentowanym durniem, żeby tego nie widzieć. Albo cisza, albo wiatr przeciwny, i tak na przemian: słyszane to rzeczy? W tym jest coś niesamowitego...

Nie mogliśmy zaprzeczyć, że to było dziwne. Czuliśmy się jakoś nieswojo. Utarta pogadka „im dłużej tym lepiej, bo więcej dolarów” nie pocieszała nas jak zwykle, gdyż zapasy były na wyczerpaniu. Dużo ich zepsuło się, gdy mijaliśmy Przylądek, a teraz byliśmy na połowie racji sucharów. Groch, cukier i herbata skończyły się już dawno. Peklowiny było już bardzo mało. Kawy mieliśmy dużo, ale brakło wody do jej gotowania. Przyciesnialiśmy pasów na brzuchu i dalejze skrobać, polerować i malować okręt od rana do wieczora. Wkrótce wyglądał jak prosto z igły; ale głód się na nim rozpanoszył. Nie była to śmierć głodowa, ale stałe przymieranie głodem; głód snuł się po deskach pokładu i spał w izbie kasztelu; dręczył nas we śnie i na jawie. Spoglądaliśmy w dal, wyczekując zmiany wiatru. Co kilka godzin we dnie i w nocy wykonywaliśmy zwrot, ufając, że okręt pójdzie w końcu tym lub owym halsem. Ale nie chciał; zdawało się, że zapomniał drogi powrotnej. Kołował bez planu, zwracał się to na północno-zachód, to na wschód, biegł naprzód i cofał się, podobny do wystraszonego stworzenia u stóp muru. Co pewien czas, jakby w śmiertelnym znużeniu, spoczywał przez cały dzień na miękkim i gładkim łożu fal. Na rozwahanych masztach łopotąły żagle jak wściekle pośród upalnej, martwej ciszy. Byliśmy zmęczeni, głodni, spragnieni; zaczęliśmy wierzyć zapewnieniom Singletona, lecz wierni niezachwianie Jimmy'emu udawaliśmy przed nim w dalszym ciągu. W rozmowie z nim używaliśmy żartobliwych napomknień, jak gdyby prowadząc z nim jakieś wesołe konszachty; ale potem znów tęsknie poglądaliśmy na zachód, wypatrując jakiegoś promyka nadziei, czyhając na jakąś oznakę pomyślnego wiatru; chociażby pierwsze jego dmuchnięcie miało spowodować śmierć Jimmy'ego. Daremnie! Wszechświat zmówił się z Dżemsem Waitem. Znów pociągały lekkie wiejki z północy; niebo wciąż było czyste, i dookoła naszej niedoli morze igrało z powiewem i wygrzewało się z lubością w żarze słońca, jak gdyby zapomniało o naszym istnieniu i naszych utrapieniach.

Donkin oczekiwał wraz z nami zmiany wiatru na lepsze. Ukrywał teraz jadowite swoje myśli. Zamknął się w milczeniu, zmizerniał jeszcze bardziej, jak gdyby zagryzało go powoli tłumione rozwścieczenie na niesprawiedliwość ludzi i losu. Był ignorowany przez wszystkich i nie odzywał się do nikogo, ale z oczu wyczierała mu nienawiść do każdego z nas. Rozmawiał jedynie z kucharzem, wytłumaczywszy jakoś temu pocziwcowi, że on — Donkin — jest osobą wielce spotwarzoną i prześladowaną. Razem biadali nad upadkiem moralnym swych kolegów. Nie było większych od nas przestępców; spiknęliśmy się, ażeby za pomocą kłamstw sprowadzić na biednego, Bogu ducha winnego Murzyna wieczne potępienie. Podmore warzył, co było jeszcze do warzenia, pełen dusznych skrupułów i czuł, że gotowanie stawy takim jak my grzesznikom wystawia na szwank jego własne zbawienie. Co zaś do kapitana, to — służył pod nim aż siedem lat, powiada, i nigdy by nie przypuścił, że taki człowiek...

— Co tam! Dajmy temu spokój... Stało się... Nie mogło to mnie ominąć. Zdrowy rozsądek do góry dnem w ciągu jednej minuty... Sława sponiewierana... To raczej dopust boży niż cokolwiek bądź innego.

Donkin siedział ponuro na węglowej pace, majtał nogami i potakiwał. Za przywilej siedzenia w kuchni uiszczał się kucharzowi fałszywą monetą basowania mu; był zniechęcony i pełen oburzenia, co odpowiadało nastrojowi kucharza; nie mógł znaleźć słów dość surowych, by napiętnować nasze postępowanie; a gdy w zaciętrzewieniu krytycznym pomstował na nas, wtedy kucharz, któryby był też chętnie ulżył sobie przekleństwami, gdyby to nie sprzeciwiało się jego zasadom, udawał że nie słyszy. Więc Donkin, nie przywoływany do porządku, kłął za dwu, skamlał o zapalki, pożyczal tytoń, czuł się w kambuzie jak u siebie i całymi godzinami sterczał tam przy blasze. Stamtąd, poprzez ścianę, mógł słyszeć nas rozmawiających z Jimmym. Kucharz przesuwiał rondle, trząskając drzwiczkami paleniska i przepowiadał potępienie wieczne dla całego okrętowego towarzystwa; a Donkin, który nie wierzył w niebo ni piekło, wyjąwszy gdy potrzebował materiału do bluźnierstw, słuchał w gniewnym skupieniu, delektując się straszliwymi obrazami wieczystych mąk, malowanymi przez kucharza — w czym zresztą podobny był do ludzi, którzy napawają się opisami okrucieństw, zemsty, krwiożerczości i gwałtu...

W bezchmurne wieczory, pod zimną, martwą poświatą księżycą, cichy okręt zdawał się być upostaciowaniem beznamiętnego spoczynku, niby zima na lądzie. Za okrętem długi, złocisty szlak przecinał czarną tarczę morza. Odgłos kroków na cichym pokładzie rozlegał się echem. Światło księżycowe otulało go jak zmarznięta mgła, a zagle wznosiły się jak nieskazitelne białe stożki ze śniegu. Promieniejący świetlanie okręt wydawał się jakąś fantastyczną wizją idealnego piękna, złudnym wcieleniem wymarzonego we śnie spokoju. Był zjawiskiem niezemskim, nie mającym w sobie nic rzeczywistego, oprócz ciężkich cieniów, zaludniających pokład, ruchliwych i bezszelstnych, cieniów czarniejszych od nocy i niespokojniejszych od myśli ludzkiej.

Donkin snuł się pośród tych cieniów, samotny i zawistny, rozmyślając nad tym, że Jimmy coś za długo zwleka ze śmiercią. Właśnie tegoż wieczora przed samym zmierzchem wartownik oznajmił łąd, i kapitan, przysposabiając lunetę, powiedział z lekkim akcentem goryczy do pana Bakera, że gdyśmy wywalczyli już kurs, cał za całem, aż do wysp Azorskich, musi oczywiście stanąć nam w poprzek drogi ta zakłeta cisza. Na niebie ni chmurki, barometr wysoko. Lekka wiejka ustała po zachodzie słońca, i na ugrzane wody oceanu legła niezmierna cisza, zwiastując noc bezwietrzną. Dopóki starczyło dnia, majtkowie, cisnąc się koło bukszprytu, poglądali na wschód ku wyspie Flory, która wznosiła się nad gładkim poziomem morza fantastycznym i zygakowatym profilem, podobna do posępnych zwalisk panujących nad rozległą, pustynną równiną.

Był to pierwszy łąd, który ujrzeliśmy po czterech prawie miesiącach. Charley rozochocił się i przy ogólnym pobłażaniu pozwalał sobie na dość swobodne szusy względem zwierzchników. Ludzi ogarnęło — nie wiedzieć dlaczego — dziwne uniesienie; rozprawiali w grupkach, wskazując gołymi ramionami w kierunku wyspy. Pierwszy raz w czasie tej podróży zdawano się zapominać o oszukańczym istnieniu Jimmy'ego — wobec realnej rzeczywistości. Udało nam się jakoś przedostać aż tutaj. Belfast rozvodził się nad krótkością powrotnych żeglug z tych wysp, cytując dla przykładu różne zmyślone zdarzenia.

— Są takie chybkie szkuńce do transportu owoców — zapewniał — którym dość na to pięciu dni. Co chcecie? Wystarczy jedna dobra wiejka.

Archie utrzymywał, iż najkrótszy kurs wymaga siedmiu dni, i dalejże klócić się po przyjacielsku, syjąc obelżywymi słowami. Knowles oświadczył, że już zalatuje go swąd domowego ogniska i przytupując swym krótkim kulasem, śmiał się do rozpuku. Grupka szpakowatych wilków morskich o ponuro zaabsorbowanych twarzach patrzyła czas jakiś w milczeniu. Nagle jeden z nich się odezwał:

— Teraz to niedaleko i do Londynu.

— Pierwsza moja wieczerza na lądzie, niech mnie diabli porwą, jeżeli nie będzie rumsztyk z cebulką... i pół kwarty gorzkiej — rzekł drugi.

— Baryłka, chciałeś powiedzieć — wrzasnął ktoś jeszcze.

— Jajecznicza z szynką trzy razy dziennie. Oto co ja nazywam życiem! — zawołał jakiś podniecony głos.

Nastąpiło ogólne poruszenie. Rozległ się potakujący pomruk; zabłysły oczy; zadrgały zuchwy; zrywały się krótkie, spazmatyczne śmiechy. Archie uśmiechał się powściągliwie do swoich myśli. Zjawił się Singleton, rzucił jedno niedbale spojrzenie i, nie rzekłszy słowa, obojętnie powrócił na dół: wyspę Flory oglądał już niezliczoną ilość razy.

Nadciągająca ze wschodu noc wywabiała z jasnego nieba ten purpurowy szmat łądu, jak plamę.

— Martwa cisza — rzekł ktoś spokojnie.

Gwarność rozmów od razu przycichła, zamarła; grupy rozpręgły się; żeglarze jeden za drugim poczęli schodzić na dół wolno, z powagą na twarzach, jak gdyby zdając sobie sprawę z przygniatającej zależności od czegoś niewiadomego. A gdy wielki, żółty księżyc wtoczył się powolutku na ostro uciętą grań widnokregu, zastał już okręt spowity w głucho milczenie; ten nieulekły okręt, który zdawał się spać głębokim snem bez marzeń na łonie straszliwego, uspiętego oceanu.

Donkin przeklinał bezruch — okręt — i morze, które rozpościerało się wokoło, objęte w nieskończoną ciszę wszechstworzenia. Żarł się w sobie poczuciem jakichś krzywd niewypowiedzianych. Napędzono mu strachu w znaczeniu fizycznym, ale urażona jego pycha nie została poskromiona; czuł, że nic nie jest w stanie uleczyć jego zranionych

uczuc. Oto już łąd — rychły powrót do domu — licha zapłata — brak odzieży — znów ciężka praca. Jakie to wszystko obrzydliwe. Łąd. Łąd, który wysysa życie z chorych żeglarzy. Ten Murzyn, o — ten to ma pieniądze — ubranie — wypoczynek i nie chce umierać. Łąd wysysa życie... A gdyby tak pójść zobaczyć, jak stoi ta sprawa. Może już... Byłaby to niezła gratka. Ten bęćwał ma pieniądze w kuferku...

Wystąpił żwawo z cienia na światło księżycowe, i w jednej chwili chciwa i strawiona głodem jego twarz z żółtej stała się sina. Odemknął drzwi kajuty i zadrżał. Z pewnością Jimmy już nie żyje! Leżał nieruchomo na wznak ze splecionymi rękami, jak postać wyrzeźbiona na wieku kamiennej trumny. Donkin wybałuszyl pożądlive ślepią. Wtem Jimmy, nie poruszając się, mrugnął powiekami i to znów wstrząsnęło Donkinem. Te oczy były przerażające. Zamknął za sobą ostrożnie drzwi, wpatrując się z natężeniem w Dżemsa Waita jak gdyby wśliznął się tu z narażeniem życia, aby udzielić jakiejś niesłychanie ważnej tajemnicy. Wait nie ruszał się, lecz kącikami oczu spojrzął na Donkina.

— Ciszka? — spytał.

— Tak — rzekł Donkin, wielce rozczarowany, i siadł na kuferku.

Jimmy oddychał spokojnie. Przywykł do takich odwiedzin o każdej porze dnia i nocy. Goście zmieniali się kolejno. Nie zniżając głosu, mówili przyjazne słowa, powtarzali stare dowcipy, słuchali jego powiędzeń; i każdy, wychodząc, pozostawiał, zda się, trochę własnej żywotności, rzekał się cząstki swojej siły, odświeżał wiarę w niezniszczalną moc życia. Jimmy nierad był zostawać sam w kajucie, ponieważ, gdy był w niej samotny, czuł się, jakby wcale go tam nie było. Nic mu nie jest. Żadnych cierpień. Teraz nic. Zdrow był zupełnie — ale tą pełnią zdrowia nie mógł się napawać, jeśli nie stwierdzała jej niczyja obecność. Gwoli temu nadawał się równie dobrze ten gość, jak i ktokolwiek bądź inny. Donkin śledził go spod oka.

— Teraz już prędko w domu — odezwał się Wait.

— Dlaczego mówisz szeptem? — badał ciekawie Donkin — Czy trudno ci głośniej?

Jimmy okazał pewne niezadowolenie i ucichł na chwilę; potem rzekł martwym, bezdźwięcznym tonem:

— Po cóż mam krzyżeć? Nie jesteś głuchy, o ile mi wiadomo.

— O, ja mam słuch dobry — odparł Donkin cicho i spuścił oczy. I już ze smętkiem w duszy miał się ku odejściu, gdy Jimmy znów podjął:

— Wlecz się ta podróż do domu... Czas by zjeść coś przyzwoitego... Jestem wciąż głodny.

W Donkinie zakipiął gniew.

— A cóż ja mam powiedzieć — syknął — i ja jestem głodny tak samo, a muszę pracować. Ty — głodny!

— Twoja praca nie zabije cię — rzekł Wait słabym głosem — Tam na niższej kojce leżą dwa suchary — możesz jeden wziąć. Ja tego jeść nie mogę.

Donkin zagłębił się w koję, macając po kątach, a gdy wylazł, miał gębę już zapchaną. Żuł gorliwie. Jimmy zdawał się zasypiać z otwartymi oczyma. Donkin, załatwiwszy się z twardym sucharem, wstał.

— Nie idziesz? — spytał Jimmy, patrząc w sufit.

— Nie — odrzekł Donkin, ulegając jakiejś naglej pobudce, i zamiast wyjść, oparł się plecami o zamknięte drzwi. Przypatrywał się Jimmy'emu, który leżał długi, wychudły i wyschnięty, jak gdyby wszystkie tkanki pokurczyły się w nim od żaru rozpalonego do białości pieca; chudymi palcami przebierał z lekka na kancie łóżka, wygrywając jakiś niekończący się motyw. Widokiem swym irytował i męczył; dnie całe mogło się to jeszcze przewlec; to było doprawdy wyzywające. Nie należał całkowicie ani do życia, ani do śmierci; zdawało się, że nic o nich nie wie i że nic mu się stać nie może. Ale Donkina pokusiło, aby otworzyć mu oczy.

— O czym myślisz? — spytał mrukiwie. Dżemsa Wait skrzywił się w uśmiechu, który przemknął po jego śmiertelnie zeszywniałej, kościanej twarzy, nieprawdopodobny i przerażający; takim śmiechem mógłby się śmiać tylko jakiś nagle w złym śnie ujrzany kościotrup.

— Jest jedna dziewczyna — szepnął Wait — ...z ulicy Canton Street dziewczyna — Trzeciego inżyniera na pospieszonym śrubowcu — puściła kantem — dla mnie. Przyrządza

ostrygi tak, jak ja lubię... Powiada — zerwałaby z najładszym chłopcem — — — dla czarnego dżentelmena.... Niby dla mnie. Kobiety mnie lubią — dodał odrobinę głośniejsze.

Donkin zaledwie mógł wierzyć swoim uszom. Zdjęło go oburzenie.

— Ciebie? — Przecież ty dla niej już nic nie wart — rzekł z nietajonym wstrętem.

Ale mówił do nieobecnego. Wait przechadzał się po wybrzeżu stoczni wschodnio-indyjskiej, mówił grzeczniczo: „Pójdźmy coś przekąsić”, popychał lustrzane drzwi, w świetle kinkietów gazowych ocierał się z królewską miną o bufet z mahoniu...

— A więc tobie się jeszcze zdaje, że zobaczysz ład? — spytał Donkin zgryźliwie. Dzems Wait ocknął się raptem.

— Dziesięć dni — rzekł prędko i natychmiast wrócił myślą do krainy wspomnień, gdzie czas nie ma dostępu. Uczuł się spokojnym, wypoczętym, ukrytym bezpiecznie w głębi siebie samego, gdzie żadna wątpliwość nie mogła go dosięgnąć. Te długie chwile zupełnego spokoju miały w sobie coś z wieczności. Dobrze mu było i spokojnie wśród wspomnień wizyjnych, którymi się rozkoszował, biorąc je mylnie za obrazy nieodzownej przyszłości. Cały świat przestał dla niego istnieć. Donkin wyczuł to niejasno, jak ślepiec może wyczuć w mroku nieuchronny antagonizm otaczających go istnień, które pozostaną dla niego na zawsze nierealnymi, niewidzialnymi i godnymi zazdrości. Targnęła nim chęć, aby w jakikolwiek sposób zaznaczyć swoją osobistą wartość, złamać coś, skruszyć, skwitować się, zrównać z każdym pod każdym względem; zedrzyć zasłonę, maskę, wyjawić wszystko, udaremnić wszelkie wykręty; — przewrotna żądza prawdy!

Zaśmiał się szyderczym śmiechem i rzekł:

— Dziesięć dni. Bodajem olśniał, jeżeli kiedy w życiu... Ty jutro o tym czasie wyciągniesz kopyta. Dziesięć dni!...

Chwilę przeczekał.

— Słyszysz mnie? Niech mnie diabli porwą, jeżeli ty już teraz nie wyglądasz na umarłego.

Jimmy widać zebrał wszystkie swoje siły, gdyż powiedział niemal głośno:

— Jesteś prześmiardły, plugawy łgarz. Wszyscy wiedzą o tym.

Tu najniespodziewaniej usiadł, czym mocno swego gościa przestraszył. Ale Donkin wnet się opanował i dał folę językowi:

— Co? Co? Kto łgarz? Ty nim jesteś — załoga tutejsza — kapitan — wszyscy. Ale nie ja... Chciałoby się imponować, nosa zadzierać! Któż ty jesteś?

Dusiła go złość:

— Kimże ty jesteś, żeby zadzierać nosa? — powtórzył, trzęsąc się — Możesz wziąć jeden — powiada — a sam tego nie zje. Teraz wezmę oba. Jak Boga kocham, wezmę! Ty — ciebie nie ma, ty jesteś nikt.

Wlaził w niższą koję i szperał tam, aż znalazł i wydobył na jaw drugi, zakurzony suchar. I podsuwając mu go pod same oczy, z wyzywającym gestem odkąsił kawałek.

— No i cóż? — pytał, zachłystując się swym zuchwalstwem — Możesz wziąć jeden — powiadasz. A dlaczego nie oba? Nie, bo ja jestem parszywy pies. Jeden dla parszywego psa. A ja wziąłem oba. Czy możesz mi nie dać? Spróbuj, no dalej. Spróbuj!

Jimmy objął rękoma nogi i ukrył głowę w kolanach. Oblepiała się na nim koszula. Znać było każde żebro. Wynędziały grzbiet dygotał, wstrząsany rwącym się oddechem.

— Nie chcesz? Nie możesz! A co, nie mówiłem? — wykrzykiwał Donkin, mając gębę zapchaną drugim kęsem, który śpiesznie na sucho połykał. Rozwścieczała go milcząca bezradność tamtego, słabość i skurczona poza.

— Koniec z tobą — wrzeszczał — ktoś ty taki, żeby cię okłamywać; żeby cię obsługiwać, do wszystkich diabłów, jak imperatora? Jesteś nikim. Niczym jesteś! — bluznął siłą niezachwianego przekonania, że aż zatrząsł się cały. Skończywszy mówić, drgał jeszcze jak szarpnięta struna.

Jimmy znów zebrał wszystkie siły. Podniósł głowę i zwrócił się mężnie ku Donkinowi, który ujrzawszy jakąś nieznaną sobie twarz, jakąś fantastycznie wykrzywioną maskę rozpacz i wściekłości. Wargi jej szybkim ruchem wyrzucały z siebie głuche, jęklive, świszczące dźwięki, przepelniające kajutę nieokreślonym szemraniem, pełnym grózb, skarg i bezna dziejnych zawodzeń; przypominało to daleki poszum zrywającego się wichru. Wait trzął głową, toczył oczyma, zaprzeczał, kłął, groził — lecz ani jedno słowo nie miało siły wydstać się z tych czarnych warg, wydętych w jakiś dąs żalony. Niezrozumiały i niepokojący

był ten żargon pełen wzruszenia, ta zapalczywość, szwargocząca niemo w obronie jakiejś niemożliwej sprawy i grożąca widmową zemstą. Donkin uznał za rzecz roztropną mieć się na ostrożności.

— Nie możesz wydobyć z siebie głosu. Widzisz, nie mówiłem ci? — rzekł, popatrzywszy na niego badawczo. Tamten zaś nie przerywał swej zapamiętałej mimiki, kiwał wściekle głową i wykrzykiwał się, przerażając olśniewającymi błyskami wielkich, białych zębów. Donkin, jak gdyby zaczarowany niemym krasomówstwem i furią czarnego widma, podszedł bliżej, wyciągając szyję z podejrzliwą ciekawością; i wydało mu się nagle, że widzi tylko cień człowieka, skulony na górnym leżaku, na jednym poziomie z jego oczyma.

— Co? Co? — zapytał. Zdawało mu się, że w tem zadyszczanym syczeniu rozróżnił kilka wyrazów — Belfastowi się poskarżysz? Tego chcesz? Babskim plotuchem jesteś, co? Zadrzał ze strachu i wściekłości zarazem.

— Poskarż się babuni! Boi się umierać! Cóżes to za jeden, żeby się bać więcej niż kto inny?

Namiętne przeświadczenie o swej przewadze opuściło go wraz z resztką ostrożności.

— Poskarż się, i niech cię diabli wezmą. — Skarż się, jeżeli możesz — krzyczał. — Gorzej psa traktowała mnie ta cała przekłeta banda lizusów. Wystawili mnie na sztych po to, żeby się przeciwko mnie spiknąć. Jam tu jedyny człowiek. Oni poniewierali mną jak szmatą, kopali mnie — a tyś się śmiał, ty czarny strupieszaly nicponiu, ty. Zapłacisz mi za to. Odejowali sobie od ust, karmili cię, poili — zapłacisz mi za to, jak Boga kocham! Kto mi dał napić się wody? Ciebie to potrafili okutywać swoimi zapowietrzonymi lachmanami wówczas, w tę noc — a co mnie dali! — dali mi po pysku — niech ich zaraza morowa... Tak mi Boże dopomóż!... Zapłacisz ty mi swoimi pieniędzmi. Natychmiast będę je miał, w tej chwili, jak tylko umrzesz, ty przekłety, zatracony oszuście. Wiesz kto jestem? Jestem człowiek. A ty jesteś rzecz — nędzna rzecz. Ha — ty trupie!

Sucharem, który ciągle trzymał mocno w garści, cisnął w głowę Jimmy'ego, ale suchar, z lekka ją tylko musnąwszy, uderzył z głośnym trzaskiem o dyl przepierzenia, pękł i rozprysł się na drobne kawałki, niby ręczny granat. Dzems Wait, jak gdyby śmiertelnie ugodzony, padł w tył na posłanie. Przestał ruszać wargami, uciszyła się ruchliwość jego oczu, którymi jał uporczywie wpatrywać się w sufit. Zdziwiło to Donkina; siadł na kuferku i utknął wzrokiem w podłodze, wyczerpany i posepny. Po chwili zaczął do siebie mamrotać:

— Zdychaj, ty wywłoko, zdychaj! Może ktoś nadejść... Czemu nie jestem pijany!... Za dziesięć dni... Ostrygi...

Spojrzał w górę i rzekł głośniejsze:

— Nie, to już nie dla ciebie... Nigdy już... Nie dla ciebie dziewczęta przyrządzające ostrygi. Któż ty jesteś? Na mnie teraz kolej... Chciałbym być pijany: chętnie bym przyłożył ręki do wyprawienia cię na tamten świat. Powędrujesz tam. Nogami naprzód przez lukę burty... Plusk! Żegnaj mi na zawsze! Nigdy ciebie już nie zobaczę. Przez burte! W sam raz dla ciebie koniec.

Jimmy z wolna obrócił głowę i skierował oczy na twarz Donkina; w tych oczach było niedowierzanie, rozpacz i trwoga — błagalny wyraz dziecka, nad którym wisi kara samotnego zamknięcia w ciemnym pokoju. Donkin obserwował go ze skrzynki pełnymi nadziei oczyma i, nie wstając, spróbował podnieść wieko. Zamknięte. — Chciałbym być pijany — mruknął i zerwał się, łowiąc trwożnym słuchem daleki odgłos kroków na pokładzie. Zbliżyły się i zatrzymały. Ktoś przeciągle ziewał tuż za drzwiami, aż wreszcie oddalił się, człapiąc leniwie. Serce Donkina zwolniło przyspieszony bieg; gdy spojrzał ku górnej kojce, Jimmy wpatrywał się, jak przedtem, w białą belkę.

— Jak się teraz czujesz? — spytał Donkin.

— Źle — odszepnął Jimmy.

Donkin siadł, postanawiając czekać cierpliwie.

Co pół godziny dzwonił dzwon, drugi mu odpowiadał, i tak rozmawiały ze sobą, dźwięcząc wzdłuż całego okrętu. Jimmy oddychał tak szybko, że zliczyć rytm było niepodobna i tak słabo, że prawie niedosłyszalnie. Oczy miał przerażone, jak gdyby napatrzył się niewypowiedzianych okropności, a twarz świadczyła, że rozmyślał o rzeczach wstręt-

nych. Nagle krzyknął niewiarogodnie silnym głosem, łkając rozdzierająco:

— Za burtę!... Ja!... mój Boże!

Donkin wiercił się na kuferku. Spojrzał pomimo woli. Jimmy milczał. Jego długie, kościste ręce gładziły koldrę, jakby ją chciał podciągnąć do samej brody. Łza, wielka, samotna łza wymknęła mu się kącikiem oka i, nie zawadzając o zapadły policzek, stoczyła się na poduszkę. Z gardzieli słychać było ciche rzęzenie.

I Donkin, świadek skonu tego znieawidzonego Murzyna, poczuł trwożny lęk ściskający mu serce na myśl, że i on sam będzie musiał z czasem to wszystko przeżyć i niezawodnie w podobny sposób! Zwilgotniały mu oczy. — Biedaczysko! — mruknął. Noc zdawała się biec z chyżością strzały; miał złudzenie, że słyszy pęd chwil nieoszacowanych, ulatujących niepowrotnie. Jak długo może potrwać jeszcze ta przekłeta historia? Być może za długo. Nie ma szczęścia. Stracił cierpliwość. Wstał i zbliżył się do koi. Wait był nieruchomy, tylko oczy miały pozór życia i ręce, którymi wciąż gładził koldrę z jakąś straszną, niezmięconą pracowitością. Donkin nachylił się. — Jimmy! — rzekł półgłosem.

Nie było odpowiedzi, lecz rzęzenie ustało.

— Czy widzisz mnie? — spytał, drżąc.

Pierś Jimmy'ego podniosła się. Donkin, patrząc gdzieś w stronę, przytknął ucho do jego warg i usłyszał szmer, podobny do szelestu zeschniętego liścia, trącego się o miękkie piach nadbrzeżny. Szelest przeistoczył się w wyrazy.

— Zapal... lampę... i... odejdz — wyszeptał Wait. Donkin odruchowo spojrział przez ramię na gorejący płomień; następnie, patrząc ciągle w bok, wymacał pod poduszką klucz. Schwycił go i w przeciągu dalszych pięciu minut gorączkowo, ale zreżnie zakrzętnął się koło skrzynki. Gdy powstał, jego twarz — może pierwszy raz w życiu — płonęła rumieńcem — zapewne triumfu.

Wsunął z powrotem klucz pod poduszkę, usiłując nie patrzeć na Jimmy'ego, który leżał nieruchomo. Odwrócił się tyłem do koi i ruszył ku drzwiom tak posuwicie, jakby były oddalone o milę. Za drugim krokiem już natknął się na nie. Ujął klamkę ostrożniutko, lecz w tejże chwili doznał nieodpartego wrażenia, że coś się dokonało za jego plecami. Skręciło go nagłym obrotem w tył, jak gdyby ktoś położył mu rękę na ramieniu. Zdażył w samą porę ujrzeć oczy Jimmy'ego, które błysnęły i zagasły, podobne dwu lampom, zmiecionym od jednego uderzenia. Coś jak purpurowa niteczka spłynęło mu po brodzie kątem warg, i przestał oddychać.

Donkin zamknął za sobą drzwi po cichu, ale stanowczo. Śpiący ludzie, pootulani kurtkami, tworzyli na widnym pokładzie jakby bezkształtne nasypy, przypominające zaniedbane mogiły. Nie pracowano wcale tej nocy, i nieobecność jego przeszła niepostrzeżenie. Stanął jak wryty, zdumiony że znalazł świat zewnętrzny takim, jakim go był zostawił; oto morze, okręt — śpiąca załoga; i dziwował się temu głupio, jak gdyby się spodziewał, że zastanie ludzi nieżywych, a bliskie rzeczy przepadłe na zawsze; jak ów podróżnik, który po długich latach wraca i jest z góry przygotowany, że znajdzie szereg niebываłych zmian. Wstrząsnął się cokolwiek od przenikliwego chłodu nocy i objął się ramionami w swym opuszczeniu. Na zachodzie obumierał smętny księżyc, jak gdyby wędnąc pod zimnym dotknięciem bladego świtu. Okręt spał. A nieśmiertelne morze roztaczało swoją dal bezkresną i zamgloną na podobieństwo życia, które jest o powierzchni lśniącej a mrocznych głębinach — pełne obietnic, pustyńne, porywające — straszne. Donkin obrzucił je wyzywającym spojrzeniem i wymknął się po cichutku, jak gdyby osądzony i odtrącony przez milczące dostojeństwo jego potęgi.

*

Śmierć Jimmy'ego była jednak dla nas piorunującą niespodzianką. Aż do tej chwili nie wiedzieliśmy, jak głęboko przesiąkły w nas jego złudzenia. Jego życiowe szanse rozpatrywaliśmy tak dalece na podstawie własnej jego oceny, że śmierć ta, podobnie jak załamanie się pewnych z dawna wkorzenionych wierzeń, wstrząsnęła do gruntu podstawami naszego światka. Przepadł jednoczący nas łącznik — ten mocny, skuteczny i szanowny łącznik, polegający na uczuciowym kłamstwie. Przez cały ten dzień ślęczeliśmy nad robotą z minami pełnymi podejrzliwości i rozczarowania. W głębi serc nurtowało w nas poczucie, że

Jimmy w sprawie swego zejścia postąpił fałszywie i nie po przyjacielsku. Nie trzymał z nami, jak przystało na towarzysza. Odchodząc, zabrał ze sobą ten mgławy i uroczysty cień, w który przyoblekała się chętnie nasza ludzka głupota, udając czułą pośredniczkę losu. Teraz ujrzeliśmy tę rzecz w właściwym świetle. Była to pospolita głupota; liche i nieudolne wtrącanie się do majestatu wyroków opatrnościowych — to jest, o ile Podmore miał rację. A może doprawdy miał rację? Wątpliwość przeżyła Jimmy'ego; i, podobni bandzie kryminalistów, tkniętych przez łaskę i rozbitych wewnątrz, byliśmy sobą niezmiernie zgorzeleni. Między najbliższymi kamratami wywiązała się opryskliwość w rozmowach. Inni wcale nie chcieli rozmawiać. Jeden Singleton przyjął wiadomość bez zdziwienia.

— Umarł? Oczywiście — rzekł, wskazując palcem na łód: gdyż, jak dotąd, cisza trzymała okręt na uwięzi w pobliżu wyspy Flory. Umarł — naturalnie. *Jego* to nie zdziwiło. Tam był łód, a tu, u przedniej luki, w oczekiwaniu na żagielnika — leżał trup. Przyczyna i skutek. I po raz pierwszy od czasu, gdy zaczęła się podróż, stary żeglarz okazał pełnię dobrego humoru i rozmowności, tłumacząc i obrazując przykładami, czerpanymi z osobistego doświadczenia, jak to w chorobie widok jakiejś wyspy (choćby najmniejszej) działa w ogóle szkodliwiej aniżeli widok kontynentu. Dlaczego tak jest, nie mógł objaśnić.

Pogrzeb Jimmy'ego miał się odbyć o piątej, i mieliśmy przed sobą jeszcze cały długi dzień — dzień pełen duchowych, a nawet i fizycznych dolegliwości. Robota nie sporzyła się nam, za co strofowano nas odpowiednio; a że byliśmy wciąż podrażnieni i głodni, doprowadzało nas to do rozpacz. Donkin obwiązał sobie głowę jakimś brudnym łachmanem i wyglądał tak niesamowicie, że aż pan Baker wzruszył się litością nad tym męznym, wytrzymałym cierpieniem.

— Hej! Hm! Donkin! Rzuć, co tam robisz, i ruszaj odpocząć. Wyglądasz na chorego.

— Jestem chory, proszę pana. Boli mnie głowa — rzekł zgnębionym tonem i szybko zwiął.

To rozgoryczyło niektórych.

— Baker wziął dziś diabło na pobłażliwość — mruzcili.

Kapitan Allistoun, widoczny na przednim pomoście, badał niebo, które zaciągnęło się chmurami od południo-zachodu, i niebawem rozeszła się po pokładzie wiadomość, że barometr zaczął w nocy spadać, i że niezadługo należy się spodziewać mocnej wiei. Przez subtelne skojarzenie pojęć powstał żarliwy spór, jak ustalić dokładnie chwilę śmierci Jimmy'ego? Czy to było przed, czy potem, kiedy „szkło” zaczęło spadać? Rzecz — niepodobna do rozstrzygnięcia — stała się powodem wzajemnych pogardliwych dogryzań. Naraz wszczął się na przednim pokładzie wielki tartas. Między pokojowo usposobionym Knowlesem i dobrodusznym Daviesem przyszło o to do kulałów. Zluzowana warta przyjęła żywy udział w tej potyczce, i w ciągu dziesięciu minut wrzała hałaśliwa kotłowanina przy tej właśnie luce, gdzie w cieniu chwiejnych żagli stroskany Belfast czuwał nad zwłokami Jimmy'ego, owiniętymi w białą koldrę. Żałoba uczyniła go wzgardliwym na współzawodnictwo w tych zapasach; ale gdy hałas się wyszumiał i namiętności tlały już tylko w ponurym milczeniu, stanął w głowach spowitego ciała i, wznosząc obie ręce do góry, zawołał z bolesnym oburzeniem:

— Czy nie wstyd wam, doprawdy?

Było nam wstyd.

Belfast wziął bardzo do serca tę ciężką dlań stratę. Okazywał dowody nieprzebranego poświęcenia. On to, a nie kto inny, pomagał żagielnikowi przygotować szczątki Jimmy'ego na solenną daninę dla niesytego morza. On pieczołowicie porozmieszczał u nóg ciężary: dwa piaskowce³, jedno stare sprzęgło kotwiczne bez zatyczki, parę ogniw zużytego łańcucha. Rozlokowywał je raz tak, raz inaczej.

— Cóż u Pana Boga! Boisz się, żeby sobie nie skaleczył pięty? — tetryczał żagielnik, któremu ta robota nie pachniała. Szył, aby prędzej, śmigając igłą i wydmuchując z gniewnych ust kłęby tytuniowego dymu, którym się otoczył jak obłokiem; dowijał skraje brytów, dociągał szwów, wyglądał płótno.

— Podnieś mu pleców... Ciąg trochę ku sobie... To-to-to. Dosyć!

Belfast posłusznie ciągnął, podnosił, nieprzytomny z bólu, oblewając łzami sznurek moczony w dziegiu.

³piaskowce — cegiełki do czyszczenia pokładu, robione z miękkiego piaskowego kamienia. [przypis tłumacza]

— Nie owijaj mu za ciasno tej jego biednej twarzy, majsterku — błagał z płaczem.
— Nie psuj sobie o to krwi! Będzie mu i tak wygodnie — zapewniał żagielnik, ucinając dratwę po ostatnim ściegu, który przypadł mniej więcej w połowie czoła. Zwinął resztę parcianki, schował igłę.

— Czemu się tak przejmujesz? — spytał.

Belfast spuścił oczy na długi, szary pakiet żaglowego płótna.

— Wyratowałem go — szepnął — nie chciało mu się umierać. Gdybym był przy nim tej nocy, byłby żył — zrobiłby to dla mnie... ale jakoś byłem zmęczony.

Żagielnik pociągnął potężnie z fajki i wykrztusił:

— Kiedym był... w Indiach Zachodnich... Na fregacie *Blanche*... Żółta febra... zaszywało się po dwudziestu ludzi na dzień... z Portsmouth-Devenport mieszczan — znalazłem ich ojców, matki — siostry — cały ich zapiecek. Nie myślałem o tym wcale. A takie Murzyny jak ten — nie wiadomo, skąd to pochodzi. Nie mają krewnych. Nikomu niepotrzebni. Komu będzie go brakowało?

— Mnie. Wyratowałem go — biadała żałośnie Belfast.

Na dwu zbitych deskach złożono Dżemsa Waita; leżał zgodnie i cicho, przykryty banderą *Union Jack* z białym obrąbkiem; czterej towarzysze ponieśli go na tylny pokład i powolutku ustawili tak, aby nogami zmierzał ku otwartej luce burtowej. Nadbiegła z zachodu wezbrana fala i rozbijała okręt, a stosownie do rytmu kołysań czerwona flaga na pół-maszcie miotła się na tle szarego nieba, to znowu opadała, jak trzepoczący się język płomienia; Charley zadzwonił w dzwon; i za każdym pochyleniem się prawej strony okrętowej, cały obszerny półkrąg sinej wody odsłaniał się, podnosił i zbliżał z poszumem ku burcie, jak gdyby pilno mu było zawrzeć się co rychlej nad naszym Jimmym. Wszyscy byli obecni prócz Donkina, który z powodu choroby nie mógł się zjawić. Kapitan i pan Creighton z gołymi głowami stali na galerijce pomostu. Pan Baker, któremu kapitan przekazał formalność obrządku — ponieważ „on, pan Baker, zna się lepiej na modlitewnikach” — wyszedł spiesznie z kajuty, z miną cokolwiek zaambarasowaną. Wszyscy zdjęli czapki. Pan Baker zaczął czytać cichym głosem, zachowując przy tym swój niewinnie-burkliwy ton, jak gdyby jeszcze po raz ostatni udzielał napomnień we cztery oczy temu martwemu żeglarzowi u swoich stóp. Załoga słuchała w oddzielnych gromadkach: jedni, oparci o poręcz balkonu pod tzw. marsem, spoglądali z góry na pokład; tamci, rękami ująwszy brodę, w zamyśleniu, lub ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, z kolanem lekko zgiętym i z pochyloną głową, zdawali się pogrążeni w najgłębszej medytacji. Wamibo drzemał. Pan Baker czytał wciąż, bogobojnie pochrzäkując za każdym odwróceniem karty. Słowa pobożne, nie trafiając do zmiennych serc ludzkich, toczyły się i rozpraszały bezdomnie po nieczułym morzu; a Dżems Wait, uciszony na wieki, leżał bierny i obojętny pod szorstkim szepem mówiącym o rozpacz i nadziei.

Dwu ludzi stało w pogotowiu, oczekując słów, po których już niejedyn z naszej braci wykonał ostatni skok w głębie. Pan Baker zaczął czytać ten werset.

— Bacność! — zakomenderował półgłosem bosman.

Pan Baker przeczytał — „W głębokości” — i przerwał. Ludzie podnieśli ku-burtowe wręby desek, bosman pochwyił banderę, lecz Dżems Wait ani drgnął.

— Wyżej! — mruknął gniewnie bosman. Wszystkie głowy się podniosły, każdy poruszył się niespokojnie, ale Dżems Wait nie okazywał chęci odejścia. Martwy już, spowity całunem, trzymał się jeszcze, lgnąc do okrętu swoją nieśmiertelną obawą śmierci.

— Wyżej! Podnoś! — syczał rozwścieczony bosman.

— On nie chce odejść — wyjąkał jeden z dwu ludzi, zajętych podnoszeniem, i obaj, zdawało się, porzucą wszystko w tej chwili. Pan Baker czekał, zakrywszy twarz książką i suwając nerwowo nogami. Wszystkim ludziom było nieswojo; powstał wielki gwar, który wzmagał się z każdą chwilą.

— Jimmy! — krzyknął Belfast, z takim lamentem w głosie, że wszystkich zdrętwiło przerażenie.

— Jimmy, bądź mężczyzną! — wołał namiętnie.

Wszyscy pootwierali szeroko usta, nikt nie mrugnął powieką. A Belfast wpatrywał się w przestrzeń, cały drżący i pochylony naprzód, jak gdyby ujrzał coś strasznego.

— Odejdź — krzyknął i skoczył naprzód z wyciągniętą ręką. — Idź, Jimmy! Dalej, Jimmy! Odejdź!

Palcami dotknął głowy Waita; szary pakiet poruszył się niechętnie, jakby ociągając się, aż, naraz, błyskawicznie szybko zsunął się z pochyłości desek. Wszyscy, jak jeden mąż, rzucili się do burty; głębokie a — a — ach! falującym tonem wyrwało się z szerokich piersi. Okręt zakolysał się, jak gdyby uwolniony od nieznośnego ciężaru; żagle załopotaly. Belfast, podtrzymywany przez Archie'go, dyszał histerycznie; zaś Charley, który, chcąc widzieć, jak Jimmy po raz ostatni daje nurka, skoczył na oślep do burty, spóźnił się i ujrzał tylko nikłe kręgi na wodzie.

Pan Baker, cały w potach, odczytywał ostatnią modlitwę pośród głuchego szmeru roztargnionej załogi i przy szumie łopoczących płacht żaglowych.

— Amen! — rzekł i chrząknął niespokojnie, zamykając książkę.

— Reje w kant brasuj! — zagrzmiała mu nad głową komenda. Wszyscy majtkowie drgnęli; niektórym wypadły z rąk czapki. Pan Baker spojrział ze zdziwieniem. Kapitan, stojąc na wyższym pomostu, wskazywał na zachód.

— Idzie dma! — wołał — stawiać reje. Żywo.

Pan Baker na gwałt wepchnął książkę do kieszeni.

— Dalej tam! Fok-żagiel, dolny hals puść! — krzyczał wesoło z gołą głową, dziarsko — Fok-reje w kant, wy tam, warta bakortu!

— Tęgo dmie — dobry wiatr — pogadywali majtkowie, śpiesząc do lin — brasować.

— A co, nie mówiłem? — mruknął stary Singleton, rzucając energicznie na pokład zwój za zwojem — wiedziałem, że tak będzie. On odszedł, a wiatr przychodzi.

Przyszedł i oznajmił się szumnym, potężnym westchnieniem. Żagle nabrzmiały, okręt ruszył, i zbudzone morze poczęło gwarzyć ludziom o domu sennym poszeptem.

Tej nocy, podczas gdy okręt pod krzepką wieją gnał na północ — skrós pieniających się fal, bosman w izbie podoficerskiej zwierzał się i wywnętrzał.

— Z tym drabem mieliśmy tylko nieprzyjemność — rzekł — od samej chwili, gdy wsiadł na okręt — przypominacie sobie — wtedy w Bombaju, w nocy? Zahukał potulną młodzież — trzymał w garści starszych — musieliśmy jak wariaci szukać go po wszystkich dziurach tonącego statku, ratować. Nieomal bunt z jego powodu — a teraz starszy oficer zekpał mnie od ostatnich za to, że nie posmarowałem tych desek tłuszczem. Posmarować, posmarowałem, ale co do gwoźdźcia, że nieprzyklepany w nich sterczał, to już było można jakoś to lepiej załatwić — nieprawda, cieśło?

— Ale lepiej też było nie wyrzucać do wody wszystkich moich statków, jak patentowany żółtodziób — odreplikował zgryźliwy cieśla. — A tamtemu dobrze tak, sam poszedł za nimi na dno — dodał z nieubłaganą zawziętością.

— W chińskiej przystani, raz — pamiętam, admirał powiada do mnie... — zaczął majster żagielny.

W tydzień potem Narcyz wchodził w cieśninę Kanału.

Białymi żaglami, niskim lotem nad morzem niebieskim spieszył okręt, podobny do wielkiego ptaka zdążającego na skrzydłach omdlałych ku swemu gniazdu. Chmury mknęły ponad iglicami masztów, ubiegając się o pierwszeństwo ściągłości; zrywały się do lotu za sterem olbrzymie i białe, wzbijały się ku zenitowi, mijały go i, pędząc po rozległym stropie nieba, zdawały się rzucać na oślep w morze — te chmury, szybsze od okrętu i swobody więcej mające, ale bezdomne i bezojczyzniane. Ze słonecznej przestrzeni wystąpił brzeg, jak gdyby szedł na powitanie. Wyniosłe przylądki wstępowały władczo w morze; szerokie zatoki uśmiechały się w blasku; cienie tułających chmur sunęły przez słoneczne równiny, przeskakiwały nad dolinami, wbiegały bez wahania na pagórki, staczały się po zboczach; a w pogoni gnała za nimi jaśń słoneczna, sypiąc lotnymi płatkami blasku. Na szczytach ciemnych skał świeciły olśniewająco białe kolumny morskich latarni. Wody Kanału połyskiwały jak niebieski płaszcz, nakrapiany złotem i usiany srebrem kędzierzawych pian.

Narcyz leciał mimo przylądków i zatok. Krzyżowały mu drogę statki, które były odbiły od lądu i sunęły powoli, z osznurowaniem masztów przyszykowanym do żmudnej walki z szorstką południowo-zachodnią wieją. A tuż przy lądzie, trzymając się brzegu, pełzał sznur dymiących parowców, niby jakieś wędrujące ziemnowodne potwory, które boją się zaufać burzliwym falom.

Nocą przylądki cofnęły się, a zatoki powysuwały się naprzód, zlewając się w jedno nieprzerwane pasmo mroku. Światła na ziemi mieszały się ze światłami na niebie; ponad

skaczącymi ognikami rybackiej floty! płonąła wielka latarnia wieży nadmorskiej stałym ogniem, jak oświetlona kotwiczna strażnica na jakimś bajecznym okręcie o gigantycznych rozmiarach; a pod jej trwałym palaniem rozciągający się hen, daleko, czarny pas wybrzeża podobny był do wysokiej burty jakiegoś niezniszczalnego korabia, tkwiącego nieruchomo na wiecznym, rozfalowanym morzu. Ciemny ląd leżał samotnie na wodach, niby potężny okręt, dźwigający na sobie, pod strażą czujnych świateł, miliony żywych istot — okręt, naładowany śmieciem i klejnotami, złotem i stalą. Piętrzył się, olbrzymi, potężny, przechowując bezcenne tradycje i niewypowiedziane cierpienia, chroniąc sławne pamiątki i niewdzięczne zapomnienie, żywiąc bezcenne cnoty i szczytne błędy. Okręt wielki! Przez tysiącolecia wytrzymywał chłostę oceanu; żył już wówczas, kiedy świat był rozleglejszy, a mniej oświetlony, kiedy morze było bardziej niezmierzone i tajemnicze i chętniej nagradzało ludzi odważnych szczodłą sławą. Okręt, z którego poczęły się floty i narodowości! Największy okręt z banderą plemienia; okręt silniejszy od burz; okręt, który zarzucił kotew na pełnym morzu.

Narcyz, z lekka pochylony wiatrem pobrzeżnym, okolił cypel South Foreland, ominął piaszczyste ławice Downs i na kablu holowniczym wjechał w rzekę. Odarty z przepychu swoich białych skrzydeł, musiał teraz posłusznie iść za holownikiem przez labirynt niewidocznych kanałów. Mijał czerwono malowane statki-latarnie, które zdawały się przez chwilę płynąć szybko wraz z prądem, lecz niebawem zostawały beznadziejnie gdzieś w tyle. Wielkie boje, pousadzone na mieliznach, prześlizgiwały się cicho wzdłuż boków i, dostawszy się w szlak za okrętem, targały się na łańcuchach jak rozjuszony psy-stróże. Przestrzeń zwężała się; ląd przybliżał się z obu stron okrętu, podciąganego wciąż w górę rzeki. Po jednej i po drugiej stronie pojawiły się gromadki domów; zbiegały, zda się, na lęb na szyję po równi pochyłej, by ujrzyć płynący okręt, lecz zatrzymane w biegu przez grząski dół, skupiły się na twardszych zboczach. Dalej zjawily się bandy wybujałych kominów fabrycznych; przypatrywały się impertynencko statkowi, jak wędrowna ciżba smukłych olbrzymów, wyprostowanych z junakierią pod czarnymi pióropuszcami dymu, sterczącymi po kawalersku na bakier. Statek okrążał załomy; jakiś dech nieczysty dmuchnął w ogołoczone drążki rej i zaświstał na nich: witaj! Brzegi zetknęły się i stały ląd odgradził go od morza.

Niski tuman zawisł przed okrętem — szeroko rozlany, mętno-opalowy, chwiejny tuman, który zdawał się wznosić z milionów ludzkich czoł zroszonych potem. Długie wiehcie dymu, zmieszanego z parą, przeplatały go sinymi pręgami; drgał równomiernie z trzepotem milionów serc; szedł z niego jakby jakiś łzawy, bezbrzeżny szept — szept milionów ust modlących się, klnących, poruszanych westchnieniem lub drwiną — odwieczny szept szaleństwa, żalu i nadziei, sączący się z ludzkich mas stłoczonych na nieukojojonej ziemi. *Narcyz* zapuścił się w ten tuman; mrok zgęstniał; ze wszystkich stron słychać było szcęk żelaza, łoskot potężnych uderzeń, krzyki, wycia. Czarne szkuty wlokły się cicho po mętnych falach. Beładna płatanina okopconych murów zamajaczyła w dymie, złowroga i mroczna, jak widmo zniszczenia. Holowniki manewrowały z okrutnym sapaniem po korycie rzeki, ustawiając okręt naprzeciwko wrót stoczniowej śluzy; z pokładu śmignęły dwie liny, przecinając ze świstem powietrze, i uderzyły o ląd ze złością, jak para węzów. Naraz przed okrętem jakiś most rozpadł się na dwoje, niby za dotknięciem pałeczki magicznej; olbrzymie windugi hydrauliczne zaczęły się obracać same przez się, jakby ożywione tajemniczą siłą. Okręt wjechał w wąski korytarz wodny, ujęty dwiema niskimi, granitowymi ścianami; z obu stron szli po szerokich płytach, dotrzymując mu kroku, ludzie z zahaczającymi linami. A przy obu końcach znikającego mostu tłoczyła się niecierpliwa gromada oczekujących: surowe, krzepkie chłopcy w czapach; bladolicy panowie w cylindrach; dwie kobiety z gołymi głowami; obdarte dzieci, przyglądające się szeroko otwartymi oczyma. Jakiś wóz, nadjeżdżający ciężkim truchtem, zatrzymał się nagle. Jedna z kobiet krzyknęła w stronę milczącego okrętu — „Hej, Jasiu!” — nie zwracając się do nikogo w szczególności, a wszystka załoga poglądała ku niej z wysokiego jutu.

— Baczność! Baczność — lina! — krzyczeli dozorczy słuzowi, przechylając się z za filarów.

Tłum mruczał, dreptał w miejscu.

— Liny hamulcowe przodka ciskaj! Ciskaj! — wyśpiewał jakiś czerwonic staruch na bulwarku.

Zwoje lin ciężko plusnęły w wodę i Narcyz wszedł do stoczni.

Ocembrowane granitem brzegi rozbiegły się na prawo i na lewo przystani prostymi liniami, zamykając kwadrat mrocznej wody. Ceglane, wysokie mury wyrosły nad wodą — bezduszne mury, patrzące setkami okien mętnych jak oczy przesyconych bestii. Skurczone u ich stóp czyhały żelazne dźwigary — z łańcuchami zwieszającymi się z długich sztyj — i kołysały drapieżne haki nad pokładami zamarłych okrętów. Powietrzem wstrząsał grzmot kół toczących się po granicie, łomot spadających ciężarów, tartas gorączkowej krętaniny, zgrzyt sprężonych łańcuchów. Kurz ze wszystkich stron świata unosił się w krótkich wlotach między tymi wysokimi murami; przenikliwy zapach perfum i brudu, korzeni i skór, rzeczy cennych i rzeczy plugawych przesycił powietrze, wytwarzając atmosferę kosztowną i wstrętą zarazem.

Narcyz zajął ulegle swoje łóżysko; okwefiły go cienie bezdusznych murów; zasypały mu pokład wszechkontynentalne kurze; chmara obcych ludzi wdrapała mu się na grzbiet i owładnęła nim w imię brudnej ziemi. Przestał żyć.

Jakiś strojniś w czarnym surducie i w cylindrze wskrabał się żwawo, podbiegł ku młodszemu oficerowi, ścisnął jego dłoń i rzekł:

— Jak się masz, Herbercie.

Był to jego brat. Pojawiła się nagle jakaś dama. Prawdziwa dama w czarnej sukni i z parasolką. Wyglądała przy nas niesłychanie elegancko i tak dziwnie, jak gdyby sfrunęła ku nam z nieba. Pan Baker zasalutował po wojskowemu. Żona kapitana. Niebawem kapitan poprowadził ją do zejścia, ubrany wytwornie, świecący białym kołnierzykiem, gorsem i mankietami. Nie poznaliśmy go wcale, dopóki nie odwrócił się z bulwaru i nie zawołał na pana Bakera:

— Pamiętaj pan jutro rano nakręcić chronometry.

Jakaś podejrzana zgraja obdartusów chytrookich włóczyła się tam i sam po kasztelu, poszukując zatrudnienia — jak mówili.

— Prędeż czegoś, co mogliby ukraść — zauważył wesoło Knowles.

Biedne tałałajstwo! Kto by się tam nimi zajmował? Przecież byliśmy w domu! Tylko pan Baker rzucił się na jednego z nich za jakąś hardą odpowiedź, i to nas ucieszyło. Wszystko było takie ucieszne.

— Rufa w porządku, proszę pana — zawołał pan Creighton.

— W zbiorniku nie ma nic wody, proszę pana — odraportował po raz ostatni cieśla, trzymając w ręku sondę.

Pan Baker spojrział wzdłuż pokładu, po stojących w oczekiwaniu grupach załogi, rzucił wzrokiem w górę, ku rejom.

— Hm! Dobrze, chłopcy — odchrząknął.

Grupy rozprzęgły się. Podróż była skończona.

Przez burtową poręcz zlatywały tłomoki z pościelą; osznurowane kuferki ześlizgiwały się po spustowej kładce; nie było ich dużo.

— Reszta krąży około Przylądka — tłumaczył zagadkowo Knowles jakiemuś dokowemu wyjadaczowi, z którym się nagle zaprzyjaźnił. Majtkowie uwijali się na gwałt, krzyczeli coś jeden drugiemu, zwracali się do całkiem obcych ludzi o „użyczenie rąk przy pakunkach”, i naraz, przybrawszy odpowiednio uroczystą minę, podchodzili żegnać się z panem Bakerem.

— Do widzenia panu! — wołali na różne tony.

Pan Baker ujmował szorstko dłonie, obdzielał każdego przyjaznym chrząknięciem, iskrzyły mu się oczy.

— A nie trwój pieniędzy, Knowlesie. Hm! Oszczędzaj: rychlej doczekasz się milej żonki.

Kuternoga był w siódmym niebie.

— Żegnam pana — miażdżył oficerowi rękę wruszony Belfast, spoglądając wilgotnymi oczyma — Myślałem, że go zabiorę z sobą na ląd — mówił płacząco.

Pan Baker nie zrozumiał, o co mu chodzi, ale z wielką uprzejmością powiedział:

— Czuwaj nad sobą, Craik.

I osierociały Belfast ruszył ku zejściu, pogrążony w smutku i żalobie.

Cisza zapanowała na okręcie. Pan Baker błąkał się sam jeden, tu i tam, pochrząkując, dotykając klamek, zaglądając w każdy ciemny kąt, dbały i niestrudzony — wzór naczeln-

nego oficera! Nikt nań na łądzie nie czekał. Matka nie żyje; ojciec i dwaj bracia, rybacy z Yarmouth, utonęli razem w pobliżu Dogger-Bank; z siostrą zamężną stosunek chłodny. Wielka dama. Jej mąż — pierwszy krawiec i główny polityk małej miłośnicy: szwagier-marynarz to niedostateczny dla nich splendor. Wielka dama, wielka dama — rozmyślał, przysiadłszy dla chwilowego wytchnienia na rufowej luce. Zdaży jeszcze zejść na brzeg, coś przetrącić i wyszukać sobie nocleg. Nie lubi rozstawać się z okrętem. Któż bo o niego wtedy się zatroszczy? Mgła wieczorna zimnem i wilgocią otulała pusty pokład; ściemniało się. Pan Baker siedział, paląc i dumając o wszystkich okrętach, które kolejno, przez długi szereg lat, otaczał najstaranniejszą, żeglarską troskliwością. A dowództwa nigdy nie miał na widoku. Ani razu! — „Nie mam jakoś kapitańskiego wzięcia” — rozważał niefrasobliwie, podczas gdy okrętowy stróż (który już założył swój biwak w opuszczonym kambuzie), stary, zasuszony dziad z kaprawymi oczyma, kłął go po cichu za to, że się tu jeszcze „ociąga i szwenda”.

— Taki Creighton na przykład — snuł dalej swe niezawistne refleksje — dzentelmen skończony... huk przyjaciół... ten pójdzie w górę. Młody chwata... cokolwiek więcej doświadczenia...

Wstał i otrząsnął się.

— Jutro raniutko powrócę tu dojrzyć luk. Słyszycie, stróżu? Nie pozwalajcie tu nikomu dotykać się czegokolwiek, zanim nie będę z powrotem — rzekł głośno. Zaczem oddalił się na brzeg, ostatni, jak przystało na wzorowego naczelnego oficera.

Czeladź, rozproszona przez zetknięcie się z rozpustnym łądem, zebrała się raz jeszcze do kupy w biurze okrętowym.

— Narcyz wypląca! — krzyknął przed oszklonymi drzwiami stary służbista w mundurze zapiętym na mosiężne guziki z koroną i literami B. T.⁴ na lampasie czapki. Gromada wtoczyła się hurmem, a za nią wchodzili spóźnieni maruderzy. Biuro stanowiła obszerna izba o bielonych, gołych ścianach; płatniczy stół, otoczony mosiężną kratą, zajmował trzecią część zakurzonej izby; za kratą siedział urzędnik o twarzy jak z ciasta, z rozdziałem przez środek głowy; miał ruchliwe, błyszczące oczy i ożywione, porywcze ruchy, jak ptak w klatce. Siedział w niej i biedny kapitan Allistoun przy małym stoliku z rulonami złota i paczkami banknotów, i zdawał się przygnębiony tą niewolą. Inny ptak z Wydziału Handlowego gnieździł się na wysokim stolku blisko drzwi: stary szpak, który nie robił sobie nic z tego, co plotą ci podnieceni żeglarze. Załoga Narcyza, rozdrobniona na osobne garstki, tłoczyła się po kątach. Mieli na sobie nowe ubrania łądowe: szykowne kurtki, jakby wyciosane toporem, spodnie o bajecznym połysku, niby wygięte z blachy, koszule flanelowe bez kołnierzyków i nowe, błyszczące buty. Poklepywali się po plecach, chwytali za guziki, pytając: „Gdzie dziś nocowałeś?” — Szeptali z ożywieniem, uderzali się po udach, tupali nogami, parszając zduszonym śmiechem. Większość miała twarze wymyte, jaśniejące, tylko paru było zaniedbanych i smutnych; dwaj młodzi Norwegowie wyglądali czysto i potulnie — obiecujący materiał dla dobrotliwych dam-opiekunek Gospody Skandynawskiej. Wamibo, jeszcze w swoim odzieniu roboczym, stał, marząc, na środku pokoju, wyprostowany i pleczysty; przy wejściu Archiego ocknął się z uśmiechem. Ale tymczasem gruntownie trzeźwy kantorzysta wykrzyknął czyjeś nazwisko i zaczął się obrządek wypłaty.

Jeden za drugim podchodzili do stołu odebrać należność za swój mozół, chwalebny, choć nie rozgłośny. Uważnie zgarniali pieniądze w szerokie garście, rozładowywali je ufnie po kieszeniach spodni, lub, stojąc tyłem do stolika, przerachowywali z trudnością na sztywnych dłoniach.

— Zgadza się? Proszę pokwitować. Tu — tu — powtarzał niecierpliwy kantorzysta. — Co za głupi naród ci żeglarze — myślał.

Singleton zbliżył się do stołu, majestatyczny — cokolwiek niepewny siebie w tym oświetleniu; ciemne krople tytuniowego soku kalały białosc jego brody; ręce, które nigdy nie zdrząły w pełni słonecznego blasku na otwartym morzu, teraz ledwie mogły odnaleźć maleńki stosik złota w tej głębokiej ciemności łądu.

— Pisać nie umie? — rzekł zgorszony kantorzysta. — W takim razie proszę zrobić znak.

⁴B. T. — skrót od *Board of Trade* — wydział handlowy. [przypis edytorski]

Singleton z wysiłkiem nabazgrał podobieństwo krzyża, przy czym zrobił kleks.

— Cóż za obrzydliwy stary hipopotam! — mruknął kantorzysta.

Ktoś otworzył drzwi przed sędziwym morskim patriarchą, który chwiejnym krokiem wytoczył się spośród nas, nie obdarzywszy nikogo ani jednym spojrzeniem.

Archie miał pugilares⁵, za co wzięto go na języki. Belfast, na którym było znać, że zaglądał już do jednej albo dwu gospód, roztkliwił się i poprosił kapitana o chwilę rozmowy w sprawie osobistej. Kapitana zdziwiło to żądanie. Rozmowa toczyła się przez kraty i słyszeliśmy jak kapitan mówił:

— Przekazałem to Wydziałowi Handlowemu.

— Tak bym pragnął coś z tego zatrzymać — płaczącym się językiem molestował Belfast.

— Ależ człowieku, nie można. Trudno i darmo. Te rzeczy, zamknięte i opieczętowane, znajdują się w Urzędzie Morskim — tłumaczył się kapitan, i Belfast wreszcie odszedł z płaczliwie przekrzywionymi ustami i mętnym wzrokiem. Podczas przerwy w płaceniu, widzieliśmy, że kapitan coś mówił z kantorzystą. Posłyszeliśmy: „Dzems Wait — zmarł — nie ma żadnych papierów — nikogo z rodziny — żadnego śladu — jego zarobek musi pozostać w depozycie Urzędu”.

Wszedł Donkin. Zdyszany był, lecz poważny, i miał wygląd człowieka zajętego niezmiernie ważnymi sprawami. Nie zwlekając, podbiegł do stolika i zawiązał ożywiony dialog z kantorzystą, który uznał go za inteligenta. Omawiali sprawę porachunku w sposób nader przyjacielski, sadząc się jeden przez drugiego na piękną wymowę z polykaniem litery „H”. Kapitan Allistoun wypłacał.

— Uwalniam cię ze złym świadectwem — rzekł spokojnie.

Donkin podniósł głos.

— Ja nie potrzebuję żadnego głupiego świadectwa — proszę je schować. Zakładam interes na ładzie.

Tu zwrócił się ku nam — Zrywam z przeklętym morzem na zawsze! — rzekł.

Wszyscy spojrzeli na niego. Był w porządniejszym ubraniu; miał minę niezależną, znać było, że czuł się na tym gruncie lepiej od nas; mierzył nas pewnym siebie wzrokiem, delektując się sensacją, jaką sprawiło jego oświadczenie.

— Tak. Ma się przyjaciół zamożnych. Lepszych niż wy. Bo ze mnie człowiek. Pomimo to uważam was za kolegów. Kto idzie ze mną na szklaneczkę?

Nikt się nie ruszył. Zapanowało milczenie; milczenie obojętnych twarzy, skamieniałych oczu. Przez chwilę czekał, uśmiechnął się gorzko i poszedł ku drzwiom. Tam się jeszcze raz ku nam obrócił.

— Nie chcecie? Bo z was zapowietrzona zgraja obłudników. No nie? Com ja wam zawinił? Czy brałem was za łeb? Czy potrącałem was? Co? Nie chcecie pić ze mną?... Nie!... A żeby was pokurczyło z pragnienia wszystkich co do jednego, wy mamime synki! Każdy z was tyle ma rozumu, co i nieme stworzenie. Wyrzutki, szumowiny z całego świata! Hołoto! Pracuj i zdychaj!

Wyszedł, zatraskując za sobą drzwi z takim hałasem, że aż stary ptak Biura Handlowego omal że nie spadł ze swojej grzędę.

— Zwariował — rzekł Archie.

— Nie, nie! On pijany — obstawał rzewnie Belfast, zataczając się ku drzwiom. Kapitan Allistoun siedział przy pustym stole płatniczym i uśmiechał się w zamyśleniu.

Wyszedszy na ulicę na *Tower Hill*, mrużyli oczy, ślaniając się niezgrabnie, jak gdyby ich oślepiała to dziwne, mgliste światło, jak gdyby widok tłumów ich onieśmielał; tych ludzi, którzy potrafili dosłyszeć się wzajem pośród wyjących burz, ogłuszała teraz i oszalała wrzawa miejska — gwar zatrudnionej ziemi.

— Pod „Białego Konia!” Pod „Białego Konia!” — wołał któryś.

— Napijemy się w kompanii przed rozstaniem.

Zwarcili ze sobą, ramię do ramienia, przeszli w poprzek ulicy. Tylko Charley i Belfast szli oddzielnie samowtór. Kiedym się do nich przybliżył, jakaś kobieta w szarej chustce z puciołowatą, czerwoną twarzą i potarganymi, zapyłonymi włosami rzuciła się Charley’owi na szyję. Była to jego matka.

⁵pugilares (daw.) — portfel. [przypis edytorski]

— O, mój chłopcze! Mój chłopcze! — szlochała, trzymając go w uścisku.

— Puść mnie! — mówił Charley — Puść mnie, matko!

Gdy podszedłem bliżej, Charley ponad rozczochraną głowę rozplakanej kobiety uśmiechnął się do mnie żartobliwie i rzucił mi głębokie spojrzenie pełne ironii i męstwa, wobec którego cała moja znajomość życia uznała się ze wstydem za zwyciężoną. Kiwnąłem mu głową i przeszedłem. Posłyszałem jeszcze, jak powtarzał znów dobrodusznie:

— Jeżeli mnie puścisz w tej chwili, dostaniesz z mojej płacy szylinga na wódkę.

Potem dogoniłem Belfasta. Chwycił mnie z zapalem za rękę, drżąc z uniesienia.

— Nie mogłem iść z nimi razem — bełkotał, wskazując oczyma na hałaśliwą naszą gromadkę, lawirującą po tamtej stronie chodnika — Gdy pomyślę sobie o Jimmym... Biedny Jim! Gdy myślę o nim, odchodzi mnie ochota pić. Byłeś i ty dla niego dobrym kamratem... ale ja go wyciągnąłem wtedy... może nie?! Taką miał krótką wełnę... Tak, i wykradłem ten przeklęty tort... Nie chciał odejść... Za nic nie chciał odejść. (Zaszlochał). Nie dotknąłem go wcale, broń Boże! (szlochał). Dla mnie to zrobił, że odszedł... jak... jak... jagniątko.

W sposób łagodny uwolniłem się jakoś. Belfast, po takim paroksyzmie płaczu, zwykle szukał z kimkolwiek bądź zwady, kończącej się bójką, i nie pragnąłem wcale, aby się na mnie skrupiło jego nieutulone zmartwienie. Ponadto dwaj tędy policjanci stanęli w pobliżu, z minami wyrażającymi nieskazitelną prawość i nie wróżącymi nic dobrego.

— Do widzenia! — rzekłem, odchodząc.

Ale na rogu zatrzymałem się jeszcze, by po raz ostatni rzucić okiem na załogę Narcyza. Kręcili się w hałaśliwym niezdecydowaniu po szerokich flizach przed gmachem Mennicy. Szykowała się wyprawa pod „Czarnego Konia”, gdzie ludzie z brutalnymi twarzami, w futrzanych czapach i w rękawach od koszul obdzielają z pokostowanych antałków czymś, co ma dać złudzenie siły, wesela i szczęścia — przepychu i poezji życia — tym żeglarzom z mórz południowych, którzy odbyli długą podróż i są świeżo po wypłacie. Widziałem ich z dala, jak porozumiewali się z sobą jowialnymi oczyma i nieokrzesanymi gestami; rozprawiali, nie zwracając uwagi na ocean życia, który uderzał im do uszu nieprzerwanym hukiem. I kiedy chwiejną, niezdecydowaną gromadką, pośród dookolnej wrzawy i gorączkowego pośpiechu, dreptali po białych płytach kamiennych, zdawali się być stworzeniami jakiegoś innego gatunku — zgubionymi, samotnymi i lekkomyślnymi — których los już przesądzono; byli podobni do rozbitków — do rozbitków beztrojskich i wesołych, do szalonych rozbitków, uczepionych zdradzieckiego zębca skalnego i przeciwstawiających burzy swoją krotochwilną werwę. Zgiełk miasta podobny był do zgiełku spiętrzonych fal, rozpękających się z grzotem, potężnych, nieubłaganych, przemawiających silnym głosem i kipiących furją zagłady; ale już w górze rozstąpiła się gęstwa chmur; potok światła spłynął na ponure ściany kamienic. Ciemna grupa żeglarzy posuwała się w słonecznym blasku. Na lewo od nich westchnęły szelestem drzewa ogrodów Tower'u; rozslonecznione mury zamku Tower ożyły, zda się, wskrzeszone grą światła, jak gdyby nagle przypomniały sobie wielkość minionych rozkoszy i cierpień, i wojowniczą przeszłość, z której wzięli początek ci oto pracownicy morza: przymusowe wcielanie do załóg; wrzaskliwe bunt; płacz i lament kobiecy na brzegu i męskie okrzyki zwycięstwa. Słońce z niebios opromieniło brudną ziemię jakoby darem łaski i przebaczenia; zlewało światłość na mroki wspomnień, na milczące kamienie, na chciwość i samolubstwo, na niespokojne twarze niebacznych ludzi. A po prawej stronie tej ciemnej grupy zajaśniał, oplukany falą światła fronton Mennicy — zajaśniał, pomimo plam, olśniewającą bielą, jak marmurowy pałac z baśni czarodziejskiej.

Załoga Narcyza powędrowała gdzieś dalek i zginęła mi z oczu.

I już nie zobaczyłem jej nigdy. Morze pochłonęło jednych, parowce zabrały innych, cmentarze ziemskie niech wyliczają się z reszty. Singleton wraz ze skarbami wspomnień swego pracowitego żywota spoczął zapewne w jakiej przytulnej morskiej głębinie. A Donkin, który nigdy w życiu żadnej pracy rzetelnie nie wykonał, najniezawodniej utrzymuje się z tego, że rozprawia niechlujnie a wymownie o prawach robotników do życia. Niech tak będzie! Niechaj mają ziemia i morze to, co każdemu z nich przynależy.

Rozłąka z towarzyszem okrętowym, jak i z każdym innym człowiekiem, jest rozłąką na zawsze; i nigdy już żadnego z nich nie spotkałem. Niekiedy jednak wiosenny przybór pamięci podnosi fale ciemnej rzeki o dziewięciu zakrętach. Wtedy na wodach

zapomnianego strumienia pojawia się okręt: okręt-widmo, kierowany przez załogę Cieniów. Przepływają mimo podając znak — widmowe powitanie. Alboż nie wydobyliśmy społeczeństwa — żeglując po nieśmiertelnym morzu — treści z naszych grzesznych żywotów? Żegnajcie, bracia! Dobrą byliście załogą. Nikt lepiej od was nie zmagał się wśród dzikich wrzasków z łopoczącym płótniskiem przedniego żagla; i nikt — wisząc w górze wśród ciemności — nie odkrzykiwał się dzielniej porywem zachodniej wichury.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/conrad-murzyn-z-zalogi-narcyza>

Tekst opracowany na podstawie: Joseph Conrad, Murzyn z załogi Narcyza, tł. Jan Lemański, nakł. Instytut Wydawniczy "Biblioteka Polska", Warszawa 1938.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Dorotę Kowalską. Publikacja sfinansowana ze środków pozostałych ze zbiorów, które nie zakończyły się sukcesem.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Orzechowska, Paulina Choromańska, Paweł Koziół.

Okładka na podstawie: Ian Sane, CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0135-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając **zbiórkę** na [stronie wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły** na [stronie Fundacji](http://www.nowoczesnapolska.org.pl).